

CECILY VON ZIEGESAR

SZCZĘŚCIARA
DZIEWCZYNA SUPER

Przekład Beata Horosiewicz

Tytuł oryginału

An It Girl Novel Lucky

Zawsze miałam szczęście. I znów będę je mieć.

Bene Davis

Sowa Waverly jest głucha na plotki

W akademii Waverly, zamiast orzeźwiającego zapachu jesieni, w powietrzu unosiła się silna woń dymu. Nie była to przyjemna woń palonych liści, ale kwaśny, drażniący nozdrza smród spalonej słomy. Poprzedniego wieczoru podczas spotkania kinomaniaków ktoś podpalił stodołę na farmie pani Miller. Może to był wypadek. A może nie.

Jenny Humphrey pchnęła ciężkie drewniane drzwi stołówki i ruszyła przez ogromne pomieszczenie, żeby ustawić się w kolejce do bufetu. Towarzyszyły jej spojrzenia rzucane od zatłoczonych stolików. Jenny starała się myśleć jedynie o porannym słońcu wlewającym się przez witrażowe okna. Nie zwracała uwagi na szepty, które wypełniały stołówkę i wznosiły się aż do sklepionego jak w katedrze sufitu. Sowy Waverly nieustannie plotkowały, a dziś miały ku temu więcej powodów niż zwykle.

Postawiła na tacy naleśniki z jabłkami i cynamonem - sobotni specjał - i przeszła się między długimi dębowymi stołami do kącika, w którym zauważyła lśniąca czarną głowę Alison Quentin. Pomiedzy Alison a Sage Francis wcisnęła się jakaś drobna blondynka. Jenny zauważyła jeszcze, że jej współlokatorka, Callie i jej ekschłopak. Easy, nie siedzą przy jednym stole. Wczoraj wieczorem przyłapała ich w stodole. Nie miała ochoty oglądać ani jednego, ani drugiego. Na szczęście, w chwilę później uratował ją nieoczekiwany, niewiarygodnie słodki pocałunek Juliana McCafferty'ego. Gdyby nie to, rzuciłaby wszystko w diabły - i śniadanie, i Waverly, i życie. Żołądek jej się wywracał na samą myśl.

- Nowy towar - usłyszała głos za plecami. Odwróciła się do Celine Colisty, dziewczyny o oliwkowej cerze, współkapitana drużyny hokeja na trawie. Wskazywała gestem głowy na drobną blondynkę, stojącą między Alison i Sage. Miała na tacy świeżo wyciśnięty, rozcieńczony sok. - Będą się tu kręcić cały tydzień.

- Nowy towar?

- Kandydaci - wyjaśniła zniecierpliwiona Celine. Podeszły razem do stolika. Nie możemy mówić o nich „nowicjusze”. To podobno obraźliwe, no wiesz.

Jenny i Celine postawiły tace koło Alison. Jenny się pochyliła i uśmiechnęła do jasnowłosej kandydatki. Z bliska dziewczyna wydawała się jeszcze drobniejsza.

- Cześć, jestem Jenny.

- A ja Chloe. - Dziewczyna poprawiła okulary Ralpho Laurena w czarnych kwadratowych oprawkach i skinęła głową.

- Nie odstępuję Alison na krok - oznajmiła głośno Benny Cunningham i oparła łokcie na ciemnym drewnianym stole. Odgarnęła z twarzy długie, zupełnie proste brązowe włosy. Rysy miała

niedużo kanciaste, ale mimo to była ładna. - Skąd jesteś, nowy towarzysz?

- Z Putney - odparła nieśmiało Chloe. Skubnęła bładoniebieski sweter J. Crew, usuwając niewidzialny pyłek. - To w Vermont.

Błada cera i jasnoniebieskie oczy upodabniały ją do Dakoty Fanning. Jenny nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby być niemiłą dla Dakoty Fanning.

To ładne miejsce. - Miała nadzieję, że doda dziewczynie otuchy, jako nowa w Waverly musi się czuć bardzo skrępowana. Wzdrygnęła się na wspomnienie pierwszych niezdatnych kroków, jakie dawną Jenny stawiała w Waverly. Przyjechała tu kilka tygodni temu zupełnie zielona. A teraz siedziała przy najlepszym stole w stołówce, chodziła na szalone imprezy w płonących stodołach i całowała się z odlotowymi chłopakami w świetle księżycy. I co ty na to dawną Jenny?

Nagle czyjś okrzyk odbił się echem od wysokiego, skośnego sufitu stołówki. Jenny odwróciła się i zobaczyła Heatha Ferro. Stał przy sąsiednim stole z ramionami triumfalnie wyrzuconymi w górę. Słoneczny blask odbijał się od jego ciemnoblonde włosów splecionych w artystycznym nieładzie. Z ust wylatywały okruchy krakersów. Zdaje się, że właśnie wygrał zawody w jedzeniu krakersów, co było jednym z największych osiągnięć w stołówce Waverly, a polegało na połknięciu sześciu supersuchych krakersów w ciągu niespełna minuty bez popijania wodą. Heath przybijał właśnie piątkę z chłopakami zgromadzonymi wokół niego, także kandydatami. Jenny zauważyła, że przy różnych stolikach siedziało w sumie z tuzin kandydatów, a wszyscy trzymali się blisko swoich Sów opiekunek - jak załęcznieni turyści, którzy nie odstępują na krok przewodnika.

- Słyszałaś ostatnie plotki? Sage pochylała się na krześle, a jej błękitne oczy błyszcząły. Podciągnęła rękawy ciemnoniebieskiej tuniki Elie Tahari, jakby te plotki mogły ją pobrudzić.

- Jakże? - spytała Jenny. Nadziała na widelec kawałek naleśnika i umoczyła go w kałużę syropu klonowego. Miała na sobie ulubione dzinsy Earla i czarny golf Gapa, który kupiła jeszcze w ósmej klasie. W porównaniu z Sage i Benny była ubrana zbyt luzacko. Dziewczyny z Waverly korzystały z każdej okazji, żeby urządzić pokaz mody.

- W stodole znaleźli zapalniczkę. - Benny uśmiechnęła się złośliwie. Jej zęby były tak białe jak cieniutki T - shirt Vince'a, który miała na sobie. Wyglądała jak chodząca reklama pasty Crest Whitestrips. Chociaż biorąc pod uwagę fakt, że dysponowała wielomilionowym funduszem powierniczym, prawdopodobnie wybieliła zęby u dentysty. - Były na niej inicjały jednego z uczniów. Juliana McCafferty'ego.

Jenny odłożyła na talerz widelec z kawałkiem naleśnika. - Juliana?

- Słyszałam, że to były inicjały jakiegoś chłopaka od Świętego Lucjusza - powiedziała Celine półszepem, pochylając się do przodu i odgarniając pukiel czarnych włosów za ucho. - I że zapalniczka mogła należeć do Dana, znajomego Heatha ze sklepu monopolowego. - Przejechała językiem po przednich zębach i wreszcie udało jej się wydobyć szpinak, który tkwił tam przez cały

posiłek. A Simone powiedziała, że stodołę podpalił jakiś dzieciak z miasta, który nie dostał się do Waverly.

- Ploty - wtrąciła Alison. Upiła łyk soku. zupełnie nieporuszona tym, że jakiś zazdrośnik z Rhinecliff mógł pragnąć zemsty na uczniach Waverly.

- Słyszałam, że niektórzy palili w stodole - dorzuciła Chloe. Skubała kawałek francuskiego tosta.

- Kto ci to powiedział? - wykrztusiła Jenny.

Wczoraj wieczorem poinformowała Callie. że wie o tym, że ona i Easy palili w stodole tuż przed wybuchem pożaru. Nie była pewna, czy jeszcze ktoś mógł o tym wiedzieć. Callie odparła, że to pewnie Jenny z zazdrości podpaliła stodołę. Wiedziała, że Callie wybrała po prostu melodramatyczny sposób obrony, ale i tak była na nią wściekła. Jeśli inni w Waverly dowiedzieli się, że Callie i Easy palili w stodole - to trudno. Jenny nie miała zamiaru nic robić, aby ta plotka nie rozniosła się po szkole. Szczerze mówiąc, nie żałowałyby, gdyby ich wyrzucono. Należy im się za to, że są takimi... napalonym dupkami.

- Tak? A kto palił? - naciskała Benny i po raz pierwszy spojrzała na Chloe z zainteresowaniem. - Jesteś tu dopiero godzinę. Skąd możesz to wiedzieć?

- Słyszałam. - Chloe wzruszyła ramionami, niespeszona agresywną postawą starszej dziewczyny. - Nie pamiętam gdzie. - Rozejrzała się po stołówce i dodała: - Jest gdzieś cukier puder?

Jenny stwierdziła, że zupełnie niepotrzebnie martwiła się o Chloe. Da sobie radę.

- Słyszałam, że to Easy i Callie - rzuciła cicho Sage, odsuwając na środek stołu tacę z niedojedzonym śniadaniem. Płowe włosy miała zebrane w luźną kitkę. - Wszyscy widzieliśmy, jak wybiegli ze stodoły... No i oboje palą. - Wzruszyła ramionami, wiedząc, że każdy dopowie sobie resztę sam.

- Kto pali? - zapytał Ryan Reynolds.

Z impetem postawił obładowaną tacę na ich stole. Cola z przepełnionej szklanki chlapnęła na talerz z jedzeniem. Jenny się wzdrygnęła. Napój gazowany do śniadania? Ohyda. Przysunął krzesło bliżej Sage i podparł głowę ręką, czekając na dalszy ciąg.

- No ja. - Błade policzki Sage się zaróżowiły. - I jakieś pół kampusu.

- Też mi nowina. - Ryan próbował chwycić kosmyk długich, jasnych włosów Sage, ale odskoczyła z piskiem. - Czy ktoś widział dzisiaj Callie? zapytał.

Jenny spojrzała na Ryana z zaciekawieniem. Wyglądał dziś jakoś inaczej. Wydawał się... bardziej odpowiedzialny. A było to ostatnie słowo, jakie przysłoby jej do głowy, gdyby miała opisać Ryana Reynoldsa. Doszła do wniosku, że to dlatego, że nigdy wcześniej nie widziała go w okularach. Nic dziwnego. Jego ojciec ulepszył soczewki kontaktowe, więc na pewno Ryan miał ich

pod dostatkiem.

- Muszę od niej odpisać łacinę.

- Jest w stajni - odparła Benny z ustami napchanymi bekonem. - Z Easym.

- A co oni tam robią? - zapytała niewinnie Chloe. Benny i Celine roześmiały się porozumiewawczo.

- Skaczą na sianie! - Celine parsknęła śmiechem.

Zdjęła zapinany na suwak sweter drużyny hokeja na trawie, odsłaniając obcisły czarny T-shirt. Ryan zerknął ukradkiem na jej piersi.

- Miejmy nadzieję, że jej nie spała. - Sage się roześmiała. Chloe się zmieszala i zamilkła, wbijając wzrok we francuski tost.

Jenny wstała od stołu. Mruknęła pod nosem, że boli ją brzuch. Zostawiła niemal nietknięte naleśniki. Wzięła komórkę i ruszyła do drzwi.

Pięć minut później stała na szarych kamiennych schodach przez drzwiami do stołówki i czekała na Juliana. Gdy tylko odeszła od stołu, wysłała mu SMS - a z prośbą o spotkanie. Musiała go natychmiast ostrzec. Groziły mu kłopoty.

A poza tym chciała mieć pretekst, żeby go znowu zobaczyć.

Plotki na temat pożaru cały czas krążyły jej po głowie. Czy Dan mógł rzeczywiście mieć z tym coś wspólnego? On przecież tylko sprzedawał alkohol bandzie rozwydrzonych dzieciaków. Czy to możliwe, żeby jakiś stuknięty osobnik z miasta tak bardzo nienawidził dzieciaków z Waverly, że chciał je spalić? I co zapalniczka Juliana robiła w stodole? Zgubił ją przecież. Zdaje się, że wspominał coś o zgubionej zapalniczce... A poza tym nie mógł wywołać pożaru, bo był wtedy z nią. Całował ją tak słodko koło stodoły, że zapomniała o Easym i Callie, i o tym, co przed chwilą widziała. Jenny przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Czy Easy i Callie mogli wzniecić pożar? Wyobraziła sobie, jak leżą razem na sianie, śmieją się i palą papierosy. Jak zwykle niczym się nie przejmują. Tyle że chociaż oboje mogli mieć gdzieś jej uczucia, to na pewno nie byli podpalaczami. Co najwyżej kłamcami. Potrząsnęła głową, a ciemne loki poruszyły się jak pędy winorośli na wietrze. Chociaż Jenny ze wszystkich sił starała się przegonić tę myśl, wciąż dochodziła do tego samego wniosku. Tak naprawdę była tylko punkcikiem na radarze Easy'ego, małym zakłóceniem pomiędzy zerwaniem z Callie a ponownym zejściem się z nią.

- Cześć.

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętą twarz Juliana. Suwak wypłowiałej szarej bluzy z kapturem Everlast miał zaciągnięty po sam podbródek.

- Hej - odpowiedziała i poczuła przyływ przyjemnych uczuć na widok wysokiego dziewięcioklasisty z poczochraną czupryną. Zrobiła krok w jego stronę i zadarła głowę, aby spojrzeć w ciepłe brązowe oczy. Była zła na siebie, że włożyła płaskie granatowe tenisówki Keds z

małymi motylkami. Jeśli będzie w przyszłości spędzać więcej czasu z Julianem, musi nosić buty Michaela Kors'a na klinach, najwyższe, jakie ma.

- Jadłaś już śniadanie?

Zeskoczył z impetem z ostatniego stopnia i wylądował tuż przed nią. Zmierzwiona jasnobrązowa grzywka opadła mu na czoło. Wyglądał jak złocisty pies, który właśnie odnalazł rzuconą piłeczkę do tenisa. Było w tym coś bardzo podniecającego.

- Tak - skłamała Jenny.

Jedzenie było wykluczone. W tej chwili jej żołądek wywijał koziolki.

- Chcesz iść na Hopkins Hill? - zapytał Julian. Wskazał głową urwisko za jej plecami. Zastanawiała się, czy on też rozmyślał o wczorajszym pocałunku. No przecież musiał o tym myśleć. - Chodźmy - odparła odważnie.

Szli pod górę ścieżką przez las. Brzękanie talerzy, dobiegające ze stołówki, wkrótce ucichło w dali, ustępując miejsca świergotaniu ptaków i delikatnemu szumowi wiatru w gałęziach drzew. Jenny z trudem przyzwyczajała się do tych odgłosów, bo całe życie spędziła w Nowym Jorku. Suche liście na ścieżce szeleściły pod tenisówkami.

Doszli do małej polanki. Julian przystanął. Jego łagodne brązowe oczy spoczęły na ustach Jenny i dziewczyna się zarumieniła. Czy on chce mnie znowu pocałować? - pomyślała.

- Rozmawiałaś z Callie?

Jenny czuła, że twarz zaczyna ją palić na wspomnienie ostatniego spotkania z Callie. Była wściekła. Nie dlatego, że Callie i Easy znowu się zeszli, ale dlatego, że Callie okłamała ją i udawała, że łączą ich tylko koleżeńskie stosunki. Pewnie razem z Easym naśmiewali się z niej, gdy tarzali się na golasa w sianie i palili papierosy, i w końcu puścili z dymem całą stodołę.

- Tak jakby. Właściwie to nie wiem.

- W porządku. - Julian kucnął, podniósł z ziemi okazały czerwony liść dębu i wręczył go Jenny jak kwiat. Zachichotała i przyjęła podarunek, pozwalając, by ich dłonie się musnęły. - Nie musisz się tłumaczyć. Chciałem wiedzieć, czy to wyjaśniłyście.

Delikatnie wzruszył przygarbionymi ramionami, a Jenny zauważyła, że ma na sobie znajome rzeczy - czarne tretorny, ciemne džinsy True Religion z dziurami wielkości pięści na kolanach i czarny T - shirt pod bluzą z kapturem.

- W ogóle się nie kładłeś? - zapytała. Potarł dłonią kark i kopnął piach na ścieżce.

- A co? Brzydko pachnę? - Zniżył głos, tak jakby nie chciał, by ktoś to usłyszał.

- Nie. - Zachichotała. Pachniał całkiem przyjemnie, jak sosna. A może tak jej się tylko zdawało, bo byli przecież w lesie. - Ale masz na sobie te same rzeczy co wczoraj wieczorem.

- Właśnie szedłem do domu, - Podciągnął spadające džinsy. Miał na sobie jasnozielone bokserki w małe białe owieczki. Jenny zarumieniła się na ten widok. - Za farmą pani Miller jest

taka ścieżka na skróty przez wąwóz - wyjaśnił.

Aha. Jenny niewiele to mówiło. Przez całą noc błąkał się sam po okolicy?

Chłopcy mają dziwne pomysły. Kiedy chodziła z Easym, miał swoje specjalne miejsce w głębi lasu i tam malował. A kiedy była jeszcze w domu, to ilekroć szła przez Sheep Meadow, zawsze roilo się tam od chłopaków, który palili skręty i jednoczyli z naturą w najściślejszy sposób, w jaki było to możliwe w Nowym Jorku. A może tylko chcieli się wsławić. Jenny oparła się o omszały pień drzewa. Starła się zachowywać naturalnie, mimo że Julian ciągle się na nią gapił. Nie dbała o to, że pobrudzi rzeczy. Był tego wart.

Znowu wbił wzrok w jej usta.

- Całe niebo było czerwone, białe, i niebieskie od świateł wozów policyjnych i strażackich - dodał. - Było super.

Opowiadał z takim chłopięcym entuzjazmem, że Jenny się uśmiechnęła. Myślała o tym, jak Julian przedziera się przez ciemny las w środku nocy, przywołując w pamięci ich pocałunek. Ta wizja bardzo jej się podobała.

- Julian - zaczęła - widziałeś ostatnio swoją zapalniczkę? Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Właściwie mogła mu powiedzieć, że ktoś już znalazł zapalniczkę.

- Proszę, wyjaśnij Marymountowi, że ją zgubiłeś - mówiła dalej. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w Dumbarton, jak chował się w szafie na miotły, podobno szukał swojej zapalniczki marki Zippo. A w każdym razie tak powiedział. - Jeśli powiesz im prawdę, nie będą mogli cię wyrzucić.

Julian wzruszył ramionami i wpatrywał się w coś ponad głowę Jenny. Miała nadzieję, że po drzewie nie pełźnie żadna tarantula, aby uwić sobie gniazdko w jej włosach.

- Nie przejmuję się tym - odpowiedział w końcu.

Zrobił krok w stronę Jenny i zamknął ją w pułapce, opierając dłonie na pniu drzewa po obu stronach dziewczyny. Wcale jej to nie przeszkadzało.

- Mam najmiłsze alibi na świecie. - Na jego usta wypłynął uśmiech.

Jenny od razu straciła wątek. Wszystkie myśli się rozpierzchły, pozostało jedynie wspomnienie słodkiego pocałunku w ciemnościach. A w chwilę później wspomnienie stało się rzeczywistością.

SówNet **Twoja Poczta**
Od: DeanMarymount@waverly.edu
Do: Akademia Waverly
Data: 12 października, sobota, 10. 15
Temat: Kandydaci na uczniów

Drodzy Uczniowie, Profesorowie i pozostali Pracownicy Jak już zapewne wiecie, gościmy liczną

grupę kandydatów do naszej szkoły, którzy w ten weekend będą zwiedzać kampus. Te odwiedziny to dla nich jedyna sposobność, by się przekonać, czym jest Akademia Waverly. Wierzę, że każdy dołoży starań, aby poczuli się tu dobrze. Składam podziękowania wszystkim Sowom, które wspaniałomyślnie przyjęły na siebie rolę opiekunów. Kandydaci pozostaną w kampusie do środy, tak aby przez dwa dni mogli uczestniczyć w lekcjach. Proszę, abyście okazali im życzliwość przez cały czas pobytu. W poniedziałek wieczorem w stołówce odbędzie się uroczysta kolacja na cześć kandydatów. Proszę ubrać się zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Ufam również, że uczniowie przez tych kilka dni będą zachowywać się bardziej wstrzemięźliwie niż przez kilka ostatnich tygodni.

Pozdrawiam

Dziekan Marymount

SówNet:	Komunikator
RyanReynolds:	Ty i Kara, co? To dlatego nie chciałaś ze mną chodzić!
BrettMesserschmidt:	Nie. Dlatego, że cię nienawidzę.
RyanReynolds:	Och!

<u>SówNet</u>	Twoja Poczta
Od:	Jeremiah Mortimet@stlucius.HYPERLINK "mailto:Mortimet@stlucius.edu"edu
Do:	BrettMesserschmidt@waverly.edu
Data:	12 października, sobota, 11. 08
Temat:	Wszystko w porządku?

Hej

Wiem, że ze mną nie gadasz, ale słyszałem o pożarze na farmie pani Miller i chciałem się upewnić, że nic ci nie jest. Słyszałem też inne rzeczy. Nie martw się, nie wierzę w ani jedno słowo - znam cię przecież. Na pewno się martwisz, że ludzie o tobie plotkują, i tak dalej. Daj znać, jak będziesz chciała pogadać. Mam nadzieję, że wszystko gra.

J

SówNet	Komunikator
AlisonQuentin:	Hej, seksy. Co porabiasz?
AlanStGirard:	Chyba poleżę cały dzień. Zbyt dramatycznie jak dla mnie.
AlisonQuentin:	Słyszałeś o zapalnicze Juliana?
	Nie wygląda na piromana.
AlanStGirard:	Słyszałem, że Tinsley też się kręciła koło stodoły.
AlisonQuentin:	Mślałam, że faceci lubią ostre dziewczyny.
AlanStGirard:	Ostre tak, ale nie podpalaczki.
AlisonQuentin:	Skoro o tym mowa, spotkajmy się po południu w altanie. Będę ostra.
AlanStGirard:	No to zwlokę się z łóżka. Chyba że chcesz do mnie dołączyć?

Sowa Waverly nie ma żadnych wątpliwości, gdy już postanowi, co robić

Brett Messerschmidt gapiała się na okładkę podręcznika do łaciny. Z iPod'a sączyła się stara piosenka Flaming Lips *She don 't use jelly*. Miała przed oczami doryckie kolumny i żałowała, że nie może zamknąć oczu i przenieść się w przeszłość. Starożytny Rzym. Lata dwudzieste XX wieku. Woodstock. Pompeje. Wszystko, tylko nie akademia Waverly, i to współcześnie.

Gdyby to Heath rozgadał wszystkim o niej i Karze, byłaby zła. ale nie przygnębiona. Chciała się komuś z tego zwierzyć, komukolwiek. Komukolwiek, tylko nie Karze, chociaż to ona ponosi za wszystko winę, bo wygadała Callie, że spotykają się potajemnie. Zastanawiała się nawet, czy nie rozzłościć się na Callie za tę jej paskudną słabość do rozsiewania plotek po pijanemu. Ale stwierdziła, że nie przyniesie jej to ulgi.

Odchyliła się na oparcie niewygodnego drewnianego krzesła, a zapinka stanika - przyciśnięta do twardych listewek - wrzynała jej się w ciało. Bardzo lubiła Karę, ale czy teraz są parą? Czy stały się jedyną parą lesbijek w Waverly? Oczyma wyobraźni widziała, jak grupa kandydatów wraz z rodzicami zwiedza kampus w towarzystwie przewodnika. Ten wskazuje na okno Brett i mówi: „Witajcie w Dumbarton, godnym domu jedynych lesbijek w Waverly!”

Oparła czoło na chłodnym blacie biurka. Rękoma ścisnęła czerwone mysie ogonki, w które rano zebrała włosy. Czowała się jak Pippi Langstrump, tylko że Pippi pewnie nie całowała się z dziewczynami. Dobrze chociaż, że Tinsley miała tyle przyzwoitości, żeby zostawić ją samą. Kiedy Brett zwlokła się rano z łóżka, totalnie wyczerpana, w pokoju było na szczęście pusto. Tylko zapach perfum Yves St. Laurenta Baby Doll, których używała Tinsley, wisiał jeszcze w powietrzu.

- Jest tu kto? - Kara Whalen wsunęła głowę w drzwi. Okulary o przegowanych oprawkach w kształcie kocich oczu powiększały jej duże orzechowe oczy. Nerwowo rozglądała się po pokoju. - Nie ma Tinsley?

- Wyszła. - Brett wyprostowała się i okręcała na palcu jeden mysy ogonek.

Karze wyraźnie ulżyło.

- Zdawało mi się, że słyszałam ją na dziedzińcu.

Usiadła ostrożnie na łóżku Brett, miała na sobie wytarte dzinsy i dopasowany szary T - shirt New York University, który uwydatniał jej kształty.

- Nie wiedziałam, że nosisz okulary. - Brett odsunęła podręcznik do łaciny i spojrzała na Karę. - Wyglądasz jak bardzo seksowna bibliotekarka. - Poczwała, że się rumieni. Po co powiedziała „seksowna”?

- Dzięki. - Kara się uśmiechnęła i poprawiła czerwoną spinkę, która przytrzymywała kosmyk jedwabistych brązowych włosów nad czołem. Brett przypominała sobie, jak upinała lalkom

włosy spinaczami do papieru, kiedy była małą dziewczynką.

- Od tego dymu szczypią mnie oczy. Rano nie mogłam włożyć szkieł kontaktowych.

Brett skinęła głową. Nic chciała więcej rozmyślać o zeszłej nocy. Przez pierwsze dwa lata w Waverly cały czas się bała.

że ktoś się dowie, że jest córką chirurga plastycznego. I że mieszka w kiczowatej posiadłości w Jersey. Teraz przeszłość spędzona wśród złocistych talerzy i cętkowanych kanap nie miała żadnego znaczenia. Wygladziła białą chłopcę koszulę Theory. Wybuchł pożar, a ona ma dziewczynę. Przeszłość to najmniejsze zmartwienie.

- Nic widziałam cię na śniadaniu. - Kara wzięła ze stolika egzemplarz „Absyntu”, czasopisma redagowanego w Waverly, i przerzucała strony. Brett prawie nigdy nie czytała tego czasopisma, ale dostarczano je wszystkim uczniom, a ona lubiła mieć je pod ręką. Wydawało jej się, że dzięki temu sprawia wrażenie osoby wyrafinowanej, w dobrym znaczeniu tego słowa. Jednak, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, pewnie nigdy już nie zdoła nikogo przekonać, że jest wyrafinowana. Kara zerkała na Brett znad okularów.

Brett się podniosła i przeciągnęła. Jej bosc stopy zanurzyły się w miękkim, jasnozielonym włoszonym dywanie. Z rozmysłem nie poszła na śniadanie, myśląc, że w ten sposób uniknie nasłuchiwania plotek, krążących po jadalni. Była nieco zdziwiona, że Kara weszła prosto w paszczę Iwa.

- Czy coś straciłam? - Naleśniki z jabłkami i cynamonem.

Kara studiowała dział poświęcony sztukom pięknym, przerzucając wizerunki abstrakcyjnych obrazów. Uśmiechnęła się nieznacznie do Brett.

- Dowiedziałaś się czegoś więcej o pożarze? - zapytała Brett.

Dalej stała na środku pokoju i nie mogła się zdecydować, czy usiąść na łóżku obok Kary, czy nie. Usiadłaby na łóżku Tinsley, gdyby nie to, że po pierwsze, Tinsley była głupią suką, a po drugie, łóżko stało daleko i byłoby to niezręczne. Gdy tylko przydzielono im wspólny pokój w Dumbarton, odsunęły łóżka w najbardziej oddalone krańce pokoju. Zastanawiała się nawet, czy nie przyczepić do sufitu kotary, aby jeszcze bardziej podzielić przestrzeń.

- O niczym innym nie gadają. - Kara odłożyła czasopismo na łóżko i założyła nogę na nogę.

- Wciąż nawijają o Easym i Callie. Ach, i jeszcze znaleźli zapalniczkę w zgliszczach, z inicjałami Juliana McCafferty'ego. Niektórzy mówią, że to Tinsley wywołała pożar. Albo gość ze sklepu monopolowego. Nie wiem. To mógł być każdy.

Brett odsunęła czasopismo i w końcu usiadła na jedwabnej kapie w indiańskie wzory. Na ścianie nad łóżkiem wisiał niebiesko - biały kwasoryt przedstawiający zagłówkę. Przysłał go dziadek Tinsley, a Brett ocaliła przed wyrzuceniem do śmieci. Tinsley nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpakować prezent, odchyliła tylko narożnik i już chciała go wyrzucić.

Kara przysunęła się nieco i Brett poczuła na skórze jej ciepły, łaskoczący oddech.

- Słyszałam, jak ktoś mówił, że koło stodoły kręcili się chłopacy ze Świętego Lucjusza.

- Naprawdę? - Brett przebiegł dreszcz na wspomnienie Świętego Lucjusza. Wyprostowała się. Jeremiaś przysłał jej rano mejl, że słyszał o pożarze... I że słyszał też „inne rzeczy”. Co by powiedział, gdyby odkrył, że plotki o niej i o Karze są prawdziwe? I co miała mu odpisać? Zerknęła na włączony komunikator, jak gdyby mogła znaleźć tam odpowiedź. Postanowiła, że odpowie mu dopiero wtedy, kiedy się dowie, jak się sprawy mają z Karą.

- O co chodzi? - spytała Kara. Wpatrywała się w Brett, a Brett odwróciła wzrok i zagapiła się na sterty żółtych i pomarańczowych liści na dziedzińcu za oknem. - Hej. - Kara położyła dłoń na łokciu Brett. - To ja. Pamiętasz mnie?

Brett czuła, że pod dotykiem Kary uchodzi z niej napięcie. Przysunęła rękę bliżej dziewczyny. Przez chwilę siedziały w milczeniu, a Brett znowu zapatrzyła się na liście. Za oknem przeleciał żółty talerz do freesbie. Biegła za nim roześmiana Benny Cunningham.

- Mam pomysł. - Orzechowe oczy Kary zerknęły znad okularów. - Zapomnijmy o tym całym pożarze. Może wskoczmy w piżamy i pooglądamy filmy w świetlicy? Mam nastrój na coś kiczowatego i śmiesznego... jak *Girls just wanna have fun*. Szalone lata osiemdziesiąte, uwielbiam to. - Kara spojrzała z nadzieją na Brett.

Brett skinęła głową bez przekonania, wodząc palcem po kwiatowym wzorze na kapie. Oglądanie kiczowatych filmów z Karą to był doskonały pomysł. Tylko... dlaczego w świetlicy Dumbarton? I w piżamach? Czy nie zaczną gadać, że spędziły razem noc? Znalazła luźną nitkę w materiale kapy i pociągnęła ją, patrząc, jak wzór się pruje. Czy Kara się obrazi, jeśli zaproponuje, żeby zostały w pokoju?

Zanim cokolwiek odpowiedziała, drzwi otworzyły się z impetem, uderzając w tancerki na kopii Degasa wiszącej na ścianie. Tinsley wpadła jak burza do pokoju. W jasnoniebieskiej bawełnianej koszuli i białej falbaniastej spódniczce w dziurkowane wzory wyglądała jak uosobienie niewinności. Brett wiedziała, że współlokatorka ubrała się tak z rozmysłem, gdyż o Tinsley Carmichael można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest niewinna.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam ani tobie, ani twojej dziewczynie - zakpiła.

Jej ciemny koński ogon kołysał się, gdy otwierała i zamykała szufladę biurka, chowając coś do kieszeni tak szybko, że Brett nie zauważyła, co to było. Zniknęła błyskawicznie. Brett nie zdążyła nawet obmyślić złośliwej riposty. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, który zabrzmiał jak wystrzał.

Chodź. - Kara wstała, zupełnie nieporuszona złośliwością Tinsley. - Moja dziewczyno - dodała z prowokacyjnym uśmiechem. Musiała dostrzec wyraz przerażenia na twarzy Brett, bo w jej orzechowych oczach błysnął niepokój. - No daj spokój, masz zamiar przejmować się jej gadaniem?

- Podkreśliła słowo "jej", tak jakby Tinsley była jakąś odrażającą kreaturą, którą trzeba usunąć ze świata.

- Nie... - Brett pokręciła głową, najpierw powoli, potem bardziej zdecydowanie. Tinsley zachowała się po prostu podle, jak zwykle. Problem w tym, że przejmowała się nie tylko słowami Tinsley. Martwiła się szeptami, które słyszała wczoraj na imprezie, meblem od Jeremiaha i tym, że przewracał jej się żołądek.

- Chce ci zaleźć za skórę. Nie przejmuj się. - Kara zrobiła krok w stronę drzwi i odwróciła się do Brett. Wsadziła dłonie w kieszenie dzinsów. - Nie musimy używać takich określeń, jeśli tego nie chcesz.

- Och! - Brett odparła bezwiednie, zanim pomyślała o jakiejś odpowiedzi. - Mhm, okej.

Kara wzruszyła od niechcenia ramionami, a Brett pozazdrościła jej opanowania.

- Po co tak dramatyzować? Mamy po siedemnaście lat, nawet nie wiemy, co robimy - stwierdziła rzeczowo. - Może sprawdzimy, czy jest coś w telewizji, zanim pójdziemy po film?

Skinęła głową w kierunku świetlicy, zamykając w ten sposób intymną część rozmowy. Brett uwielbiała w Karze to, że tak łatwo potrafiła przejść od trudnych do lekkich tematów. Z nią wszystko wydawało się proste.

Brett poprawiała sznurek od spodni J. Crew, które podjechały do góry.

- Może lepiej pójdźmy do twojego pokoju - zaproponowała. - Możemy pograć w boggle. Jestem w tym świetna - dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Odprężyła się na myśl, że będą same. Kara miała jedynekę na końcu korytarza, a to oznaczało, że mogłyby siedzieć tam w spokoju i nie narażać się na złośliwości współlokaterek i wścibskie spojrzenia innych dziewczyn z Dumbarton.

Kara wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy - zgodziła się i ruszyła przodem.

Uśmiechnięta Brett poszła za nią. Kara była taka ugodowa. I miały szczęście, że mieszkała w jedyńce. Kiedy żyje się pod jednym dachem z trzystoma dziewczynami złaknionymi plotek, naprawdę trudno zachować prywatność. Jeśli tylko postarają się nie rzucać w oczy, to to, co jest między nimi, może się okazać najlepszym związkiem w jej dotychczasowym życiu.

Sowa Waverly ma szacunek dla starszych - zwłaszcza jeśli może nimi manipulować

Tinsley Carmichael stała w poczekalni przed gabinetem dziekana Marymounta i zerknęła na biurko pana Tomkinsa. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby było puste. Wyłysiały przedwcześnie sekretarz dziekana warował przy nim jak wiemy pies bez chwili wytchnienia, okazując przy tym skrajną, wręcz głupią lojalność. Tinsley otworzyła górną szufladę ciemnego dębowego biurka. Była pusta, jeśli nie liczyć napoczętej paczki gumy miętowej, złotej jednodolarówki z wizerunkiem Indianki Sacagawea i srebrnej bransoletki z wisiorkami od Tiffany'ego, na której pozostał jednak tylko jeden wisiorek - maleńki dzbanek do herbaty. Dziwaczne. Tinsley odwinęła listek gumy do zucia i wpakowała go do buzi, zastanawiając się, co ciekawego może się jeszcze kryć w tym pokoju. Wyglądał, jakby ktoś, kto go urządził, wzorował się na kolekcji Masterpiece Theatre. Ściany wyłożono ciężką dębową boazerią, a wysokie półki wypełniono książkami w zielonych, czerwonych i czarnych oprawach ze złotymi literami. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, jak bardzo onieśmiało to uczniów, którzy czekali tu na spotkanie z dziekanem. Ona sama stała tu już wiele razy. Ale dzisiejsza misja była ważniejsza niż jakakolwiek inna.

Gdy zobaczyła wczoraj, jak Julian i Jenny się całują, była tak wściekła, że nie mogła zasnąć. Przez większą część nocy wpatrywała się w rzekę Hudson i czuła się jak idiotka, bo zakochała się w Julianie. Gdy ciemności zaczęły rzednąć, oddała się fantazjowaniu. Wyobrażała sobie, że zbuduje niewielką tratwę z konarów i gałązek drzewa i popłynie rzeką na Manhattan, gdzie ludzie pewnie jeszcze nie położyli się spać i gdzie roi się od facetów bardziej napalonych niż Julian, który przecież jest dopiero w dziewiątej klasie. Pewnie by się wszystkim przysłużyła, gdyby zniknęła w tajemniczy sposób. Co by bez niej zrobili?

Ale snucie fantazji o zniknięciu wynikało z nocnej desperacji. A dzisiaj był nowy dzień. Wyjęła komórkę i wprowadziła numer ładnie wypolerowanymi paznokciami bez śladu lakieru.

- Halo? - Głos Callie zdawał się dobiegać z oddali.

- Gdzie jesteś? Miałśmy się tu spotkać. - Tinsley mówiła przyciszonym głosem, żeby dziekan Marymount jej nie usłyszał. Sekretarz wyjechał na weekend, ale Marymount był pracoholikiem, więc nie miała wątpliwości, że zastanie go w sobotę w gabinecie - zwłaszcza po wczorajszych wydarzeniach.

- Ach, prawda. Callie mówiła wolno i leniwie, jakby dopiero co się przebudziła. - Jestem z Easy. Nie możemy załatwić tego później?

Usłyszała, jak Easy mruczy coś w tle, na co Callie zachichotała. Tinsley przewróciła fiołkowymi oczami.

- Ale ja już tu jestem. Czy ty w ogóle słuchasz? - Starła się ukryć zniecierpliwienie.

Patrzyła przez ogromne wykuszowe okno na ciężką, deszczową chmurę. Kilka kropelek deszczu rozbiło się o szybę.

Miała nadzieję, że Easy i Callie są gdzieś pod gołym niebem i że będą musieli zwiewać w tę pędy.

- Ależ słucham. - Szept, szept, szuranie. Chichot. - Ale nie mogę się teraz z tobą spotkać. Przestań.

Tinsley niecierpliwie zerknęła na swój srebrny zegarek Monado.

- Co mam przestać?

- Mówiłam do Easy'ego - wyjaśniła Callie i znowu głupawo zachichotała. - Powiedziałam, przestań! - zapiszczała.

- Pomożesz mi czy nie? - spytała Tinsley ze złością, zapominając, że ma mówić szeptem. Żałowała, że nie wzięła z pokoju bluetootha, ale nie miała na to czasu. Nie chciała się wdawać w pogawędkę z Brett i jej lesbijską kochanką.

- Tak. Przecież obiecałam, no nie? - odparła Callie mocno przyciszonym głosem, jakby nie chciała, żeby Easy to usłyszał. - Po prostu nie mogę teraz przyjść. Załatw to beze mnie. I tak sama sobie lepiej poradzisz.

- W porządku. - Tinsley się rozłączyła i wsunęła telefon do zamszowej torebki Calypso. Chociaż była wkurzona, że Callie wystawiła ją do wiatru, to w jednym się z nią zgadzała - sama lepiej sobie poradzi. Wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w stronę drzwi prowadzących do gabinetu dziekana.

- Proszę! - powiedział głośno, słysząc niepewne pukanie Tinsley.

Dziekan Marymount nie podniósł nawet głowy, gdy weszła. Długi kosmyk włosów nad czołem opadł mu luźno, gdy pochylał się na biurkiem, studiując wnikliwie papier, który trzymał w ręku. Miał na sobie jasnożółtą dzianinową kamizelkę w romby. Wyglądał w niej jak czarny charakter udający dobrego człowieka - zwykły facet z przedmieścia, a jednak dziwnie przerażający.

- Panie dziekanie? - powiedziała Tinsley wystudiowanym głosem małej dziewczynki. Długie ciemne włosy upięła w schludny koński ogon tuż nad karkiem, a jej twarz bez makijażu - wydawała się zupełnie niewinna. A w każdym razie takie miała sprawiać wrażenie. To ona, gdy zobaczyła Juliana z Jenny, rzuciła jego zapalniczkę na ziemię tuż przy stodole i wywołała w ten sposób pożar. Ten fakt zdecydowanie świadczył na jej niekorzyść. Jeśli nie przekona Marymounta, że jest niewinna, jej tyłek będzie zagrożony. Chociaż to najlepszy tyłek w Waverly. - Czy pan nigdy nie ma wolnego? Marymount przyklepał nastroszone włosy i westchnął.

- Zarządzanie taką placówką to praca w pełnym wymiarze, panno Carmichael. - Obrzucił ją przeciągłym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Jego biurko, zwykle idealnie uporządkowane, było

teraz zarzucone aktami i papierami. Z ogromnego wykuszowego okna za jego plecami rozciągał się rozległy widok na kampus Waverly.

Ciekawe, pomyślała Kinsley, czy celowo urządził pokój w taki sposób, aby mógł od świtu do zmierzchu obserwować uczniów z drugiego piętra jak jastrząb. Wyobraziła sobie, jak zniża lot, wczepia szpony w zaskoczonoego uczniaka i porywa go z ziemi, by potem drapieżnym dziobem rozszarpać ciało ofiary.

- Poznałam kilkoro kandydatów - skłamała Tinsley, starając się przegonić obraz dziekana w roli drapieżnego ptaszyska. A poza tym mała pogawędka mogła przybliżyć ją do celu. Nerwowo szurnęła nogami. - Zdaje się, że będą dobrymi Sowami.

- Cudowny zbieg okoliczności, prawda? - Marymount rzucił pióro Crossa na wielki kalendarz w skórzanej oprawie i przecesał dłonią rzadkie włosy. - A podpalacze na wolności. To nie wygląda dobrze, prawda?

Tinsley wiedziała, że to retoryczne pytanie, ale właśnie takiej zachęty było jej trzeba.

- Właśnie dlatego do pana przyszłam. - Zrobiła krok do przodu i stanęła na tureckim dywanie, starając się wyrzucić z pamięci ten ostatni raz, gdy stała dokładnie w tym samym miejscu. Nie dalej jak kilka dni temu zmusiła dziekana, by wyraził zgodę na spotkanie kinomaniaków poza terenem kampusu, w starej stodole. Wykorzystała wtedy fakt, że żonaty od wielu lat Marymount miał romans z opiekunką akademików Angelicą Pardee, również mężatką z długim stażem. Zgodził się na imprezę, ale powiedział jej, że to na nią spadnie cała odpowiedzialność, jeśli coś pójdzie nie tak. I poszło fatalnie. Nie mogło być gorzej. Ale jeśli Tinsley postawi na swoim, to wszystko da się naprawić. A przecież zawsze stawia na swoim.

Marymount odsunął się od biurka i złożył dłonie na brzuchu. Zabytkowy zegar ustawiony na jednej z półek w narożniku wydał przeraźliwy odgłos, wybijając godzinę.

- Nie muszę pani przypominać o naszym ostatnim spotkaniu, panno Carmichael.

Tinsley skwapliwie pokiwała głową. Wiedziała, że Marymount nie oczekuje odpowiedzi, i nie miała zamiaru nerwowo mamrotać pod nosem usprawiedliwień, żeby sprawić mu satysfakcję. Wbiła oczy w zdjęcie rodzinne w srebrnej ramce, stojące na biurku. Było skierowane na zewnątrz, jak gdyby Marymount nie potrafił znieść spojrzenia żony utkwionego w nim przez cały dzień. Fotograf uwiecznił też dalszą rodzinę. Tinsley zauważyła, że na zdjęciu widać jakiś tuzin ludzi. Przyglądała się dziewczynce, która musiała być bratanicą dziekana, bo jego dzieci już studiowały. Dziewczynka miała przedziałek na środku głowy. Ubrana była w różowe ogrodniczki, a okulary w czarnych oprawkach przysłaniały przerażone oczy. Przydałaby jej się zmiana wizerunku.

Dziekan Marymount wziął pióro i trzymał je tak, jakby miał zaraz złożyć podpis pod pismem wydalającym Tinsley ze szkoły w trybie natychmiastowym.

- Przypuszczam, że wie pani również, kto ponosi winę za pożar?

Tinsley opuściła wzrok na czubki swoich balerinek Miu Miu. Błąd, uświadomiła sobie, gdy tylko to zrobiła. Jeśli patrzysz na swoje buty, ludzie myślą, że kłamiesz. Gorsze jest tylko drapanie się po nosie - każdy to wie. Cała sztuczka polega na tym, żeby patrzeć prosto w oczy albo pomiędzy oczy. Skupiła wzrok na sterzących brązowo - siwych brwiach Marymounta.

- Nie całkiem. Ale wiem, kto tego nie zrobił.

Wąły uśmiech wypłynął na usta dziekana, jakby dla kaprysu pozwolił sobie na drobne rozbawienie.

- To kto tego nie zrobił?

- Słyszałam, że znaleziono zapalniczkę Juliana McCafferty'ego, ale wiem na pewno, że dał tę zapalniczkę Jenny Humphrey. - Tinsley nie przestawała wpatrywać się w brwi Marymounta, aby nie stracić zimnej krwi. Wyglądały jak pączki przyklepione do czoła. Może zakwitną na wiosnę.

- Nie rozmawiałem jeszcze z panem McCaffertym. - Mary mount podniósł kartkę papieru. Niebieskie oczy sunęły po kolejnych liniach tekstu. Tinsley zrobiła krok w stronę biurka. Pstryknął palcem w kartkę. - To raport policji. Twierdzą, że pożar wywołało jakieś urządzenie podpalające.

- Jenny była w stodole, zanim wybuchł pożar. - Tinsley nie dawała za wygraną.

Drzewo za oknem zakołysało się na wietrze i przez moment oślepił ją ostry blask słońca. Zmrużyła oczy. Miała nadzieję, że dziekan nie wziął tego omyłkowo za wzdrygnięcie się. Wiedziała, że jeśli zrobi jeden fałszywy ruch, to nie Jenny wyleci ze szkoły, ale ona.

- O co chodzi z tym obwinianiem Jenny Humphrey? - Marymount wziął z biurka ciężki mosiężny przycisk do papieru w kształcie sowy i obracał go w dłoni. Przeszył ją na wylot niebieskim spojrzeniem znad złotych oprawek okularów. - Pokłóciłyście się?

Tinsley poczuła, że napina ramiona. Klótnia? Niezupełnie. Raczej długa, wyniszczająca wojna, która zaczęła się w chwili, gdy Jenny pojawiła się w szkole z tym swoim ogromnym biustem i postanowiła rzucić się na szyję pierwszemu z brzegu facetowi w kampusie, nie zważając na to, czy jest zajęty, czy nie.

- Jeśli obawia się pan, że mam jakiś ukryty motyw, to proszę zapytać Callie Vernon. Była w stodole. Ona też widziała Jenny. - Tinsley założyła ręce na piersi. Najwyższy czas, aby Callie pozbyła się Easy'ego i zrobiła, co do niej należy.

- A co panna Vernon robiła w stodole? - Dziekan pochylił się nad biurkiem. Nie zdawała sobie sprawy, jak podejrzanie mogą brzmieć jej wyjaśnienia. Rany! Nagle odezwał się sygnał poczty elektronicznej Marymounta. Dziekan zerknął na płaski ekran monitora, po czym znowu skierował wzrok na Tinsley.

- Była z Easym Walshem... hm... rozmawiali. On też widział Jenny - dodała pospiesznie. Jeśli nie będzie ostrożna, to za chwilę się wygada, że to ona wywołała pożar. Cholera. Co się z nią dzieje?

Marymount parsknął śmiechem.

- Lista ewentualnych podejrzanych wydłuża się z każdą chwilą - stwierdził niemal radośnie.

Tinsley dopiero teraz poczuła, że guma do żucia, którą wciąż miała w buzi, straciła cały smak.

- Oni nie mieli nic wspólnego z pożarem - oświadczyła stanowczo. Oparła mocno dłonie na szczupłych biodrach, dokładając wszelkich starań, by nie wyglądać na osobę zdesperowaną. - Ale widzieli Jenny. To ona podpaliła stodołę. Jestem przekonana, że tak było.

Marymount odsunął fotel i wstał, wskazując tym samym, że ich spotkanie dobiega końca.

- Nie obrazi się pani, jeśli nie uwierzę na słowo, prawda? - Kolejne retoryczne pytanie. Tinsley zmrużyła fiołkowe oczy. - Jestem wdzięczny, że poświęciła pani sobotni poranek, aby mi o tym powiedzieć. - Uporządkował papiery na biurku, po czym włożył raport policji do górnej szuflady, zamknął ją ze złowieszczym trzaskiem, przekręcił klucz w zamku i schował go do kieszeni. - Przymknę oko na pani zaniedbania organizacyjne tego fatalnego wieczoru, na razie. Ale jestem pewien, że to nie koniec naszej rozmowy.

Tinsley odwróciła się i wyszła do sekretariatu, zamykając za sobą drzwi gabinetu dziekana Marymounta. Zatrzymała się przed biurkiem pana Tomkinsa. Zanurkowała na drugą stronę i wzięła drugi listek gumy z górnej szuflady, a stary przykleiła pod biurkiem. Dziecinada, faktycznie, ale się wkurzyła i nie miała zamiaru się hamować. Zawsze stawiała na swoim, nie przywykła, żeby było inaczej. I nie zawaha się przed niczym, aby zobaczyć, jak Jenny Humphrey wylatuje z Waverly razem ze swoimi wielkimi cyckami i tłustym dupskiem. Dostanie dokładnie to, czego pragnie i na co zasługuje. Przecież zawsze była szczęściarą. Ten wypadek z pożarem to żaden wyjątek. Ona i jej przyjaciele zostaną, a Jenny Humphrey zniknie.

Bystra Sowa wie, że stajnie Waverly służą do celów rekreacyjnych

Callie Vernon niechętnie odsunęła nagie ramię Easy'ego Walsh'a i usiadła. Sięgnęła po dzinsy Stelli McCartney - leżały na bezładnej stercie na podłodze stajni, tam, gdzie przed godziną rzucili wszystkie ubrania. Spotkali się w tej części stajni Waverly, w której nie trzymano już koni i do której nikt nigdy nie zaglądał. Choć koni już nie było, to ich zapach nadal wisiał w powietrzu. Już lepsze to niż dokuczliwy zapach dymu, który unosił się jak chmura nad całym kampusem.

- Jeszcze nie... - Easy ciągnął za nogawki dzinsów, utrudniając Callie ubieranie. Zachichotała i umknęła przed jego rękoma. Brązowa brezentowa derka, na której wcześniej leżeli - czysta, jak zapewniał Easy - drapała ją teraz w gołe stopy. Wcale tego nie czuła, gdy wcześniej leżała na niej nago. Widocznie jej umysł był zajęty czymś innym.

Spojrzała na nagi tors Easy'ego, na znamię tuż pod klatką piersiową, na sznurek przy grafitowych bokserkach Calvina Kleina. Jego ciało było zawsze sprężyste, mimo że w ogóle nie chodził na gimnastykę, a mięśnie wyraźnie zarysowane.

Pewnie od jazdy konnej. Był taki cudowny, a przychodziło mu to bez trudu. I znowu cały należał do niej, każdy wyborny skrawek jego ciała był jej własnością.

- Musimy tu przynieść jakiś miły koc. - Włożyła na nagie, chude ramiona cienkie jak spaghetti ramiączka różowej koszulki Cosabella i odgarnęła z oczu falującą rudawo - blond grzywkę.

- A co, szorstka derka cię nie kręci? - spytał Easy z delikatnym południowym akcentem.

Podniósł z podłogi starannie złożony kremowy dwurzędowy płaszczek Ralphi Laurena i wcisnął sobie pod głowę jak poduszkę, szczerząc przy tym zęby. Uklękła i próbowała wyciągnąć płaszcz spod jego głowy. Nie przeszkadzało jej, że ma trochę słomy we włosach, ale wściekała się na myśl, że zniszczą się jej ubrania. Już i tak poszła na ustępstwo, nie wkładając obcasów. Zanim zdołała wyciągnąć płaszcz, otoczył ją ramieniem wokół talii i przyciągnął do siebie.

- Jesteś taka delikatna - powiedział z miłością.

Spojrzała w jego cudowne ciemnoniebieskie oczy i strzepnęła źdźbło słomy z nieregularnej brązowej brwi. Usta miał czerwone, szorstkie od całowania. Tak samo jak ona. I to było wspaniałe.

- Nie powiem, żebym przepadała za drapiącymi końskimi derkami.

Położył dłonie na jej plecach w miejscu, gdzie miała znamię w kształcie truskawki. Wsunął palce za jej spodnie.

- Jesteś jak księżniczka na ziarnku grochu.

Nie rozumiała, o co chodzi z tym grochem, ale zdecydowanie czuła się jak księżniczka. Stajnie w Waverly czy luksusowy apartament w hotelu Ritz - Carlton w Atlancie, ulubionym

przybytku jej matki, pani gubernator - dla niej było to bez różnicy. W stajni panował przytulny i intymny nastrój. Niczego więcej nie potrzebowali. Easy chciał najpierw wspiąć się na urwisko, skąd roztaczał się widok na rzekę Hudson, ale zrezygnowali z tego pomysłu, gdy natknęli się na drużynę biegaczy zmierzającą w tym samym kierunku. Nic nie mogło zrujnować romantycznej, rozbieranej randki bardziej niż chudzi, narwani biegacze ze stoperami w rękach.

- O czym myślisz? - zapytał i uniósł głowę, żeby skubnąć ją zębami w ucho.

Miał delikatny, słodki głos. Wszystko, co wiązało się z Easym, wydawało się takie znajome. Czasami kojarzył jej się nawet z rzeczami, które tak naprawdę nie miały z nim nic wspólnego, na przykład ze słodką herbatą, którą uwielbiała w dzieciństwie. Na północnym wschodzie nie pijało się takiej herbaty i była to jedyna rzecz z południa, za którą tęskniła.

Do tej pory rozmyślała tylko o nim, ale kiedy zadał to pytanie, w jej głowie zaroilo się od spraw, o których pewnie powinna była pomyśleć. Na przykład o tym, że wystawiła do wiatru Tinsley, a miała jej pomóc w wykopaniu Jenny z Waverly. Myślała dokładnie to, co powiedziała przez telefon - że Tinsley lepiej poradzi sobie sama. Umiała kłamać jak z nut. A Callie na pewno zaczęłyby się nerwowo wiercić, co wyglądałoby podejrzanie.

- Myślałam... o wczorajszej nocy.

Dla obojga był to pierwszy raz i stało się tak, jak sobie zamarzyła, z tą jedyną osobą, z którą chciała to zrobić. Zapamiętają to do końca życia. Zachowała nawet źdźbło słomy ze stodoły i schowała do górnej szuflady biurka, żeby mieć pamiątkę z ich pierwszej wspólnej nocy. Teraz, kiedy już nawet nie było stodoły, cieszyła się jeszcze bardziej, że zabrała tę słomkę i stała się w ten sposób właścicielką jedynej pozostałości miejsca, w którym wspólnie stracili dziewictwo. Pocałowała Easy'ego w policzek. Odpowiedział charakterystycznym, na wpół drwiącym, na wpół zawstydzonym uśmiechem. Boże, ależ za tym tęskniła. I za jego zapachem, mieszaniną kawy i Marlboro Reds, koni, mydła Ivory i farb... Nie potrafiła dokładnie określić tego zapachu. I za jego mocnymi dłońmi. To wszystko do niej wróciło. I było jej własnością.

- Wiesz co? - Easy wyciągnął rękę i delikatnie założył niesforny kosmyk włosów za ucho Callie. Pocałował jeden z piegów na jej karku, po czym się odchylił i spojrzał jej w oczy. - Kiedy poszedłem do stołówki po obwarzanki, podsłuchałem, jak gadali, że możemy być na liście podejrzanych. Niektórzy myślą, że to my wywołaliśmy pożar. - Zmarszczył czoło.

- To była Jenny. Wszędzie roznosi takie plotki.

Callie zrobiła się czerwona ze złości, gdy przypomniała sobie, jak zeszłej nocy w ich pokoju Jenny oskarżyła ją nie tylko o to, że jest okropną przyjaciółką, ale też podpalaczką. Była wściekła, że Easy ją rzucił, i za wszelką cenę chciała się odegrać na Callie. Poza tym Callie była pewna, że Jenny sama wywołała pożar z zazdrości. Zasłużyła na to, żeby ją wykopać. A wtedy Callie miałyby jedynekę. Mogłaby spuszczać sznurkową drabinkę i co noc przemycać Easy'ego do pokoju.

- Daj spokój. - Easy skubał brązową plamę na dzinsach. Czy to farba, czy coś końskiego i odrażającego? - To naprawdę nie pasuje do Jenny - powiedział niskim i miękkim głosem, jakby bał się ją rozdrażnić.

Callie zwięzła piwne oczy i spojrzała na niego ze złością. No tak, przecież jest ekspertem, jeśli chodzi o Jenny. Latał za nią przez dwa cholerne tygodnie i co? Wszystko o niej wie? Zesztywniała cała. Nie chciała teraz o tym rozmawiać. Nie chciała tracić ani sekundy więcej na rozmyślanie o Easym i Jenny. Jest nadzieja, że Jenny wkrótce zniknie, jeśli tylko rozmowa Tinsley z dziekanem poszła tak, jak planowały. Jeśli nie, to mają mnóstwo czasu, żeby znaleźć inne rozwiązanie. I już nigdy więcej nie będzie musiała zaprzętać sobie głowy Jenny.

- Chyba powinienem ci dokładniej wyjaśnić, co się stało z Jenny. Albo przeprosić cię. Albo coś... - Stracił wątek i pocierał skronie kciukami. - No wiesz, tyle się działo i nie mogłem...

Gallic zamknęła mu usta długim, czułym pocałunkiem. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Easy odpowiedział na pocałunek, a potem delikatnie się odsunął. Na mlecznobiałej skórze Callie pozostał różowy ślad. Wiedział, że chociaż udaje, że nic jej (o nie obchodzi, to nadal jest przygnębiona z powodu Jenny. Nic dziwnego, że dla Callie to drażliwy temat - gdy zobaczyła go z Jenny, musiała być wstrząśnięta, więc to naturalne, że jest zła. Ale jednak... Jenny nie zasłużyła na to, żeby ją obwiniać za to całe zamieszanie, które spowodował.

- Nie sądzisz, że powinniśmy o tym porozmawiać? - Usiadł na derce i przyciągnął Callie do siebie, wyciągając w końcu spod głowy jej puszysty kremowy płaszcz.

- Ciii. - Callie położyła palec na jego ustach, a potem je pocałowała. Słońce stało wysoko na niebie i rzucało długie cienie na podłogę w stajni. - Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Easy rozchylił wargi, żeby coś powiedzieć, ale uciszyła go długim, leniwym pocałunkiem. Callie miała rację. Byli znowu razem i nic nie mogło zmienić tego, co do niej czuł.

Sowa Waverly nie wykorzystuje kandydatów na Sowy

Brandon Buchanan leżał na narzucie od Ralpa Laurena, którą przykrywał łóżko. Ręce, stwardniałe od gry w squasha, trzymał pod głową. Pan Otwarty zamknął podwoje. Do tej pory nie mógł uwierzyć, że raz w życiu zdobył się na ripostę jak z filmu. Dobre riposty zwykle przychodziły mu do głowy dopiero po fakcie, ale wreszcie się to zmieniło. Było w tym coś niesamowitego. Dał do zrozumienia Elizabeth Jacobs, napalonej dziewczynie ze Świętego Lucjusza, z którą chciał chodzić, że jeśli będzie nalegała na otwartość w związkach - co dla niej oznaczało, że może się spotykać i flirtować z kim tylko chce, nawet na oczach Brandona - to pewna grupa Mężczyzn na Poziomie nigdy się nią nie zainteresuje. Przez całe życie będzie musiała się zadowalać takim facetami jak Brian Atherton. Atherton. Walnięty dupek.

Ciche pukanie przerwało te bliskie samouwielbienia medytacji. Może to Elizabeth chce mu powiedzieć, że bardzo jej przykro. Że jeśli jej nie wybaczy, to wstąpi do klasztoru i na zawsze porzuci wszelkich Athertonów na świecie i jego też. Albo coś równie filmowego i romantycznego.

Odkasznął i starał się, by jego głos brzmiał stanowczo i męsko:

- Proszę.

Ale zamiast głowy Elizabeth ujrzał w drzwiach brodatą twarz Kanadyjczyka Pierre'a Hauslera, opiekuna internatu. House, jak go wszyscy nazywali, należał do tych absolwentów Waverly, którzy od chwili przyjazdu nigdy nie opuścili tego miejsca. A jeśli nawet, to tylko po to, by skończyć studia. Pilnował porządku w internacie, był asystentem trenera dziewczęcej drużyny softballu i uczył pierwszorzeczników przyrody i gry na flecie. Mawiał również: „He?”.

- Trudne chwile, he? - zapytał House, przystając w drzwiach. Pomimo przydomka był szczupłym facetem i wyglądał trochę jak Johnny Knoxville, tyle że z brodą. Poza tym był równym gościem i nie nudził za bardzo, żeby gasili światło. „Trudne chwile, he?” - należało do jego standardowych powitań.

- Nie. - Brandon usiadł i przejechał dłonią po krótkich, falujących ciemnozłoty włosach. - Co jest?

House otworzył szerzej drzwi i oczom Brandona ukazał się chudy dzieciak, którego nigdy przedtem nie widział. Miał sterczące jasnobrązowe włosy, które wyglądały tak, jakby nigdy w życiu nie widziały grzebienia, i trzymał zielony wojskowy worek L. L. Bean z inicjałami SRT wyszytymi na górze pomarańczową nitką. Był niższy niż przyrodni bracia Brandona, Zach i Luke, którzy mieli jedenaście lat i wciąż uważali, że pistolety na wodę to najbardziej superowa rzecz na świecie. Lubili się znećcać na labradorem Brandona, który - dziwnym trafem - też miał na imię Elizabeth. Brandonowi przemknęła przez głowę myśl, że od tej pory ilekroć będzie wołał psa, to przypomni

sobie przeżycia z kobietą o otwartym umyśle.

House wskazał palcem dzieciaka.

- To jest Sam Tri... Trigonis. - House'a nie trzymały się nazwiska, co było dość kłopotliwe u opiekuna internatu. Często zwracał się do swoich podopiecznych, używając numerów pokoi. - Jest jednym z kandydatów, którzy przyjechali na weekend.

Kandydaci. Wydarzenia zeszłego tygodnia - krótki, słodko - gorzki romansik z Elizabeth i szaleństwo ze spalaniem stodoły - sprawiły, że Brandon zapomniał, że przez kilka dni po kampusie będzie się kręciła banda ośmioklasistów, nieodłącznie towarzyszących starszym kolegom.

- Miał być pod opieką Briana Athertona, ale dziś rano zdarzył się... hm, wypadek na kortach do squasha - mówił dalej House.

Brandon zauważył, że chłopak ma pod jednym okiem ciemnego siniaka, który sięga aż do czubka nosa. Wyglądało to tak, jakby oberwał piłką w twarz. I to mocno. House skinął kudłatą, ciemnowłosą głową w stronę Brandona.

- Sam, to jest Brandon Buchanan.

- Miło cię poznać. - Sam wkroczył do pokoju, który Brandon dzielił z Heathem Ferrem, i wyciągnął dłoń jak polityk. Był ubrany w ciemny wypłowiały T - shirt z Harrym Potterem i spodnie khaki z beznadziejnym kantem z przodu. Gdyby nie jego poważny wygląd, to ten kant mógłby się wydawać odjazdowy. Ale tak nie było.

- Miło cię poznać, również. - Brandon zsunął stopy w skarpetkach Perry'ego Ellisa na drewnianą podłogę i pochylił się do przodu, by uścisnąć rękę dzieciaka.

House uśmiechnął się z nadzieją do Brandona.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby go trochę oprowadzić i zabrać w jakieś inne miejsce niż kort do squasha? - Położył duże dłonie na chudych ramionach Sama. - Będę ci wdzięczny.

Brandon westchnął ciężko, a House zniknął w korytarzu, zostawiając gamoniowatego ośmioklasistę na środku pokoju. Z trochę za krótkich spodni khaki wystawały brązowe skórzane buty do żeglowania.

- Ładny pokój - odezwał się nieśmiało Sam. Obrócił się dookoła, a jego oczy się ożywiły, gdy zobaczył konsolę PSP Heatha na jego niezaścielonym łóżku. Spojrzał wyczekująco na Brandona, w taki sposób jak Elizabeth (pies - to może się stać kłopotliwe, pomyślał), gdy chciała, żeby rzucić jej patyk. Brandon się zastanawiał, czy może wydawać ośmioklasiście polecenia w rodzaju: „Siad!” albo „Zostań!”, ale tylko takie dupki jak Ferro traktowały ludzi w podobny sposób.

- Dlaczego chcesz się uczyć w Waverly? - zapytał, wygladzając na łóżku ciemnoniebieską narzutę Ralpa Laurena. To było jak tekst z *Przewodnika po zasadach akademii Waverly*.

- Laski - odpowiedział prosto Sam. Brandon roześmiał się ze zdziwieniem.

- W twojej szkole nie ma dziewczyn?

- Tylko męczące. - Sam postawił worek na podłodze i usiadł na rozmamłanym łóżku Heatha. Wziął do ręki PSP, obracał i oglądał. - I to wszystkie. - Przejechał czule palcem po włączniku.

- Tu też mamy parę takich - przytaknął Brandon ze znanstwem. - Możesz sobie pograć, jeśli chcesz - dodał.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Po chwili pokój wypełniły znajome dźwięki muzyki ze *Spider - Mana*.

- Heath nie będzie miał nic przeciwko temu.

Gdyby Heath wiedział, że Brandon pozwolił jakiemuś niezdarnemu amatorowi dotknąć jego cennego PSP, to wziąłby swoją ulubioną pomadę Molton Brown i wypisał na ścianie całą serię wyzwisk na Brandona. Już tak kiedyś zrobił, w dziewiątej klasie.

- Laski są wszędzie - zgodził się Sam, zręcznie manewrując kciukami na niewielkiej konsoli. - Ale słyszałem, że tutaj są bardziej napalone niż gdzie indziej. - Oderwał oczy od ekranu i spojrzał na Brandona.

- Masz inne gry oprócz *Spider - Mana 3*? Tę już rozpracowałem.

Brandon przeczesał włosy ręką. mrużąc złocistobrazowe oczy. Co u diabła ma robić przez cały weekend z tym nudnym, przemądrzałym dzieciakiem? Zabawiać go, gdy będzie grał w gry wideo? Omawiać wyższość licealistek nad dziewczynami z ósmej klasy? W tym momencie ktoś otworzył drzwi kopniakiem. Stanął w nich Heath. Na jego szarej koszulce Ridgefield Prep pyszniła się obrzydliwa, wielka, okrągła plama potu.

- Co za... ?

- To Sam, kandydat do Waverly. - Brandon zmarszczył nos. Heath śmierdział jak skrzyżowanie zgniłych szparagów i sera gorgonzola. Nic może używać dezodorantów? Brandon położył kiedyś na nocnym stoliku Heatha zupełnie nowy sztyft Speed i dołączył do niego karteczkę z napisem: „Użyj tego”. Następnego dnia dezodorant zniknął, a na łóżku Brandona pojawiła się butelka kremu Nair z doczepioną karteczką: „Użyj tego - na intymne części ciała”. Od tamtej pory Brandon nie wtrącał się do higieny Heatha.

- Spadaj z mojego łóżka - wysapał Heath. Zdjął koszulkę i rzucił ją na podłogę.

Sam szybko wstał i przeszedł na stronę pokoju, należąca do Brandona.

- Korona by ci spadła z głowy, gdybyś wziął prysznic przed przyjściem do pokoju? mruknął Brandon i wstał, żeby otworzyć okno. - I wypierz wreszcie swoje przeklęte rzeczy, bo za chwilę spleśnieją. Zwykle nie był nastawiony tak agresywnie do Heatha, ale Sam stanowił wdzięczną publiczność.

- Może je zabierzesz, kiedy będziesz zanosił swoje ubrania do czyszczenia. - Zielone oczy Heatha błysnęły złośliwie. Badał muskuły przed lustrem w szafie i najwyraźniej podobało mu się

to, co widział. - Twarde, że aż miło. - W końcu jego wzrok spoczął na Samie, który co chwilę dotykał opuchniętego nosa. - Co się stało z twoim kinolem?

- Utknął mi w pułapce na bobry odparł przekornie Sam. Brandon się roześmiał. Ten dzieciak nawet ma jaja.

- A naprawdę to zderzył się z rakieta Athertona.

- Co za pech. Ale myślisz do rzeczy. Heath otoczył Sama ramieniem i przyciągnął go do nagiej, spoczonej piersi. Chociaż była już połowa października. Heath nadal miał taką opaleniznę, jakby właśnie wrócił z Karaibów. Ciągłe dokuczał Brandonowi, że używa tylu kosmetyków, ale Brandon podejrzewał, że Heath nie gardzi przynajmniej jednym - samoopalaczem. Utrzymanie takiego koloru wymagało sporego nakładu pracy.

- Laski w Waverly lubią kandydatów. Kiedy tu pierwszy raz przyjechałem, miałem niesamowite przeżycie - mówił dalej Heath, puszczając w końcu Sama.

Brandon jęknął i rzucił się na kraciatą kapę na łóżku. Ostrożnie wsunął pod łóżko mokasyny Johna Varvatos, aby Heath ani Sam po nich nie deptali.

- Jezu, tylko nie historia o Juliet van Pelt - błagał, prawie jęcząc.

- Nie bądź taki rozgoryczony, to się mogło zdarzyć każdemu. Każdemu, kto naprawdę się stara i daje z siebie wszystko.

Na twarzy Heatha pojawił się znajomy wyraz rozmarzenia. Usiadł na łóżku i zaczął opowiadać osławioną obrzydliwą historię.

- To była jedna z najcieplejszych jesieni, jakie odnotowano tutaj, w Rhinecliff. - Położył się na plecach i włożył ręce pod głowę. Powąchał się pod pachę, jak gdyby chciał poczuć swój męski zapach, i mówił dalej. Byłem smarkaty, niewiele starszy od ciebie. Płaciłem studentom, żeby mi kupowali „Penthouse'a" i „Playboya".

Brandon przewrócił oczami, ale Heath tego nie zauważył. Wpatrywał się marzycielsko w ozdobną sztukaterię łączącą biały sufit ze ścianą.

- To była pierwsza dziewczyna, na którą spojrzałem. I nie mogłem oderwać od niej oczu. Grała z przyjaciółkami we frisbee. Miała na sobie skąpe żółte bikini i wyskakiwała w powietrze jak seksowna gazela, a cycki miała najładniejsze, jakie kiedykolwiek widziałem. Była jak dziewczyna z moich marzeń, tyle że prawdziwa. Juliet van Pelt. - Heath potrząsnął ciemnoblonde czupryną, jak gdyby samo brzmienie jej nazwiska wystarczyło, by opisać to przeżycie.

Sam usiadł na podłodze, opierając się o łóżko Brandona i wpatrując się w Heatha z nabożną czcią. Brandon wstał i podszedł do szafy. Wyjął rakieta do squasha marki Dunlop. Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, zawsze może zdzielić nią Heatha.

- Nie wahałem się ani chwili. Frisbee fruwało w powietrzu. Czas się dla mnie zatrzymał. Przechwyciłem frisbee i podszedłem prosto do niej. Nie bałem się. Powiedziałem jej, że jeśli chce

swoje frisbee, to musi dać mi coś w zamian.

- Heath usiadł na łóżku z niemal grobową miną. Spojrzał Samowi prosto w oczy. - I zrobiła to. Tej nocy uczyniła ze mnie mężczyznę. Nigdy jej nie zapomnę.

- Mówisz serio? - Niezbyt bystra twarz Sama jaśniała z podziwu. Wyglądał jak osierocony chłopak, który właśnie się dowiedział, że jednak ma ojca.

- Jasne. - Heath potarł szczecinkę na brodzie i przytaknął z mądrym wyrazem twarzy, jakby był buddyjskim mnichem, a Sam przemierzył pół świata, aby uzyskać jego radę.

- Na pewno kogoś poderwiesz w ten weekend. To odmieni twoje życie. - Jego oczy znowu nabrały wyrazu rozmarzenia. - Jestem dziś takim facetem, jakim jestem, dzięki jednej cudownej nocy.

Przypominało to kiepski film dla nastolatków. I gdyby chociaż było prawdą! Brandon nawet przez ułamek sekundy nie wierzył, że trzynastoletni Heath mógłby podejść do starszej napalonej koleżanki i przekonać ją, żeby się z nim przespała, i to zaraz po przyjeździe do Waverly.

- Zdołowany? - zapytał Heath i kopnął jeden ze swoich zabłoconych adidasów tak, że wylądował na kolanach Sama. Chłopak nie zwrócił na to uwagi.

- Totalnie - odparł tak podniecony, iż wydawało się, że zaraz się posika w majtki.

Z dworu dobiegło dziewczęce chichotanie. Heath zerwał się na nogi i wystawił głowę przez okno.

- Miłość na sprzedaż! - zaśpiewał najgłośniej, jak umiał. Brudna, nieprzyzwoita miłość na sprzedaż!

Dziewczyny z dziewiątej klasy zapiszczały zachwycone i uciekły. Brandon oparł się o poduszkę i starał się nie przejmować tym, że zaraz dojdzie do katastrofy. I to na jego oczach. Heath? Jako opiekun kandydata? Co mógł mu pokazać?

Heath porwał Sama z podłogi i przyciągnął do okna.

- Pamiętaj, nie zaczepiaj pierwszorocznych. One nie mają o niczym pojęcia - doradzał chłopakowi. - Już lepiej takie. - Wskazał na kogoś na chodniku. - Hej, moje panie! - zawołał Heath.

- Pokazały ci palec - wyszeptał Sam, dźgając Heatha łokciem w gołe żebra.

- To część wyrafinowanego rytuału - odpowiedział szeptem Heath. - Nie chodzi o mnie, drogie panie - zawołał do nieszczęsnych dziewcząt. - Sam szuka miłości i przyszedł do mistrza.

- Chyba do mistrza masturbacji! - odkrzyknął dziewczęcy głos na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli. Brandon pękał ze śmiechu. Przyłożył do twarzy rakietę do squasha i się śmiał.

- Hej, to jest seks z kimś, kogo kocham - krzyknął Sam w odpowiedzi. Zwrócił się do Heatha. - To z *Annie Hall*. Ulubiony film mojego ojca. Widziałem go co najmniej dziewięć razy.

- Nie, nie, nie, nie. Heath złapał Sama za koszulkę z Harrym Potterem i odciągnął go od okna. - Nie cytuj dziewczynom filmowych dialogów - ostrzegł. - Nie łapią tego, to strata czasu. -

Podszedł do swojej szafy i zerknął przez ramię na Sama, który wyglądał tak, jakby pragnął chwycić notes i zapisać wszystko, co mówi Heath. - Musisz się dużo nauczyć, a nie mamy zbyt wiele czasu.

Wyjął z szafy czystą koszulkę i wyprowadził Sama na korytarz, zaczynając wykład o tym, że przede wszystkim trzeba być zabawnym i wygadany, ale nie gadułą, najważniejsze są genialne i dowcipne riposty.

Brandon z westchnieniem ulgi położył się z powrotem na łóżku, zadowolony, że znowu ma pokój tylko dla siebie. Zmęczyła go obecność śmierzącego, głośnego Heatha Ferra. Znużyły jego dziwaczne opowieści o seksualnych podbojach i nauki o tajnikach romansowania. Choć prawdę mówiąc, Brandon nigdy nie odniósł specjalnych sukcesów na tym polu. Może przydałyby mu się jakieś lekcje, najlepiej udzielone przez dziewczynę, która wiedziałaby o ptaszkach i pszczołkach trochę więcej niż on sam. W kampusie roiło się od takich nauczycielek. Musiał tylko znaleźć odpowiednią.

SówNet

AlisonQuentin:

AlanStGirard:

AlisonQuentin:

AlanStGirard:

AlisonQuentin:

AlanStGirard:

AlisonQuentin:

Komunikator

Jest sobota, jedenasta w nocy - czy wiesz, gdzie są twoje dzieciaki?

Niesamowity spokój w kampusie, no nie?

Wszyscy odpoczywają po wczorajszej nocy, co?

Chętnie odpocząłbym na twojej poduszce...

Niegrzeczny.

To znaczy, tak?

Jasne.

**Sowa Waverly wie, że przyjaźń wymaga,
aby od czasu do czasu
powiedzieć „przepraszam”**

Było niedzielne popołudnie i Callie szła szybko przez świeżo ścięty trawnik. Marzyła, aby zgubić gdzieś nieznośną kandydatkę, która od drugiego śniadania nie odstępowała jej ani na chwilę. Czarne czółenka Lanvina zapadały się w trawie, ale gdyby wybrała żwirową alejkę, to spacer do Dumbarton trwałby jeszcze dłużej, a chciała się pozbyć Chloe jak najszybciej. Zauważyła, że pod drzewem siedzi inna kandydatka, zatopiona w lekturze, i pomyślała, że mogłaby poprosić Chloe, żeby do niej podeszła i nawiązała znajomość.

- To co? - wysapała Chloe, która nie mogła nadażyć za długimi susami Callie. Spod nóg dziewcząt wzbijały się w górę opadłe liście. - Co się stanie z podpalaczem, gdy go złapią?

Callie wyjęła chusteczkę z zakietu Helmuta Langa w gołębiczym kolorze i udawała, że wyciera nos. To Alison zgłosiła się na ochotnika jako opiekunka tego dzieciaka w Waverly, ale w środku drugiego śniadania nagle wsiadła i oznajmiła, że idzie uczyć się z Alanem, a opiekę nad kandydatką zwała na Benny i Sage. Kiedy one z kolei stwierdziły, że idą do pokoju powtórzyć materiał, Chloe zapytała nieśmiało, co ma zrobić. W chwili słabości Callie zaproponowała, że oprowadzi ją trochę po kampusie.

Ale to przecież nie znaczyło, że Chloe ma się jej uczyć na wieki, no nie?

- Nie wiem. - Callie wcisnęła chusteczkę do kieszeni. Jej minispódniczka Elie Tahari podwijała się trochę na udach, więc chciała się przebrać, ale nie miała zamiaru zabierać Chloe do swojego pokoju, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Nie była odpowiednio ubrana na taką pogodę, ale ponieważ zeszła do jadalni po raz pierwszy od czasu pożaru - i od momentu, kiedy wybiegli z Easym ze stodoły na pół nadzy - chciała wyglądać jak najlepiej. - Pewnie ich wyrzucą ze szkoły albo aresztują... albo jedno i drugie.

Callie czuła się zmęczona. Wczoraj aż do późnego wieczoru snuli się z Easym po różnych miejscach w Waverly, nadających się na randkę. Callie nie chciała rozmawiać o pożarze, więc starała się, żeby ich jedynym zajęciem był seks, nie rozmowa. Przynajmniej przez jakiś czas. Nawiasem mówiąc, nie sprawiało jej to specjalnej trudności. Ale ponieważ nie mogli przez to przebywać w swoich pokojach, czuła się trochę wyczerpana. Chciała mieć chłopaka, a nie mistrza sztuki przetrwania.

- Pójdą do więzienia? - zapytała Chloe, niemal biegnąc, żeby dogonić Callie, która przechodziła właśnie między dwoma starszymi chłopakami, ćwiczącymi podania. Miała na sobie ciemnozielony sweter z luźnym golfem. Callie z trudem powstrzymała się, aby nie zarzucić go na

jej głowę, żeby wreszcie zamilkła.

- Nie wiem. - Rzuciła uśmiech miłszemu z dwóch chłopaków, którzy potulnie przytrzymywali piłkę futbolową Nerfa, czekając, aż dziewczyny przejdą. Czowała, że odprowadzają ją wzrokiem. Nic nie dodaje dziewczynie więcej pewności siebie niż zachwycony nią chłopak.

- A może tylko będą musieli popracować społecznie? Czy ta dziewczyna nigdy nie zamyka buzi?

- Nie wiem.

Nie byłoby źle, gdyby zamknęli Jenny w więzieniu i kazali jej nosić ten jaskrawopomarańczowy kombinezon, w którym przy swojej cerze wyglądałaby okropnie. Tinsley przekazała już Callie, że spotkanie z dziekanem okazało się porażką. Ale to jej nie powstrzymało. Miały teraz wprowadzić w życie plan B. Callie była tak pochłonięta Easym, że nie poświęcała zbyt wiele uwagi tej misji. Wiedziała, że Tinsley będzie rozczarowana jej totalnym brakiem sprytu.

- Hej, CV. !

Callie odwróciła się i zobaczyła Tinsley. O wilku mowa. Wyglądała super w krótkiej sukience Nike do tenisa. Obcisły materiał niepokojąco opinał jej ciało, a biel kontrastowała z perfekcyjnie opaloną skórą. Czarne włosy, lśniące jak w reklamie szamponu Pantene Pro - V, ściągnęła w koński ogon na czubku głowy.

- Kto to jest? - Tinsley oskarżycielko wymierzyła tenisową raketę Wilson w Chloe, która się wzdygnęła, jakby to było ostrze noża. Ale Callie nie mogła nie zauważyć, że Chloe wpatruje się w Tinsley z uwielbieniem. Przewróciła oczami. Czy istniał ktokolwiek, chłopak albo dziewczyna, kto nie oddawał czci Tinsley, nawet jeśli odczuwał przed nią strach?

- Kandydatka - odparła Callie. - Chloe, poznaj Tinsley. Tinsley zmrużyła fiołkowe oczy, mierząc dziewczynę od góry do dołu.

- Mam wrażenie, że już cię widziałam - powiedziała. - Byłaś już kiedyś w Waverly?

Chloe w milczeniu potrząsnęła blond głową, wyraźnie oszołomiona tym, że rozmawia z nią wielka Tinsley Carmichael.

- No to hej, do zobaczenia później - rzuciła Callie. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Dumbarton i podrzucić Chloe pierwszej napotkanej osobie.

- Narka. - Tinsley zaszalowała dziewczynom raketą tenisową i ruszyła w stronę kortów.

Callie wbiegła po schodach i otworzyła drzwi, rozglądając się za potencjalną ofiarą. Jednak w świetlicy było dziwnie pusto, co wydawało się zagadkowe nawet jak na niedzielę. Zazwyczaj roilo się tu od dziewcząt, które siedziały na miękkich skórzanych sofach, zajadały popcorn i oglądały filmy albo udawały, że uczą się w małych grupkach, gdy tak naprawdę plotkowały nad otwartymi podręcznikami. Nigdy nie było tu tak cicho. Przypominało to upiorne sceny z horrorów, kiedy wszyscy są już martwi, a zabójca czeka na odpowiedni moment, by dopaść ostatnią ofiarę.

Nagle Callie zauważyła, że z bocznego oparcia sofy zwisają nogi w różowych skarpetkach w biedronki. To Brett słuchała muzyki z iPod'a z nosem wetkniętym w zniszczony egzemplarz *Buszującego w zbożu*. Brett miała zwyczaj czytać tę książkę od dowolnego miejsca, czasem od środka, a nawet od końca. Nazywała Callie Stradlaterem, który był męczącym współlokatorem bohatera książki - Holdena. Ciągłe cytowała jakieś fragmenty. Ale w ostatnich dniach prawie ze sobą nie rozmawiały.

Callie już miała pociągnąć Brett za nogę w skarpetce, gdy przypomniała sobie ze zgrozą, jak po pijanemu rozniosła wieści o Brett i Karze po całym kampusie Waverly. Spojrzała jeszcze raz na Brett w tych głupich skarpetkach i z ulubioną książką w ręce i poczuła się okropnie. Czy Brett wiedziała, że to Callie jest winna tym wszystkim plotkom?

Brett przerzuciła kartkę i podskoczyła na widok Callie. Wyjęła z ucha słuchawkę, a Callie usłyszała kawałek *Nine inch nail*.

- Cześć - powiedziała oziębło Brett z błyskiem w zielonych oczach. Założyła ręce na piersi. - Przychodzisz po to, żeby opowiedzieć coś więcej o moich najbardziej skrywanych, mrocznych tajemnicach? No to miała odpowiedź.

- Cześć. - Callie nie wiedziała, jak zareagować.

Usta Brett były lśniące i czerwone, przez co jej alabastrowa cera wydawała się jeszcze bledsza. W tym roku naprawdę dostała w kość, pomyślała Callie. Najpierw ta katastrofa z panem Daltonem, potem okazało się, że Jeremiaś przespał się z inną dziewczyną, a teraz wszyscy w szkole gadali, że jest lesbijką.

Callie starała się wyglądać na skruszoną.

- Myślałam, że... że może zajęłabyś się Chloe. - Callie miała nadzieję, że brzmiało to jak prośba, a nie jak żądanie.

- A kto to jest Chloe? - zapytała Brett zakłopotana. Usiadła na sofie i bawiła się frędzelkami swojego białego sweterka C&C z wycięciem w serek.

Callie się rozejrzała. Chloe zniknęła.

- Przed chwilą tu była...

- Nowa współlokatorka? - Brett przygładziła brwi. Callie się roześmiała. Po katastrofie z Jenny nie była im potrzebna żadna nowa współlokatorka.

- Nie, to kandydatka. Przejęłam ją od Sage i Benny. Może poszła do toalety. - Wzruszyła ramionami.

Brett majstrowała przy iPodzie, a Callie się zastanawiała, czy usiąść na sofie. W końcu jednak opadła na duży wyścielany fotel, który stał naprzeciwko. Bawiła się zamkiem od kurtki, zapinając go i odpinając, po czym wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Słuchaj, chciałam cię przeprosić za piątek. Byłam pijana. Wiem, że to kiepskie

wytłumaczenie, ale gdyby nie to, nigdy bym nie zdradziła takiego sekretu. Przecież wiesz.

Brett zastygła z kamiennym wyrazem twarzy i Callie przygotowała się na pełną złości tyradę.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłam - dodała pośpiesznie. Włożyła ręce do kieszeni i od razu je wyjęła, bo przypomniała sobie o brudnej chusteczce. - Wiem, że nie powinnam nikomu mówić. Postąpiłam okropnie i bardzo mi przykro. Gdybym mogła to zmienić... - W końcu, gdy wszystko z siebie wyrzuciła, poczuła, że kamień spadł jej z serca. Wiedziała, że żadne słowa nie wynagrodzą Brett krzywdy, jaką jej wyrządziła, ale „przepraszam” było przynajmniej drobnym zadośćuczynieniem. Rzeczywiście było jej przykro. Nie umiała przeproszać, ale teraz pragnęła tylko naprawić stosunki z Brett.

- W porządku. - Brett wzruszyła ramionami, bawiąc się kosmykiem ufarbowanych na czerwono włosów. - Za bardzo nie przejmuję się tym, co inni gadają. - Zmierzyła Callie wzrokiem, jakby chciała ocenić poziom jej szczerości. - Wybaczam ci.

Callie poczuła, że łzy napływają jej do oczu, już chciała się poderwać i uścisnąć Brett, gdy usłyszała kroki Chloe w tenisówkach New Balance na drewnianej podłodze.

Callie powoli odwróciła głowę w stronę nadchodzącej kandydatki.

- To jest Chloe. - Napotkała bystre, kocie zielone oczy Brett i rzuciła jej przepaszające spojrzenie.

Brett położyła niedużą białą książkę na kolanach i pomachała Chloe dłonią. Paznokcie miała pomalowane na połyskliwy złoty kolor.

- Uwielbiam tę książkę - powiedziała Chloe i nieśmiało spuściła wzrok na stopy w tenisówkach.

- Ja też - przyznała Brett z uśmiechem.

Doskonale. W takim razie mają coś wspólnego. Callie wstała i zbierała się do odejścia, obciążając minispódniczkę.

- Nie masz nic przeciwko temu?

Brett przewróciła oczami, ale tak naprawdę wcale jej to nie przeszkadzało.

- W porządku. Może ze mną zostać.

- Dzięki. - Callie się odwróciła i czmychnęła, stukając obcasami. Przebaczenie Brett dodawało jej skrzydeł.

Easy jest znowu jej chłopakiem, a Brett przyjaciółką. Wszystko wróciło do normy. Prawie. Gdyby jeszcze udało się doprowadzić do zniknięcia Jenny Humphrey, to świat byłby znowu taki jak dawniej.

Sowa Waverly bierze na siebie zabawianie i uczenie przyszłych Sów

Brett szła w samych skarpetkach po wyfroterowanej drewnianej podłodze Dumbarton. Chloe wlokła się za nią. Kandydatka bez przerwy opowiadała o tym, jak Holden okłamał rodziców i wałęsał się po Nowym Jorku, kiedy wyrzucono go ze szkoły z internatem.

- Czy ktoś z Waverly zrobił kiedyś coś takiego? - zagadnęła.

- Hm, chyba nie. - Brett zerknęła przez ramię na drobną dziewczynę, która przypominała jej trochę Reese Witherspoon z filmu *Wybory*, jednego z jej ulubionych. Reese grała ambitną dziewczynę z zasadami, która ubiegała się o wybór na przewodniczącą klasy. W końcu zaczęła stosować nieczyste chwyt, aby osiągnąć to, czego pragnęła. Ale Chloe wydawała się zbyt słodka i niewinna, aby zrobić coś takiego. A pełne niedowierzania spojrzenie niebieskich oczu, gdy opowiadała o wałęsaniu się po Nowym Jorku bez opieki, tylko to potwierdzało.

Brett czasem snuła fantazje na ten temat. Wyobrażała sobie, że została wyrzucona z Waverly i zamiast pojechać prosto do olbrzymiego domu rodziców w Jersey, ucieka na Manhattan, gdzie pomieszkuję sama w hotelach i upija się w podejrzanych barach z przedstawicielami artystycznej i literackiej bohemy. W tej wizji było coś absolutnie olśniewającego.

Tyle że pozostawało to jedynie w sferze fantazji. Rodzice prawdopodobnie odszukaliby ją, zabili i ubrali do trumny w suknię w białe - czarne pasy przypominające zebrowanie. O nie, dziękuję.

Kiedy skręciły w korytarz, Brett zauważyła, że drzwi do pokoju Kary są lekko uchylone. Akurat tyle, żeby poczuć wydobywający się stamtąd truskawkowy zapach aromatycznej świecy i usłyszeć sącące się na korytarz ciche dźwięki piosenki zespołu Shins. Brett się uśmiechnęła. Wczoraj przez cały dzień leniuchowały razem w pokoju Kary. Czytały komiksy i oglądały filmy na jej laptopie, a od czasu do czasu wymieniały pocałunek. Po całej dobie odpoczynku, z dala od szepczących koleżanek, spoglądała na wszystko bardziej optymistycznie. Miała na karku Chloe, więc nie będą same, ale lepiej pójść do Kary, niż samotnie męczyć się z tą dziewczyną.

Brett weszła do środka bez pukania. W pokoju panował idealny, wręcz sterylny porządek, typowy dla Kary. Nie miała pojęcia, jakim cudem Kara udaje się utrzymać taki ład na biurku - stał tam tylko zamknięty laptop i leżało kilka ołówków. Kara zwinęła się na boku na narzucie Batgirl, opierając głowę na nagim ramieniu. Przed nią leżał komiks z jaskrawymi ilustracjami. Piosenka Shins dobiegła końca i ze słuchawek iPoda Kary sączył się teraz kawałek zespołu Decembrists. Brett nie pamiętała tytułu.

- Hej. - Kara uśmiechnęła się na widok Brett i powoli podniosła rękę. Usiadła i obciągnęła grafitowy T - shirt. Na wierzchu widniało nadrukowane chwiejną czcionką słowo „Brooklyn”. Brett przypomniała sobie, że Kara obiecała jej, że zabierze ją do Dumbo, do studia mody, które

prowadziła jej mama - dobrze zapowiadająca się projektantka. Ciekawiło ją w jaki sposób Kara przedstawiłaby ją, gdyby lam pojechały: Cześć, mamó, poznaj moją nową dziewczynę?

- Z daleka czuć zapach świecy. Pardee z rozkoszą by cię za to ukarała. - Brett wskazała na nocny stolik. W pokojach obowiązywał zakaz palenia świec, a Angelica Pardee, mieszkająca w Dumbarton opiekunka internatu, była znana z tego, że pojawiała się niespodziewanie pod drzwiami i wręczała noty z naganą. Brett podejrzewała, że w swojej szafce w łazience Kara ma pokaźny zbiór niedopalonych świec, które zapala, biorąc kąpiel w pianie i popijając taniego merlota.

- Świeca okazała się bardziej aromatyczna, niż mówi reklama - wyjaśniła Kara. Spuściła nogi na podłogę i pochyliła się nad nocnym stolikiem. Osloniła dłonią płomień i zdmuchnęła. Cienkie smużki dymu popłynęły pod sufit. - Miała mieć delikatny zapach.

- A pachnie jak smok - rzuciła Chloe, robiąc krok na pleciony biały dywan leżący na środku pokoju.

Kara odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach, a na jej usta wypłynął krzywy uśmiešek, który Brett uwielbiała. Wyglądała, jakby wiedziała o czymś, czego inni nie wiedzieli. Wcisnęła dłoń w wytarte czarne dżinsy Diesel.

- Kto to jest?

- To Chloe, jedna z kandydatek.

- Miło cię poznać, Chloe. - Kara podkurczyła nogi i wskazała na łóżko.

Chloe nie kazała się prosić dwa razy i szybko usiadła na materacu. Kiwała w powietrzu nogami. Brett opadła na fotel z kulkami w środku, stojący w rogu pokoju.

- Jak ci się podoba w Waverly? - Kara wyjęła żółtą plastikową spinę do włosów z szuflady nocnego stolika i spięła niesforny kosmyk jasnobrązowych włosów, żeby nie opadał jej na twarz. Brett zawsze była pod wrażeniem, gdy widziała dziewczynę, która umie spiąć włosy bez patrzenia w lustro.

- Jest naprawdę super. - Chloe wzięła do ręki komiks *X-Men* i przerzucała kartki. Wczoraj Kara twierdziła z uporem, że Magneto jest fajniejszy niż Wolverine. Brett uśmiechnęła się na wspomnienie tej rozmowy. - Wszyscy tutaj są naprawdę... super.

- No to pewnie jeszcze wszystkich nie poznałaś - odpowiedziała Kara z lekką ironią, a Brett się roześmiała.

- Ale czuję się, jakbym poznała wszystkich - zauważyła Chloe trochę smutno. Odłożyła komiks i poprawiła na nosie okulary w prostokątnych ramkach.

- Co masz na myśli? - zapytała Brett. Wpatrywała się w oprawione w ramkę czarno - białe zdjęcie młodego Boba Dylana z bujną czupryną, trzymającego w ręce napis: „Uważaj”!

- Kręcę się po kampusie i przechodzę z rąk do rąk... - Chloe założyła ręce. - Nikt mnie nie chce.

- To przykre - powiedziała Kara, nastawiając piosenkę Iron & Wine, która przywiodła Brett na myśl Jeremiaha i tamtą noc, kiedy prawie się ze sobą przespali. Czy całe jej życie będzie teraz tak wyglądało, będzie zawsze unikała muzyki, która przypomina jej o popełnionych błędach? Billie Holiday przywodziła jej na myśl Erica Daltona, Iron & Wine kojarzyli się z Jeremiahem. A jeśli z Karą coś się popsuje, to już nigdy nie będzie w stanie słuchać Boba Dylana. W wieku dwudziestu paru lat będzie dźwigała ciężki, ogromny bagaż niechcianej muzyki.

- Zdaje się, że przeszła mi koła nosa niezła impreza w piątek, co? - palnęła Chloe. - Byłyście tam, kiedy zapaliła się stodoła?

- Wszyscy tam byli. - Kara chwyciła komiks i od niechcienia przerzucała kartki, jak gdyby pożary były w Waverly na porządku dziennym.

- Byłyście w środku? Musiałyście uciekać, żeby się ratować? - Chloe patrzyła szeroko otwartymi oczami, cała podekscytowana. Nawet podskoczyła trochę na łóżku.

Brett roześmiała się i odchyliła do tyłu w fotelu. Z każdą minutą czuła się bardziej odprężona. W sobotę trochę przesadziła i cieszyła się teraz, że nie zwierzyła się Karze ze swoich zmartwień. Każdy miał w głowie tylko pożar, więc kto by pamiętał o dwóch całujących się dziewczynach?

- Gdybyśmy byli w środku, to już byłoby po nas.

- Słyszałam, że ktoś tam był - stwierdziła Chloe rzeczowo, opierając się plecami o ścianę.

- Na przykład kto? - Brett znowu wyprostowała się w fotelu. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, że jest taki niewygodny. Jakby siedziała na paczce zamrożonego groszku.

Kandydatka uśmiechnęła się niczym Mona Liza.

- No wiecie. Kilka osób: Easy i Callie, i Jenny, i ten chłopak. Heath, i jeszcze jakiś drugi, który ma na imię Julie, czy jakoś tak.

Kara roześmiała się i padła na poduszkę.

- No co? - Chloe wyglądała, jakby było jej przykro.

- Julian - poprawiła ją Kara. - Ma na imię Julian. Chloe się zaczerwieniła.

- No w każdym razie tak mi się wydawało. Ale może się przesłyszałam.

- Wątpię, aby te wszystkie osoby były w stodole - zauważyła Brett od niechcienia. Jenny? Nie widziała Jenny przez cały weekend, chociaż akurat nie była w nastroju do towarzyskich spotkań. A ściślej mówiąc, wolala spędzać czas wyłącznie z Karą. - To była impreza kinomaniaków na trawniku przed stodołą. Ten pożar to wypadek.

- Znaleźli zapalniczkę, która należy do jednego z uczniów. - Chloe energicznie potrząsnęła głową, aż cienkie jasne włosy rozsypały się na ramionach. - To było podpalenie - dodała szeptem.

Brett spojrzała na Karę, która bezgłośnie powiedziała: „Ojej!”. Chloe rzeczywiście musiała poznać prawie wszystkich na kampusie i sporo podsłuchiwała.

- Może ktoś był w stodole - powiedziała Kara, stukając palcami w drewniany zagłówek łóżka. - Pewnie przez cały wieczór ktoś tam wchodził i wychodził. No wiesz, randkowanie i te sprawy. - Podniosła brwi i spojrzała wymownie na Brett, która się zarumieniła.

Na szczęście Chloe nic nie zauważyła. Zeskoczyła z łóżka i zaczęła oglądać książki na białym regale z Ikei. We wszystkich sypialniach stały standardowe meble: łóżko, komoda, biurko, regał na książki i drewniane krzesło z logo Waverly, ale Kara miała oprócz tego własne meble.

- Masz dużo książek. - Chloe wodziła palcem po grzbietach książek ustawionych w porządku alfabetycznym. - O czym to jest? - zapytała, wyciągając egzemplarz *Pani Dalloway* Wirginii Wolf.

Kara uśmiechnęła się łobuzersko i zerknęła na Brett.

- No wiesz, o dwóch kobietach, które się kochają, ale nie mogą być razem ze względu na konwenanse, których muszą przestrzegać. - Kara sięgnęła po pomadkę ChapStick, którą zawsze trzymała w górnej szufladzie nocnego stolika, i pociągnęła nią różowe usta. Były stworzone do całowania. - Zamiast być razem, muszą wyjść za mąż bez miłości.

- Och. - Chloe wydawała się trochę zaskoczona. Trzymała książkę w wyciągniętej ręce, jakby się bała, że się poparzy.

- Możesz ją pożyczyć, jeśli chcesz - zaproponowała Kara z błyskiem w zielonobrazowych oczach.

Brett z trudem stłumiła chichot. Chloe była słodka, ale Kara miała dobry pomysł - jeśli poczuje się w ich towarzystwie niezręcznie, to może zostawi je same.

Chloe się zarumieniła i odłożyła książkę na półkę.

- Nie trzeba.

- Może powinnaś poszukać Alison - podsunęła Brett, patrząc na Chloe.

- A dokąd poszła? - spytała Kara. Brett wymówiła bezgłośnie imię Alan. - Ach tak. - Skinęła głową. - Miała się uczyć. Chloe zmarkotniała.

- No dobrze - zgodziła się i odeszła od półki z książkami. Wyglądała jak mały piesek, który musi siedzieć w domu, podczas gdy inne pieski bawią się na dworze.

Brett odprowadziła Chloe do drzwi i niemal wypchnęła ją na zewnątrz.

- Trafisz do pokoju Alison, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, zamknęła drzwi i z uśmiechem odwróciła się do Kary. Była szczęśliwa, że nie żyją w czasach Wirginii Woolf.

Sowa Waverly wie, że kandydaci mogą się do czegoś przydać

Brandon zrzucił z siebie przepoconą koszulkę Nike do squasha i wcisnął ją do białego kosza na brudy z Pottery Barn. Sterta prania rosła z każdym dniem. Normalnie korzystał z usług pralniczych w Waverly, ale przez to ostatnie szaleństwo z Elizabeth nie dał rady podrzucić im rzeczy. Na szczęście w pokoju było cicho, bo Heath oprowadzał Sama po kampusie, kształtując go na swój obraz i podobieństwo. Jak gdyby jeden Heath Ferro nie wystarczał. Lada moment będzie ich dwóch. Brandon wyobraził sobie, jak karmi ich po północy i obserwuje, jak tysiąc obmierzłych Ferropodobnych osobników rozprzestrzenia się po całej szkole niczym gremliny.

Sięgnął po dezodorant Acqua di Gio i rozpylił trochę pod jedną i drugą pachę. Od wczoraj obsesyjnie prześladowała go myśl o Elizabeth. Zaczynał się zastanawiać, czy odtrącenie jej było właściwą decyzją. Po południu poszedł grać w squasha, aby spalić trochę energii, która go rozsadzała. Wiedział, że gdy tylko spotka kogoś nowego, Elizabeth stanie się melodią przeszłości. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że w Waverly można ze świecą szukać przyzwoitej dziewczyny, to pewnie nie pozostanie mu nic innego niż rozmyślanie i rozładowywanie złości podczas gry w squasha, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i Brandon podszedł do drewnianej komody. Miał nadzieję, że zdąży włożyć świeżą koszulkę, zanim Sam wpadnie do pokoju i zacznie mu dokuczać w stylu Ferra, że ma ogolić włosy na piersi.

- Proszę - powiedział i zanim zdołał wyjąć z szuflady koszulkę, drzwi się otworzyły.

- Jesteś współ lokatorem Alana? - W drzwiach pokoju stała drobna blondynka z szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami i rozglądała się dookoła. Kiedy jej oczy zatrzymały się na nagiej, spoconej piersi Brandona, rozszerzyły się nieznacznie.

Brandon automatycznie zasłonił się koszulką. Nic żeby był przesadnie skromny - systematycznie chodził na siłownię, bo chciał mieć lepsze mięśnie niż Julian McCafferty, nowy członek drużyny squasha, który zagroził pozycji Brandona po raz pierwszy od trzech lat. Brandon był wspaniale umięśniony, co zauważyła nawet Elizabeth. Ale ta dziewczyna nie miała więcej niż trzynaście lat i pokazywanie jej się nago wydawało mu się nie na miejscu.

- Masz na myśli Alana St. Girarda? Mieszka z Easym Walshem, na końcu korytarza. A dlaczego... ? - Zanim Brandon zdołał skończyć zdanie, zza pleców dziewczyny dobiegł głośny okrzyk.

- Brandon, chłopie, napalasz się na świeży towar!

Heath wpadł do pokoju z Samem deptającym mu po piętach i wystawił do góry dłoń, aby przybić piątkę. Brandon trzymał w rękach czysty T - shirt, więc Heath musiał się zadowolić

przybiciem piątki z Samem.

- Szuka Alana - mruknął Brandon. - Chryste, przecież ma ledwo trzynaście lat - dodał pod nosem. - A dlaczego szukasz Alana?

Odwrócił się do dziewczyny, która skubała brzeg ciemnozielonego swetra z golfem i zdawała się wpatrywać w Sama. Ale Sam niczego nie zauważył. Padł na skotłowane łóżko Heatha i natychmiast sięgnął po grę.

- Mieszkam z Alison Quentin, ale nie zastałam jej w pokoju, a jej współlokatorka powiedziała, żebym jej poszukała w internecie chłopaków. Uczy się z Alanem.

- Uczy się, tak? - Heath zarechotał i rozbawiony postawił kołnierz swojej czerwonej koszulki polo. Sam miał na sobie identyczną, tyle że na nim wyglądała jak o trzy rozmiary za duża. - Ja też się w życiu wiele uczyłem.

Odwrócił się, żeby znowu przybić piątkę z Samem, ale chłopak był tak pochłonięty grą, że świata nie widział.

- Tak przy okazji, jestem Chloe - rzuciła dziewczyna i zrobiła krok do pokoju. Znowu zerknęła ukradkiem na Sama. Chłopak nadal zdawał się jej nie zauważać. Prawdopodobnie Heath już go zaprogramował - powiedział dzieciakowi, żeby nie tracił czasu z nowicjuszkami, więc ten całkowicie wykluczał znajomości z kandydatkami.

- Słuchaj, Chloe. - Brandonowi było trochę żal dziewczyny. Pewnie czuła się zupełnie zagubiona w kampusie, a na dodatek musiała jeszcze znosić docinki Heatha. Byłby zdziwiony, gdyby ktokolwiek z kandydatów zdecydował się na naukę w Waverly po spotkaniu z jego irytującym współlokatorem. - Będzie najlepiej, jeśli...

- Jeśli zdejmiesz koszulkę! - wykrzyknął Heath. - Czy Brandon powiedział ci o zasadzie nagości? A może chce cię tego nauczyć na jakimś przykładzie? - Heath szybko ściągnął przez głowę koszulkę polo, wystawiając na pokaz swój umięśniony tors ze sztuczną opalenizną.

Brandon był pewien, że Chloe padnie trupem, ale stała spokojnie przy drzwiach, a półnagi Heath najwyraźniej nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

- Widzisz, moja droga - mówił dalej Heath, chwytając koszulę Sama i próbując ją zdjąć. - W tym pokoju mamy zasadę „żadnych koszulek”, a jeśli się do tego nie dostosujesz, to muszę cię prosić, żebyś wyszła. - Jego oczy błyszczały przewrotnie. Nie przestawał szarpać koszuli Sama, aż chłopak, nie odrywając oczu od gry, mruknął, żeby go zostawił w spokoju. Chloe spojrzała na Heatha zwięzonymi oczami.

- Zdaje się, że słowa o tym nie napisali w *Przewodniku po zasadach akademii Waverly* - powiedziała prowokująco.

Oparła ręce na biodrach, a Brandonowi od razu przypomniała się Callie, która wyglądała tak samo, gdy się zdenerwowała, że ktoś wciska jej kit. Kto by pomyślał, że ta dziewczyna ma w sobie

tyle ikry?

- Owszem. - Heath wzruszył ramionami, jakby chciał się poddać. - Ale Brandon bardzo tego pilnuje. Prawda, Brandon? - Pod wpływem impulsu Heath wystawił głowę przez otwarte okno i zawołał ile sił w płucach: - Rozbierana impreza w pokoju Heatha i Brandona!

Chloe tylko pokręciła głową.

- Ale jesteście dziecinni. Dziwi mnie, że lecą na was takie ładne dziewczyny.

Heath obrócił się i spojrzał na Chloe w przypiływie zainteresowania.

- Jakie dziewczyny? Jakie dziewczyny, jakie dziewczyny, jakie dziewczyny? - Jednym susem znalazł się przy Chloe i padł jak długi u jej stóp, ciągnąc ją za brzeg swetra. - Musisz mi powiedzieć!

Kandydatka tylko przewróciła oczami i strząsnęła z siebie ręce Heatha.

- Podśluchałam, jak Sage Francis mówiła, że Brandon jest uroczy - oznajmiła, patrząc na Brandona z dezaprobatą. - Rety, powiem jej, żeby nie zawracała sobie głowy!

I z tymi słowami odwróciła się na pięcie i wypadła z pokoju. Kiedy szła na koniec korytarza, Brandonowi się zdawało, że słyszy:

- A ja myślałam, że chłopacy z ósmej klasy są do niczego!

Biedna dziewczyna. Wciąż nie wiedziała, gdzie mieszka Alan, a kto wie, co ją mogło czekać za drzwiami następnego pokoju w internacie pełnym nastolatków.

Brandon wciągnął czystą koszulkę i się zamyślił. Sage Francis? Jest całkiem ładna, chociaż wcześniej nie myślał o niej w ten sposób.

Heath turlał się po podłodze i pękał ze śmiechu, a Sam dalej był pochłonięty *Spider - Manem*. Może powinienem porozmawiać z Sage Francis, pomyślał Brandon. Lepsze to niż siedzenie w pokoju.

SówNet

Twoja Poczta

Od:

DeanMarymount@waverly.HYPERLINK

Do:

["mailto:DeanMarymount@waverly.edu"](mailto:DeanMarymount@waverly.edu)edu

BrandonBuchanan@waverly.HYPERLINK

["mailto:BrandonBuchanan@waverly.edu"](mailto:BrandonBuchanan@waverly.edu)edu

TinsleyCarmichael@waverly.HYPERLINK

["mailto:TinsleyCarmichael@waverly.edu"](mailto:TinsleyCarmichael@waverly.edu)edu

BennyCunningham@waverly.HYPERLINK

["mailto:BennyCunningham@waverly.edu"](mailto:BennyCunningham@waverly.edu)edu

SageFrancis@waverly.HYPERLINK

["mailto:SageFrancis@waverly.edu"](mailto:SageFrancis@waverly.edu)edu

JennyHumphrey@waverly.HYPERLINK

["mailto:JennyHumphrey@waverly.edu"](mailto:JennyHumphrey@waverly.edu)edu

Data:

JulianMcCafferty@waverly.HYPERLINK

Temat:

["mailto:JulianMcCarTerty@waverly.edu"](mailto:JulianMcCarTerty@waverly.edu)edu

BrettMesserschmidt@waverly.HYPERLINK

["mailto:BrettMesserschmidt@waverly.edu"](mailto:BrettMesserschmidt@waverly.edu)edu

AlisonQuentin@waverly.HYPERLINK ["mailto:AlisonQuentin@waverly.edu"](mailto:AlisonQuentin@waverly.edu)edu

[CallieVernon@waverly.HYPERLINK "mailto:CallieVernon@waverly.edu"edu](mailto:CallieVernon@waverly.edu)
[EasyWalsh@waverly.HYPERLINK "mailto:EasyWalsh@waverly.edu"edu](mailto:EasyWalsh@waverly.edu)
[KaraWhalen@waverly.HYPERLINK "mailto:KaraWhalen@waverly.edu"edu](mailto:KaraWhalen@waverly.edu)
14 października, poniedziałek, 8. 46
spotkanie dyscyplinarne

Drodzy Uczniowie

Jeśli otrzymaliście ten e - mail, znaczy to, że znaleźliście się na krótkiej liście osób podejrzanych o to, że w piątkowy wieczór doprowadziły przez swoją nierozwagę do pożaru stodoły. Obecność na spotkaniu w moim biurze w Stansfield Hall w środę o godzinie 8. 00 rano jest obowiązkowa.

Nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień.

Dziekan Marymount

SówNet

SageFrancis:

BennyCunningham:

Komunikator

Ale kanał!

Od kiedy jesteśmy tak samo podejrzane jak Easy i Callie?

Albo Tinsley? A Julian?

Co z zapalniczką?

SageFrancis:

Nie mogę się doczekać, kiedy zamkną mnie w jednym pokoju z Brandonem...

BennyCunningham:

No jasne. Z nim i 11 innymi osobami. Jak romantycznie!

SageFrancis:

Jak pójdziemy do więzienia, to przecież są wizyty małżeńskie!

SówNet

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

KaraWhalen:

Komunikator

O do licha, dlaczego jesteśmy na tej liście?

Nie mam pojęcia. Odpowiedzialność zbiorowa?

A od kiedy mamy w Waverly totalitarny reżim? I czy przewodnicząca może być na liście podejrzanych?

Nie wiem, ale się dowiem.

Sowa Waverly nie traci wdzięku w opalach

W poniedziałkowy poranek Jenny przeciskała się między stolikami w kafejce w Maxwell Hall. Starła się nie rozlać mocha cappuccino. Przeczesała wzrokiem zatłoczoną salkę, rozglądając się za wolnym stolikiem. Główne wejście do Maxwell House wyglądało jak brama zamku, z romańskimi łukami wyciętymi w wysokich kamiennych ścianach. Jenny uwielbiała siedzieć w ciemnych niszach na górnym poziomie, gdzie można było spokojnie poczytać książkę albo obserwować wchodzących i wychodzących. Jednak tym razem, gdy szukała wzrokiem stolika, miała nieodparte wrażenie, że wszyscy się na nią gapią. Zamrugła oczami. Chyba dostaje paranoi. Jej grube szare rajstopy J. Crew o gęstym splocie i brązowa sztruksowa spódnica były strojem w zupełności odpowiednim na poniedziałkowy ranek. Poza tym dopiero co wstała, więc na pewno nie ma nic między zębami. Westchnęła cicho. Przez ten miesiąc w Waverly przekonała się, że ludzie ciągle znajdowali nowe powody, aby się na nią gapić niemal każdego dnia. Bo była nowa i nieobyta, bo miała wielkie piersi, bo całowała się z Heathem Ferrem, bo dała się przyłapać w łóżku z Easym (zupełnie niewinna sytuacja), bo chodziła z Easym (to już nie było takie niewinne), bo... no właśnie, co jeszcze?

Jenny zauważyła Sage i Benny przy okrągłym drewnianym stoliku pod ścianą, w pobliżu jednego z dużych kominków. Podeszła do nich, ale były tak pochłonięte rozmową, że nie zwróciły na nią uwagi.

- Bez względu na co? - pytała Sage, zaciskając kurczowo dłoń na rękawie bluzy Le Tigre w marynarskie pasy, którą miała na sobie Benny.

- Bez względu na to, co się stanie. - Benny strzepnęła rękę Sage z nadgarstka. - Przestań się mnie czepiać.

- A co ma się siać? - zapytała Jenny, przysuwając krzesło do ich stolika i uważając, by nie rozlać kawy.

Sage i Benny znieruchomiały.

- Co się dzieje? - Jenny postawiła wielki kubek na stoliku, na którym piętrzyły się serwetki i jasnoniebieskie opakowania od papierosów Equal.

- Chodzi o ten mejl - szepnęła dramatycznie Sage. W obcisłej czarnej sukience Elli Moss i z gigantycznymi okularami przeciwsłonecznymi Bottega Veneta na głowie wyglądała jak gwiazdka filmowa ukrywająca się przed tłumem paparazzich. Zerknęła przez ramię, ale życie w kafejce zdawało się toczyć tak jak zawsze.

- Jaki mejl? - Skonsternowana Jenny upiła łyk kawy. Przegapiła kolejną pornograficzną wiadomość od Heatha? Serce jej się trochę ścisnęło. Nie żeby tęskniła za pornograficznymi

mejlami, ale nie chciała też jako jedyna zostać wykluczona z grona adresatów.

- Twoje nazwisko też tam było. - Oczy Benny, podkreślone ciemnofioletowym cieniem i utkwione w Jenny, zwężyły się, jak gdyby złapała ją na kłamstwie.

- Nie sprawdzałam rano poczty. - Jenny wzruszyła drobnymi ramionami i spojrzała na czerwony plastikowy zegarek, który kupiła w Chinatown. Liczby były napisane po chińsku.

Co się dziś dzieje ze wszystkimi? - A co to było? Jakiś nowy żart?

- To nie żart - odparła Sage, wsadzając do ust kosmyk jasnoblond włosów. Wyglądała, jakby chciała go żuć. - Ktoś wyleci ze szkoły. To może być każdy z nas.

- Zaraz. - Jenny wreszcie zrozumiała, co Sage i Benny próbowały jej powiedzieć. - Zaczni od początku.

Benny przekazała treść listu Marymounta tak, jakby nauczyła się go na pamięć, a Sage wyliczyła wszystkich, którzy według niego są podejrzani. Jenny trzymała się za brzuch, gdy Sage wskazała na nią i dodała:

- I ty też.

- Pewnie dlatego, że znaleźli zapalniczkę Juliana - podkreśliła Benny, upychając wiśniowy notes Moleskine do dużej torby Fendi. A wszyscy wiedzą o tobie i Julianie.

Jenny postawiła kubek na stole. Naprawdę? To była dla niej nowość, chociaż w zasadzie nie powinna się dziwić, mimo że niewiele mieli do plotkowania na ten temat. Jak na razie.

Benny mówiła dalej, stukając palcami o dębowy blat stolika. Miała poobgryzane paznokcie.

- A to znaczy, że Marymount też prawdopodobnie wie. Pewnie dlatego jesteś na liście.

Jenny przytaknęła i zapatrzyła się na kolorowe korony drzew za olbrzymimi oknami. Zastanawiała się, czy w innych szkołach z internatem też jest tyle dramatycznych wydarzeń, czy po prostu ma do nich szczęście. Albo pecha.

- Marymount wziął się na nas przez te świece - wyjaśniła Sage, strzepując z rękawa sukni niewidoczne pyłki.

Benny przytaknęła.

- Mamy całą masę upomnień. Wielkie rzeczy. Wczoraj czułam, że ktoś pali truskawkową świecę. Rozchodziło się po całym internacie. Dzisiaj każdy ma świece oprócz nas. - Odchyliła się w wielkim krześle i pokręciła głową na tę niesprawiedliwość.

Jenny sączyła cappuccino i bardzo chciała, aby udzielił jej się beztroski nastrój Benny i Sage. Nie wiedziała, czy Julian miał coś wspólnego z pożarem. W piątek wieczorem, kiedy ścięła się z Callie, zarzucając jej, że potajemnie spotyka się z Easym, Callie odszczeknęła, że to pewnie Jenny podpaliła stodołę. W końcu miała lepszy motyw niż ktokolwiek inny, przynajmniej według pokręconej logiki Callie. Ale nawet gdyby Callie poszła do dziekana i przedstawiła mu tę teorię, to przecież nigdy by jej nie uwierzył. Prawda?

Przypomniała sobie, jak panna Rosovsky, nauczycielka historii Stanów Zjednoczonych w Constance Billard, wytknęła nieścisłości historyczne w filmie *JFK*, zaznaczając przy tym, że większość ludzi i tak woli wierzyć w teorie spiskowe. Ludzie wolą skomplikowane i pikantne wytłumaczenia niż proste i logiczne. Jenny miała wrażenie, że dziekan Marymount należy do tych ludzi, którzy wierzą w teorie spiskowe. Nie zależało mu na prawdzie - nie chciał słyszeć, że pożar był zwykłym wypadkiem. Chciał znaleźć kogoś, kto miał motyw. Będzie wolał wierzyć, że niewinna i uwielbiająca szkołę z internatem Jenny Humphrey wznieciła pożar, ponieważ zostawił ją chłopak.

- Dokąd idziesz? - zawołała Benny, ale Jenny już wychodziła z kafejki. Jej zniszczone czerwone buty Vans w dziecięcym rozmiarze uderzały ciężko w marmurową podłogę Maxwell Hall.

SówNet

JennyHumphrey:

Komunikator

Hej, jesteś tam... Właśnie odebrałam mejl dziekana. Czy to nie wariactwo?

Julian McCafferty:

Całkowicie. Jesteś zbyt piękna na podejrzaną.

JennyHumphrey:

Rumienię się. Dobrze chociaż, że razem w to wpadliśmy.

Julian McCafferty:

Tak trzymać!

JennyHumphrey:

Co teraz robisz?

Julian McCafferty:

Myślę o tobie...

JennyHumphrey:

Ale dobrze, mam nadzieję.

Julian McCafferty:

Nie. Myślę o złych... bardzo złych rzeczach.

JennyHumphrey:

Nic dziwnego, że mamy kłopoty.

SówNet

Twoja Poczta

Od:

HeathFerro@waverly.edu

Do:

lista supergości według Heatha

Data:

14 października, poniedziałek, 14. 32

Temat:

Spotkanie ostatniej szansy dla OP

Do widzenia Brandonie. Tinsley, Benny, Sage, Jenny, Brett, Alison, Callie, Easy i Karo. Będziemy za Wami tęsknić! (Do diabła, za mną też będziemy tęsknić).

Na wypadek gdyby ktoś z nas/niektórzy z nas/wszyscy z nas OP (tzn. Osobników Podejrzanych) otrzymał/otrzymali bilet w jedną stronę z Waverly w środę rano, powinniśmy urządzać huczną imprezę pożegnalną we wtorek wieczorem w kraterze. Kto wie, może to nasza ostatnia szansa, by narozrabiać w starym, dobrym Waverly.

Osoby z listy dziekana M., nie zapomnijcie zabrać T - shirtów prosto spod igły z nadrukiem OP, to bilet wstępu na imprezę. Pozostały plebsie, wszyscy jesteście zaproszeni na imprezę, aby pożegnać OP jak należy. Ale ilekroć natkniecie się na kogoś z OP, macie zrobić dokładnie to, co każe, bo może to jego lub jej ostatnia noc wolności.

Nie wchodźcie w drogę OP!!!

Na razie

Heath

SówNet

HeathFerro:

TinsleyCarmichael:

HeathFerro:

TinsleyCarmichael:

HeathFerro:

TinsleyCarmichael:

HeathFerro:

Komunikator

Idziesz na imprezę OP?

Jasne. Ale przyrzekam ci, że nie wyjadę następnego dnia.

To się nazywa duch walki.

Mhm, a dlaczego do mnie piszesz?

Wiem, że lubisz młodych chłopców... ale jak młodych?

Słuchaj, Heath. To mnie denerwuje. Mam nadzieję, że to ty wylecisz.

Rany!

Sowa Waverly nie spiskuje przeciwko innym Sowom

Callie siedziała zgarbiona nad wyszczerbionym żółtym kubkiem cappuccino. Opierała gołe łokcie na blacie stolika w narożnym boksie w Waverly Inn w centrum Rhinecliff. Wydawało jej się, że milion lat upłynęło od dnia, kiedy siedziała z Tinsley i Brett przy tym samym stoliku, popijając amaretto i szampana, a dziewczyny pomagały jej wyrzucić z pamięci najmniejsze nawet wspomnienie Easy'ego. Waverly Inn z kontuarem z ciemnego drewna, opryskliwym barmanem i wystrojem utrzymanym w absurdalnie stosownym stylu wiktoriańskim byłoby idealną scenerią do filmu. Dzisiaj, w świetle późnego poranka, hotelowy bar przypominał bardziej kafeterię w domu spokojnej starości. Jedyne klientami byli starsi ludzie. Stolik się lepił i przydałoby mu się solidne szorowanie, a wyszczerbienia na kubku w świetle dnia wprost kuły w oczy.

Pójście do szkoły w laki poranek absolutnie nie wchodziło w rachubę. W piątek pan Garson obiecał im „niespodziankę” w poniedziałek, a Callie nie miała najmniejszych wątpliwości, że chodziło mu o kartkówkę, a nie o talon na pięćset dolarów do Barneysa. Po mejlu od dziekana Marymounta trudno było oczekiwać, że poradzi sobie z łacińskimi słówkami. Kiedy zobaczyła wiadomość od niego w skrzynce odbiorczej, miała nadzieję, że dziekan namierzył winną osobę - czyli Jenny Humphrey - wykopał ją ze szkoły i zamknął sprawę. Planowała już w duchu, że przeprowadzi się na jej stronę pokoju. Ale kiedy dowiedziała się, że i ona zalicza się do kręgu podejrzanych, to fantazje na temat przełożenia butów do szafy Jenny zostały wyparte przez koszmary o powrocie do domu i uczęszczaniu do szkoły publicznej w Atlancie razem z bandą świrniętych ciemniaków.

- Dzięki, że zgodziłaś się ze mną spotkać. W CoffeeRoasters i w Maxwellu byłibyśmy za bardzo na widoku.

Tinsley wypła łyk cappuccino. Gęste czarne włosy miała upięte w niedbały kok, w który wetknęła dwie turkusowe szpilki. Ubrana była w marynarską minisukienkę Wayne'a, która podkreślała wszystkie krągłości jej ciała. Na każdej innej dziewczynie ten strój wyglądałby jak wulgarny kostium na Halloween, ale Tinsley prezentowała się pięknie, jak zawsze.

Dziwne, że ostatnimi czasy Callie nie wydawała się w ogóle zagrożona doskonałym wyglądem przyjaciółki. Czowała się bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek, mimo że nad lewym okiem wykluwał jej się pryszcz, a w czasie weekendu przybrała jakiś kilogram, pijąc piwo i jedząc wszystko, co przynosił Easy. Ona i Easy znowu byli zakochani, nawet bardziej niż za pierwszym razem. I w końcu to zrobili. Niewiarygodne. Czowała się taka... dorosła. Przyjmij to do wiadomości, Carmichael.

- Może powinnam włożyć sukienkę od Elli Moss, no wiesz, tę, która wygląda, jakby zaraz

miała się odwinąć? Na Daltona to działało. - Tinsley odchyliła się i uśmiechnęła z zadowoleniem do wiekowego blaszanego sufitu. - A właściwie to działa na każdego. To nie do wiary, że Marymount mi nie uwierzył.

Callie bez pośpiechu sączyła cappuccino.

- W każdym razie - Tinsley znowu pochyliła się do przodu - nie martwię się tym specjalnie. - Machnęła ręką, jak gdyby chciała przegonić natrętą muchę. Jej srebrny pierścionek Anakonda błysnął w porannym świetle. - To nie my zostaniemy odesłane do domu, tyle mogę ci zagwarantować.

Callie zadrżała na myśl, że miałyby wrócić do swojej sypialni w domu w Atlancie, w olbrzymiej posiadłości z kamienia - siedziby gubernatora na Paces Ferry Road. Do jasnoróżowego dywanu i przerażającego łoża z baldachimem. I co rano jeść śniadanie z matką uczesaną w staranny hełm.

- Skąd ta pewność? - zapytała z troską. Otoczyła kubek dłońmi i czuła, jak po jej skórze rozchodzi się przyjemne ciepło. - Marymount musi coś mieć na każdego z nas, skoro nazywa nas podejrzanymi.

- Może blefować. - Tinsley ściszyła głos i odgarnęła niesforny kosmyk włosów za lewe ucho. - Widziałam to już milion razy.

Callie chciała przewrócić oczami, ale się powstrzymała, 'tylko dlatego, że Tinsley miała w paszporcie pieczętki z każdego niemal kraju na świecie, odgrywała mądrzejszą od innych. Callie czuła, że właśnie dlatego Tinsley nie dopytuje się o szczegóły jej związku z Easym - tak naprawdę nie chciała nic wiedzieć. Niedawno podczas gry w „Nigdy” wyszło na jaw, że Tinsley jest dziewicą. Callie była pewna, że przyjaciółka nie może znieść myśli, że została w tyle.

- Och, naprawdę? Ciekawe, gdzie.

Tinsley rzuciła przyjaciółce spojrzenie spod zmrużonych powiek, a usta jej zadrżały na to prowokacyjne stwierdzenie.

- Na filmach.

Callie parsknęła śmiechem, polizała palec wskazujący i zaczęła zbierać ziarenka cukru, które rozsypały się na jej spodeczku.

Tinsley ją obserwowała.

- To obrzydliwe, wiesz.

Wyjęła szpilki i potrząsała głową, aż włosy opadły ciemnymi falami na ramiona. Uniosła idealnie wyskubaną lewą brew, czekając, aż Callie przestanie zlizywać cukier.

- Ale to nie jest film. - Callie usłyszała w swoim głosie ton skargi. Co się stanie, jeśli Tinsley wyleci ze szkoły? Nic. Pojedzie z ojcem do choleralnej Afryki Południowej i nakręci dokumentalny film, który zostanie obsypany nagrodami, a potem pozna gdzieś w Cannes albo w

Sundance George'a Clooneya, Brada Pitta i innych uszczęśliwaczy z pierwszych stron gazet. Zaraz, zaraz. Przecież to się już kiedyś stało. Tylko Tinsley mogła wylecieć z Waverly i wrócić w glorii. - Matka załatwi mi karę śmierci, jeśli wylecę, wiesz? - Nie była pewna, czy w Georgii jest kara śmierci, ale nawet jeśli nie ma, to mama na pewno zmieni prawo.

Tinsley zapatrzyła się ponad ramieniem Callie na zdjęcie centrum Rhinecliff z lat dwudziestych XX wieku. Nie było bardziej atrakcyjne niż dziś.

- A gdyby to był film, to kto by ciebie zagrał?

- Grace Kelly - odparła bez namysłu Callie, unosząc głowę i prostując plecy, gdyż tak właśnie wyobrażała sobie postawę księżnej Monako. Poprawiła marszczone wykończenie przy jedwabnym topie Joie i zapatrzyła się przez okno na czysty błękit nieba.

- Rzecz w tym, że ta lista jest jakaś przypadkowa. Dlaczego jest na niej ktoś taki jak Brandon Buchanan, a nie ma tego ćpuna, który pali marychę. Alana St. Girarda?

Tinsley upita łyk stygnącego cappuccino. Wiedziała, dlaczego Callie i Easy znaleźli się na liście - ponieważ sama wygadała dziekanowi, że oboje byli w stodole. Ale Callie o tym nie powiedziała. Wiedziała też, dlaczego Jenny i Julian są na liście. I oczywiście wiedziała, dlaczego ona sama się na niej znalazła. Nadal był wściekła na siebie, że tak spartaczyła spotkanie z dziekanem.

- Żałuję, że nie poszłam z tobą do Marymounta - oznajmiła Callie, jakby czytała w jej myślach. Nerwowo zawijała jasne loki na tym samym palcu, którym zbierała cukier ze spodka. Pewnie będzie miała ziarenka cukru we włosach. Może Easy'emu się to spodoba.

- Ja też żałuję. - Oczy Tinsley się zwięzły. Miała nadzieję, że w jej tonie zabrzmiała przygana. Niech teraz cierpi za to, że zostawiła ją na lodzie. Przypomniała sobie koszmarną scenę w gabinecie dziekana. Może gdyby nie wpatrywała się tak bardzo w jego krzaczaste brwi albo nie wyobrażała go sobie jako jastrzębia pożerającego uczniów, albo nie gapiała się na smętne zdjęcie rodzinne...

- O Boże. - Wyprostowała się gwałtownie. Callie spojrzała na nią zaskoczona, a Tinsley w nagłym przyplwywie radości rzuciła jej szeroki uśmiech. - Już wiem!

- Jak tam, Chloe? - Tinsley mieszała słomką czekoladowy koktajl mleczny. - Podoba ci się w Waverly?

Taca ze szklankami spadła na podłogę i wszyscy w Nocturne, nowo otwartym całodobowym lokalu na końcu Main Street w Rhinecliff, zwrócili wzrok w tamtą stronę. Wszyscy oprócz Tinsley, która wbijała spojrzenie w młodą kandydatkę, jakby dziewczyna trzymała w ręku klucz do ocalenia. Tinsley wybrała świetne miejsce na swoje ciemne sprawki, pomyślała Callie. Nocturne został dopiero otwarty, więc nauczyciele jeszcze go nie namierzili. Była pewna, że restauracja w stylu lat pięćdziesiątych zapełni się wieczorem Sowami, które będą zajadać ser z grilla i karbowane frytki po

wyznaczonej porze powrotu do internatu. Callie obserwowała kelnerkę o czerwonej twarzy, zamiatającą kawałki szkła, które lśniły jak diamenty na podłodze wyłożonej czarnymi i białymi płytkami we wzór szachownicy.

- Jest w porządku - odparła ostrożnie Chloe.

Była jeszcze trochę zaszokowana, że Tinsley Carmichael zaprosiła ją na lunch poza kampusem. Starsza koleżanka zwabiła ją tutaj pod pretekstem, że chce ją lepiej poznać.

Ale jak to zwykle bywa z Tinsley. miała ukryły motyw. Przypomniała sobie, skąd zna Chloe - ze zdjęcia rodzinnego dziekana Marymounta. Mała gamoniowata dziewczynka była jego bratanicą i Tinsley szybko pojęła, że Chloe dostarcza dziekanowi informacji. Niewykluczone, że lista podejrzanych to nic innego jak spis wszystkich osób, które w czasie weekendu były niemiłe dla Chloe. Pewnie nie są chodzącymi niewiniątkami, ale przecież to jeszcze nie czyni z nich podpalaczy.

- Musisz wziąć pod uwagę, że widzisz szkołę w bardzo szczególnym momencie - zauważyła Tinsley, dźgając widelcem sałatkę cesarską. - Jesteśmy wszyscy w ogromnym stresie z powodu pożaru.

Tinsley odłożyła widelec, jakby stres odebrał jej apetyt, i oparła się o czerwone winylowe obicie ławki w boksie. Zmarszczyła z troską starannie wyskubane brwi.

Callie odgryzła szybko potężny kęs burgera, bo w przeciwnym razie nie umiałaby zachować powagi, patrząc na dramatyczne gesty Tinsley. Odkąd znowu zaczęła chodzić z Easym, ciągle czuła się głodna - prawdopodobnie przez to, że spalali tyle kalorii.

Chloe dźgała pastę z tuńczyka i kulki ziemniaczane.

- To wariactwo - zgodziła się. - Ale wkrótce się skończy, prawda? - Patrzyła pytająco to na jedną, to na drugą dziewczynę.

Callie zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy naprawdę jest taka naiwna, czy tylko udaje. W żółtym sweterku na drutach, z jasnoblond włosami do ramion i bladą cerą przypominała wyglądem gigantyczną, źle wysmażoną frytkę.

- Miejmy nadzieję - rzuciła Callie, odkładając kanapkę. Wyjęła serwetkę z chromowanego serwetnika i wytarła usta. Miała ochotę poprosić kelnerkę o serwetę na kolana, ale powstrzymała się, chociaż za nic w świecie nie chciałaby zaplamić nowego, marszczonego topu Joie w kolorze lawendowym. - Jeśli znajdą winnego. Ale z tego, co wiem, raczej się to nie uda.

- Naprawdę? - zapytała Chloe, podnosząc wzrok na Callie. Podwinęła rękawy swetra. Dlaczego tak myślisz?

Tinsley wyjęła długą srebrną łyżeczkę z wysokiej szklanki ze spienionym koktajlem mlecznym, oblizała do czysta i wymierzyła ją w oczy Chloe.

- Ponieważ prawdziwy winowajca ma spojrzenie łani i wygląd niewiniątka, tak jak ty -

odparła rzeczowo. Położyła łyżeczkę na blacie stolika. - Może ją poznałaś. Nazywa się Jenny Humphrey.

Callie obrzuciła wzrokiem restaurację, mając nadzieję, że nie usłyszał tego nikt z Waverly. Albo nikomu nie chciało się ruszać z kampusu tylko po to, żeby zjeść lunch, albo Nocturne był jeszcze mniej znany, niż jej się wydawało, bo nie zauważyła ani jednej znajomej twarzy. Poza tym z szafy grającej bez przerwy leciały kiczowate piosenki z lat pięćdziesiątych, więc wydawało się mało prawdopodobne, aby ich rozmowę mogły usłyszeć niepowołane osoby, nawet gdyby siedziały w sąsiednim boksie.

Chloe szeroko rozwarła dziecinne niebieskie oczy.

- Jenny? Poznałam ją. Chodzi z Julianem, prawda? Jest taka sympatyczna.

Tinsley się wzdrygnęła. Nie dość, że Heath wiedział o niej i Julianie i wysyłał jej złośliwe wiadomości, wytykając to prosto z mostu, to jeszcze musiała wysłuchiwać paplania tej smarkuli o napalonym dziwolągu z dziewiątej klasy i jego dziewczynie z gigantycznymi cyckami. Jeśli jeszcze raz usłyszy o Jenny i Julianie, to rąbnie koktajlem o podłogę. A jeśli kiedykolwiek zobaczy ich razem, to chyba wznieci kolejny pożar tym razem umyślnie. Wprost nie mogła się doczekać środowego spotkania i wyrzucenia Jenny Humphrey z Waverly.

- Czy to naprawdę ona wywołała pożar? - Chloe mówiła dalej, a jej wysoki głos brzmiał niemal jak piskliwa skarga.

- Tak - stanowczo przytaknęła Callie. - Widziałam ją z zapalniczką w dłoni przy stodole. Ale nie mogę powiedzieć tego dyrekcji, bo wtedy sama będę podejrzana. Wyobrażasz sobie, w jakiej okropnej jestem sytuacji? Wiem, kto jest winny, a nie mogę wyjawić prawdy. - Westchnęła dramatycznie i oparła się ciężko o czerwone, winylowe obicie ławki w boksie.

Chloe wyglądała tak, jakby kulka ziemniaczana utknęła jej w przełyku.

- Ale - wykrztusiła - ona może być niebezpieczna! - W jej oczach malowało się nieklamane przerażenie.

- Masz rację. - Tinsley konspiracyjnie pochyliła się do przodu, odsuwając na bok talerz z sałatką. Wbiła fiołkowe oczy w Chloe. - I dlatego musimy być czujne i bacznie ją obserwować dziś i jutro. Po ujawnieniu listy podejrzanych czuje się pewnie przyparta do muru, a kto wie, co może zrobić w takiej sytuacji? - Tinsley wyprostowała się, dotknęła schludnej czarnej kitki i wygładziła marynarską sukienkę.

- Może zawrzemy umowę, że wszystkie będziemy miały oko na Jenny? I że jeśli zobaczymy coś podejrzanego, to będziemy się nawzajem informować?

Podekscytowana Chloe odsunęła pastę z tuńczyka.

- Chcecie, żebym wam pomogła?

- Oczywiście. - Tinsley przytaknęła bez chwili wahania. Zniżyła głos do szeptu, jakby

powierzała Chloe tajemnice CIA. - Musisz nam pomóc.

Chloe wytarła dłoń w serwetkę. Zdjęła okulary, a jej oczy - które bez szkieł wydawały się jeszcze większe - spoglądały to na Callie, to na Tinsley.

- Okej - powiedziała powoli. - Ale jeśli pomogę i będę miała oko na Jenny, to co na tym zyskam?

- No cóż - odparła słodko Tinsley z charakterystycznym błyskiem w oku - powiedzmy, że kiedy zaczniesz w przyszłym roku naukę w Waverly, to dwie najpopularniejsze dziewczyny ze starszej klasy będą twoimi przyjaciółkami.

Z szafy grającej popłynęła piosenka Elvisa *Don't be cruel*, a Tinsley uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, który zdawał się mówić: „To ja rozdaję karty, a ty możesz czuć się zaszczycona, że pozwalam ci grać”.

Chloe wyprostowała się na ławce, jakby uświadomiła sobie, jaka odpowiedzialność spoczęła na jej barkach.

- To mi odpowiada. - Skinęła głową, założyła z powrotem okulary i poprawiła je na nosie. - Zawsze chciałam być popularna.

Callie pokręciła głową i pociągnęła łyk dietetycznej coli. No pewnie. Kto by nie chciał? Callie szybko przyswoiła sobie w Waverly naukę, że nie wolno lekceważyć ambicji żadnej dziewczyny.

SówNet

BennyCunningham:

LonBaruzza:

BennyCunningham:

LonBaruzza:

BennyCunningham:

LonBaruzza:

Komunikator

Będziesz jutro w kraterze?

Żeby cię pożegnać? Nie przepuściłbym tego za żadne skarby.

Świetnie. Założę się, że będzie z tobą ubaw.

Wypróbuj mnie.

Ciekawe, jak ci wychodzi masaż pleców.

Jestem najlepszy.

SówNet

BrandonBuchanan:

Ryan Reynolds:

BrandonBuchanan:

Ryan Reynolds:

BrandonBuchanan:

RyanReynolds:

BrandonBuchanan:

Komunikator

Co wiesz o Sage Francis?

Dlaczego pytasz?

Odpowiedz na pytanie.

Jest sama i napalona.

Dzięki, to mi wystarczy.

Problem tylko w tym, że jest napalona na moje ciało. Więc się nie wtrznijaj.

Reynolds, nikt nie jest napalony na ciebie. Weź się w garść. Nikt na ciebie nie poleci.

SówNet

HeathFerro:

KaraWhalen:

HeathFerro:

Komunikator

Masz koszulę w małym rozmiarze?

Co?

No pomóż kobiecie w potrzebie.

Przecież nie chcę pożyczyć majteczek. Chociaż jak o tym

KaraWhalen:

pomyśle...
Dobra, wpadnij.

Odpowiedzialna Sowa wie, że nie należy gnębić sekretarza dziekana

Brett zrzędała mina, gdy zobaczyła przed monitorem komputera łysą głowę pana Tomkinsa, który blokował dostęp do gabinetu dziekana Marymounta. Postanowiła przyjść tu w porze lunchu, kiedy pan Tomkins chadzał zwykle do stołówki i przy barze sałatkowym ładował na talerz buraki, szparagi i pierś z kurczaka. Założyłaby się, że jego siuśki śmierdzą zdechłym kotem.

Brett wiedziała, że coś się szykuje, gdy tylko pan Tomkins podniósł na nią wzrok i odstawił tuńczyka z ryżem. Poprawił czarny krawat w dynie. Czy nie za wcześnie na Halloween? Wzdrygnęła się, gdy wyobraziła go sobie przebranego w kostium Jeźdźca bez Głowy, tak jak w zeszłym roku. Miał wtedy na głowie dziwaczny skórzany kaptur, który wyglądał tak, jakby go kupił w sex shopie. To było naprawdę przerażające, bała się nawet myśleć, co robi z tym kostiumem przez resztę roku w zaciszu swojego domu. Legenda o Jeźdźcu bez Głowy nabrała zupełnie nowego i całkowicie pornograficznego znaczenia.

- Jest dziekan? - zapytała Brett, przechylając głowę. Jej płomiennoczerwone włosy opadły jak zasłona na jedno ramię. Brett miała nadzieję, że w wełnianym bezrękawniku Jamesa Perse'a w czerwono - czarne romby i w kokieteryjnej białej hippisowskiej koszuli, którą pożyczyła w zeszłym tygodniu od Kary, wygląda odpowiednio niewinnie.

Pan Tomkins z wolna skinął głową, wycierając usta zmiętą serwetką.

- A jakże. - Najwyraźniej zrezygnował z udawania, że ma jeszcze jakieś włosy, poszedł na całość i wygolił ostatnich dziesięć kłaczków. Brett zrobiła parę kroków w stronę zamkniętych drzwi do gabinetu, a pan Tomkins drgnął. Sprężył się jak do skoku, gotów zasłonić drzwi własnym ciałem, jeśli zajdzie taka potrzeba. - Ale nie wolno mu przeszkadzać.

Przeszkadzać? Od kiedy to wizyta przewodniczącej jedenastej klasy jest przeszkadzaniem? I dlaczego pan Tomkins, który bardzo lubi Brett, zachowuje się tak tajemniczo?

- Dlaczego? - Nie dawała za wygraną, ale od razu uświadomiła sobie, że lepszą taktyką jest podlizywanie się panu Tomkinsowi niż prowokowanie go. Tyle że sytuacja była nagląca, a Brett zbyt wściekła i przerażona tym, że znalazła się na liście podejrzanych, żeby tracić czas na flirtowanie z panem Tomkinsiem. Zawsze miała podejrzenia, że udaje zniewieściałego typa, aby dziewczyny bezwiednie pochylały się nad nim i machinalnie poprawiały staniki. Obleśny typ.

- Jest zajęty. Przygotowuje przemówienie na dzisiejszą kolację na cześć kandydatów - wyjaśnił pan Tomkins. Dostrzegła niedużą plamę musztardy na jego krawacie i wiedziała, że kiedy sam ją zauważy, poczuje się potwornie zażenowany. - Polecił, żeby nikt mu nie przeszkadzał pod żadnym pozorem.

- Ale to pilna sprawa. - Brett czuła, że głos zaczyna się jej łamać jak małej dziewczynce,

więc przełknęła ślinę. Nie będzie błagać pana Tomkinsa. Fakt, że znalazła się na liście podejrzanych, jest już wystarczającym upokorzeniem. Dlaczego, do diabła, umieszczono ją na tej liście? - A poza tym jestem przewodniczącą klasy - dodała z desperacją, wiedząc, że działa panu Tomkinsowi na nerwy. Zastanawiała się, czy jeśli powie jakiś komplement pod adresem jego wygolonej czaszki, to zdoła go udobruchać. - Mam szkolną sprawę.

Pan Tomkins wpatrywał się w nią rozparty w antycznym dębowym krześle.

- Jaka to sprawa?

- Przecież pan wie. - Brett czuła, że brakuje jej tchu. I taki pożytek z uczęszczania na zajęcia grupy dyskusyjnej przygotowujące do podobnych konfrontacji. Oparła dłonie na gładkiej powierzchni biurka pana Tomkinsa i uśmiechnęła się do niego przymilnie. - Muszę z nim chwilę porozmawiać. Nie może mnie pan wpuścić na minutę? Może pan liczyć czas.

Pan Tomkins uśmiechnął się rozbawiony i przecząco pokręcił głową. Brett usłyszała jakiś szelest za drzwiami gabinetu dziekana i miała wrażenie, że zaraz się otworzą, ale po chwili odgłos ucichł i w środku znowu zapanowała cisza.

- Po prostu nie wolno mu przeszkadzać - powtórzył pan Tomkins, zerkając jednym okiem na ekran komputera i trzymając dłoń na myszce. Łatwa praca, pomyślała z goryczą Brett. Zajadanie przy biurku kanapek z tuńczykiem i surfowanie w sieci w poszukiwaniu pornosów z Jeźdźcem bez Głowy, a przy okazji odganianie uczniów spod drzwi gabinetu dziekana. - Żałuję, ale nie mogę pomóc.

- Jestem przewodniczącą., - Brett zrobiła drugie podejście.

- Tak, wiem o tym - przerwał jej pan Tomkins. Tym razem nie oderwał oczu do ekranu, a Brett odniosła wrażenie, że jest całkowicie pochłonięty układaniem pasjansa.

- Mam prawo wiedzieć, dlaczego jestem wśród podejrzanych - wygarnęła Brett, trochę zaniepokojona, że ktoś może usłyszeć, iż załatwia własne interesy, występując jako przedstawicielka społeczności uczniowskiej. Ale w sekretariacie nie było nikogo więcej, a gdyby nawet dziekan to usłyszał, to może przynajmniej wpuściłby ją do środka.

- Przykro mi - powiedział pan Tomkins tonem wskazującym, że wcale nie czuje żadnego dyskomfortu. - Nie wolno mi zdradzać takich informacji. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, który mówił: „Wiem coś, czego ty nie wiesz”. Brett nie miała zamiaru dawać mu satysfakcji i błagać o zdradzenie jakiegokolwiek informacji. Już miała się odwrócić i wyjść, gdy pan Tomkins zupełnie niespodziewanie dodał szeptem: - Zdaje się, że niektórzy uczniowie znaleźli się na liście, ponieważ ostatnimi czasy za bardzo rzucali się w oczy.

Przez ułamek sekundy sądziła, że ma na myśli Heatha. Albo Tinsley. Albo nawet Jenny, która stała się przedmiotem niezliczonych plotek, tak samo jak Easy i Callie.

Ale kiedy spojrzała na jego wysoko uniesione brwi, zdała sobie sprawę, że pan Tomkins ma

na myśli ją. Serce podeszło jej do gardła. To musi być jakiś ponury żart! Brett chciała krzyknąć na Tomkinsa, który udawał, że nie widzi przerażenia na jej twarzy. Jestem na liście, bo nie siedzę przez cały czas w pokoju pochłonięta nauką? Jestem na liście, bo koleżanki i koledzy plotkują na mój temat? Jestem na liście, bo całowałam się z inną dziewczyną? Jak to w ogóle możliwe? Przerazona Brett wyszła z sekretariatu na miękkich nogach, nie mówiąc „Do widzenia”.

W korytarzu padła ciężko na drewnianą ławkę, na której siedziały przed nią niezliczone rzesze delikwentów, czekających, aż dziekan Marymount arbitralnie podejmie decyzję co do ich dalszego losu. Wyobraziła sobie Marymounta, pana Tomkinsa i grupę wścibskich nauczycieli pochylonych z radością nad rocznikiem Waverly. Widziała, jak z niezdrową satysfakcją namierzają osobę, która według nich jest wystarczająco podejrzana. Oczywiście wyobraźni widziała ich twarze, gdy wreszcie dochodzą do jej zdjęcia. Pan Tomkins miałby na sobie krawat w wydrążone dynie.

- Hm, no tak. - Dziekan Marymount pogłaskałby się po cienkich, jasnych włosach zaczesanych na łysinę. - Lesbijka i piromanka. Jest co prawda przewodniczącą jedenastej klasy, ale i tak trzeba ją umieścić na liście. - Po czym skinąłby mądrze głową i zapisał jej nazwisko, a obok niego umieściłby dopisek: „Winna”.

SówNet

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

Komunikator

Chcesz iść na kolację na cześć kandydatów?

Może lepiej zamówię coś do pokoju...

Ale dlaczego?

Chyba się położę.

Hej, nie ma się czym martwić.

jesteśmy na liście dziekana, ale przecież nie zrobiliśmy nic złego, no nie?

Zależy, kogo spytasz.

Sowa Waverly nigdy nie przegrywa pojedynku

Tinsley wracała żwirową alejką do Dumbarton, a jej białe, skórzane buty Prince'a do tenisa wybijały każdy krok. Bawiła się dziś na treningu lepiej niż zwykle. Pani Nemerov, superwysportowana, nieco męska w sposobie bycia trenerka rosyjskiego pochodzenia, bezwstydnie faworyzowała Tinsley. I to tylko dlatego, że ta znalazła się na liście podejrzanych dziekana. Była przerażona perspektywą, że jej najlepsza zawodniczka mogłaby zniknąć z drużyny. Wzięła nawet Tinsley na stronę i zaproponowała, że może szepnąć dziekanowi słówko w jej sprawie. Tinsley uprzejmie odmówiła. Poradzę sobie sama, dziękuję bardzo. Z pomocą Chloe dziekan do środy będzie już przekonany, że Jenny jest winowajczynią. Tinsley czuła się jak aktor w teatrze marionetek, poruszający wszystkimi sznurkami.

Grupa dziewcząt z dziewiątej klasy, ubranych w skąpe topy, rozłożyła się tu i ówdzie na murawie opustoszałego stadionu Waverly, wystawiając chude ramiona na ostatnie ciepłe promienie słońca. Wszystkie ukradkiem uniosły wzrok znad otwartych książek i obserwowały Tinsley. Z trudem powstrzymała się od śmiechu. Przecięła rakieta powietrze, wyobrażając sobie, że ścina głowę Jenny ułożoną na pieńku. Nie zauważyła, że zbliża się do niej wysoka, chuda postać. Prawie na nią wpadła.

- Tinsley - oznajmił głośno Julian.

Niemal podskoczyła.

- Julian - powiedziała automatycznie, bo nic innego nie przyszło jej w tym momencie do głowy. Przed tym cudownym, smukłym chłopakiem, który patrzył na nią brązowymi, łagodnymi oczami, ogarniało ją dziwne onieśmielenie. Poczowała, że w brzuchu jej się przyjemnie przewraca na wspomnienie ich ognistych spotkań w różnych miejscach kampusu - w łazience Dumbarton, w sali kinowej w podziemiach Hopkins Hall. Zrobiła z tego potajemny romans tylko dlatego, że bała się gadania, że zadaje się z pierwszorzecznikiem. Ale kiedy teraz o tym myślała, to nie widziała w tym fakcie nic złego. Być może zapoczątkowałyby nową modę, a la Demi Moore.

- Hej, szkoda, że... hm... nie mieliśmy okazji porozmawiać w czasie weekendu. - Julian kopnął czubkiem buta dziurę w żwirowej alejce. Po chwili podniósł wzrok, jego zmierzwiłone jasnobrązowe włosy opadały w nieładzie na czoło. Ubrany był w żółtą kraciatą koszulę z kołnierzykiem na guziki i Tinsley zastanawiała się, co ma pod nią. - Wszystko wymknęło się spod kontroli. Ale naprawdę miałem zamiar porozmawiać z tobą o pewnych sprawach.

Tinsley zeszytywniała, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Zganiła się w duchu za chwilę słabości. Jak mogła dopuścić do tego, żeby ten smarkacz tak bardzo ją zdenerwował?

- O pewnych sprawach? - zapytała lodowatym tonem, mrużąc fiołkowe oczy. - Czy mówiąc,

że „wszystko wymknęło się spod kontroli”, chciałeś powiedzieć, że byłeś zbyt pochłonięty swoją nową dziewczyną?

- O czym ty mówisz? - Julian wydawał się naprawdę zakłopotany. Przeczesał ręką potargane włosy, zastanawiając się pewnie, skąd wie o Jenny. Myślał, że może się zadawać z tą biuściastą małą puszczałką, a ona się o tym nie dowie?

- Nie udawaj naiwniaka. Widziałam cię z tym kurdupłem. Postawiła tytanową raketę do tenisa i oparła się na niej.

Czuła się tak, jakby właśnie zaliczyła punkt w grze.

Julian uniósł brwi. Nie wiedziała, czy jest zdziwiony, czy zły. Pewnie jedno i drugie.

- Gdzie?

Tinsley zeszywniała, pojmując swój błąd. Jeśli mu powie, że widziała ich koło stodoły, to tak jakby przyznała się do podpalenia. Zerknęła na lewo. Opalające się dziewczyny wydawały się zatopione w książkach, ale podejrzewała, że nadstawiały uszu, aby nie uronić ani słowa z tej rozmowy.

- Nieważne gdzie - syknęła. - Ale ułatwię ci to. Jeśli jeszcze raz zobaczę ciebie i twoją dziewczynę razem, to być może będzie to wasz ostami raz. - Ostatnie słowa wymówiła powoli i starannie. Nie miała zamiaru tego powtarzać.

Julian zaczerwienił się delikatnie.

- Grozisz mi? - Głos mu drżał, a jego zwykły pogodny nastrój ulotnił się bez śladu. Wydawał się zaszokowany i nieco przestraszony. I tak właśnie mieli się czuć wrogowie Tinsley.

- Nie bądź głupi. - Roześmiała się, odrzucając czarne jedwabiste włosy. - Przecież oboje wiemy, komu grozę.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, wymachując delikatnie raketą. Gem, set, mecz. Ale przegranym nie był Julian. Ktoś znacznie, znacznie niższy.

Z okazji uroczystej kolacji na cześć kandydatów zamieniono stołówkę w pięciogwiazdkową restaurację. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez witrażowe okna i rzucały kolorowe smugi światła na białe lniane obrusy. Chociaż Tinsley była poirytowana obecnością tych wszystkich gamoniowatych kandydatów - wszystkich oprócz jednej osoby - podziwiała Marymounta za to, że potrafił zdobyć się na taki gest. Zatrzymała się w drzwiach i pozwoliła sobie na chwilę zachwyty nad zmianami. A przy okazji pokazała innym, że jest spokojna i opanowana jak zawsze, pomimo groźnego mejla do Marymounta.

Zlikwidowano barek z pizzą i pojemniki z płatkami śniadaniowymi, nawet butlę z wodą sodową przesunięto pod ścianę. Ich miejsce zajął oszałamiający szereg obsługi ubranej w odprasowane białe koszule, czarne spodnie i białe rękawiczki. Tinsley niemal się potknęła o jednego z kelnerów, który niósł tacę z kanapkami. Serwowanie przystawek? Gdy chodziło o

zabezpieczenie przyszłości finansowej Waverly, dziekan najwyraźniej potrafił nieco głębiej sięgnąć do kieszeni. Ktoś nawet zadał sobie tyle trudu, aby wykaligrafować napis: „Zakaz używania telefonów komórkowych”, które to ostrzeżenie powieszono na widocznym miejscu przy wejściu.

Weszła na salę jako jedna z ostatnich, ale tak właśnie lubiła się pojawiać. Przyciągnęła wszystkie spojrzenia, gdy kroczyła ubrana w klasyczną małą czarną Chanel i czarne rajstopy z wzorem. Poruszała ciałem w taki sposób, że suknia, która miała skromny fason, zaczynała żyć własnym życiem, i każdy zastanawiał się, co się pod nią znajduje.

Jeden z długich stołów przy olbrzymim kominku - w którym rozpalono ogień specjalnie na tę okazję, zauważyła z ironią - okupowały Sage i Benny z resztą towarzystwa.

- Ładna sukienka, T. - pochwaliła Benny głośnym szeptem, kiedy Tinsley ją mijala.

- Dzięki - odpowiedziała normalnym głosem i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że w całej stołówce panuje dziwna cisza.

Uczniowie pochylali głowy na stołami, wymieniając szeptem uwagi, jakby każdy się obawiał, że głośniejsze słowo wskaże go jako winowajcę. Na drugim końcu stołu siedziała Callie. Pochwyciła spojrzenie Tinsley. Pochyliła rudawoblond włosy w stronę Easy'ego, który niemal siedział jej na kolanach. Zrób miejsce, syknęła Tinsley do siebie. Callie skinęła na nią, podnosząc jasne brwi i klepiąc wolne miejsce koło siebie. Na jej ręce połyskiwała bransoletka z perełek od Swarovskiego.

Tinsley precyzyjnie się do miejsca, gdzie siedziała Callie i gdzie Heath próbował namówić jedną z kelnerek, by postawiła przed nim tacę z przystawkami. W ślad za Tinsley biegł szmer głosów. Uśmiechnęła się pod nosem. Nie przeszkadzało jej, że jest na liście podejrzanych w sprawie pożaru na farmie pani Miller - każdy, kto czytywał kryminały Agathy Christie, wie, że winowajcą jest zawsze osoba, którą najmniej się podejrzewa. Ktoś taki jak mała Jenny Humphrey. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ta słodka niewysoka osóbką mogłaby wzniecić pożar na farmie, ale kiedy w końcu ją przyskrzynią, wszyscy się zdziwią, że wcześniej o tym nie pomyśleli.

- Niezłe wejście - syknęła Callie pod nosem. - Marymount ma przemawiać za dwie minuty.

Tinsley usiadła na niewygodnym dębowym krześle, które Callie jej zajęła.

- Przecież nie zacząłby beze mnie - odszepnęła ze złośliwym uśmiechem.

Brandon Buchanan starał się ukradkiem podać jakiejś osobie na drugim końcu stołu liścik nabazgrany na serwetce. Tinsley przechwyciła liścik i trzymała go w dłoni. Brandon, ubrany w schludnie odprasowaną koszulę Armaniego i krawat, przesłał jej złośliwy uśmiezek, sugerujący, żeby nie otwierała serwetki. Tinsley go zignorowała. „Myślisz, że to ona to zrobiła?” Tak brzmiała treść zapisana dziwnie niechlujnym pismem jak na Brandona. Tinsley pokazała mu język. Czy to było o niej? Ani trochę by jej to nie obeszło, gdyby ten mądrała wyleciał ze szkoły. Zgniotła serwetkę. Na wszystkich stołach walały się pogniecione serwetki, a Tinsley zastanawiała się, na ilu

pisano o niej.

- T. C. - Heath skłonił się na powitanie, a jedna z obsługujących, ładna blondynka z dziesiątej klasy, postawiła przed nim tacę z faszeryowanymi grzybami.

Tinsley odpowiedziała spojrzeniem. Nie widziała wcześniej kandydata, który siedział obok Heatha. Jego jasnobrązowe włosy były ułożone w taki sam sposób jak włosy Heatha - boki zaczesane do tyłu, góra w artystycznym nieładzie, wszystko utrwalone za pomocą żelu. Tinsley zaczęła się zastanawiać, czy Heath nie ma przypadkiem młodszego brata. Kiedy dzieciak sięgnął po przystawkę, zauważyła, że nawet porusza się podobnie jak Heath. Niesamowite. Wrzucił grzybek do ust, nie przestając podwijać rękawa jasno - błękitnej, słodkiej koszuli. Wyglądała tak, jakby pochodziła z działu dla kobiet u Bloomingdale'a.

- Ładną masz koszulę - zauważyła Tinsley, zapominając, że należy mówić szeptem. Wszyscy przy stole drgnęli z trwogą, jak gdyby chowali się przed wrogiem, a Tinsley właśnie zdradziła ich pozycję.

- Tak, jest super - odparł kandydat, dając przy tym Heathowi jakiś znak głową.

- To mój chłopak, Sam - wyszeptał Heath, zaciskając dłonie w górze na znak triumfu. Sam natychmiast zrobił to samo, na co wszyscy przy stole parsknęli śmiechem.

- Nie wiedziałem, że jesteś ojcem. Ferro. - Alan St. Girard pochylił się do przodu i zwinął z talerza jeden z grzybków Heatha. Z okazji kolacji ogolił niezbyt starannie brodę, co pokazało światu dziecięcą tłuściość na różowawych policzkach. Tinsley rozejrzała się po sali w poszukiwaniu jego dziewczyny i dostrzegła głowę Alison Quentin z ciemnymi, gęstymi włosami przy okrągłym stole w rogu pomieszczenia. Alison siedziała tam z Jenny i, co zauważyła z satysfakcją, z Chloe. Upiła łyk wody i dalej przeczesywała wzrokiem salę, wyłuskując w końcu znajomą przystojną twarz Juliana przy stoliku drużyny squasha, w innym rogu, tak daleko od Jenny, jak to tylko było możliwe. Pociągnęła kolejny łyk wody, jakby piła szampana, i pogratulowała sobie dobrze wykonanej pracy.

- Jest moim protegowanym - przechwalał się Heath, klepiąc Sama po ramieniu. - Przekáže dziedzictwo Heatha następnym pokoleniom, gdy mnie już tu nie będzie.

- A to może stać się szybko, no nie? - Tinsley uśmiechnęła się i założyła ręce, co zawsze przyciągało spojrzenia do jej doskonałego biustu.

- To się zobaczy - powiedział Heath, rozglądając się. Zgromadzeni wydali pomruk, gdy dziekan Marymount wszedł na mównicę ustawioną na przodzie sali i udekorowaną herbem Waverly. Chociaż wszyscy spoglądali na siebie, w sali panowała zdumiewająca cisza. Dziekan puknął w mikrofon dwoma tłustymi palcami i po sali rozszedł się dźwięk przypominający grzmot. Dało się słyszeć odosobnione i stłumione chichoty. Tinsley zachowała powagę, nie odwracając wzroku nawet wtedy, gdy Marymount zdawał się patrzeć prosto w jej oczy.

- Mamy ogromną przyjemność powitać naszych gości zaczął poważnie i uroczyście, jakby zwracał się do sądu, a nie do grupy rozwydrzonych nastolatków. - Tradycja jest ważnym elementem doskonałej reputacji Waverly. O naszej pozycji nie tylko w najbliższym otoczeniu, ale i w szerszej społeczności, decyduje wartościowe połączenie honoru z szacunkiem, które są dwoma pasmami tej samej drogi skrzyżowanymi z szeroką aleją, znaną pod nazwą prawdy.

Tinsley zacisnęła usta i utkwiała wzrok w Marymounce, podpierając podbródek dłonią. Miała nadzieję, że wygląda na osobę zainteresowaną jego słowami. Spojrzała na ostatni grzybek na talerzu Heatha. Zaburczało jej w brzuchu.

- Szacunek dla siebie nawzajem i dla naszej społeczności to najważniejsza wartość, dzięki której Waverly jest poważaną instytucją. Nie zapominajcie, że Waverly to nie tylko miejsce. Szkoła ma swój charakter i swoje morale, a każda bez wyjątku osoba, która przywdziewa marynarkę akademii i przyjmuje dumny tytuł Sowy Waverly staje się częścią naszej społeczności. Jeśli chcemy, by szkoła miała nieposzlakowaną opinię, musimy być najlepsi. Sowa jest przede wszystkim uczciwym, przestrzegającym zasad i prawym obywatelem. Te cechy powinien uosabiać każdy uczeń Waverly. Mam nadzieję, że kandydaci - nasze przyszłe Sowy Waverly - przejmą to od was intuicyjnie, jeśli podtrzymacie w nich pragnienie dołączenia do społeczności Waverly. - Marymount zrobił przerwę pełną dramatyzmu, wstrzymał oddech i dopiero gdy był pewny, że przykuł uwagę całej sali, mówił dalej. - Oczywiście, nie trzeba nawet przypominać, że każdy, kto nie uosabia tych wartości, które cenimy najwyżej w Waverly, nie pasuje tu i może stać się jedynie skazą na budowanej przez lata, wypracowanej wspólnym trudem reputacji akademii. Zapewniam, że pod moim kierownictwem Waverly nie będzie narażone na taki wstyd. Tyle mogę wam obiecać.

Marymount podniósł wzrok znad mównicy i prześwietlał salę zimnymi niebieskimi oczami niczym jastrzęb. Tinsley spojrzała na koleżanki i kolegów. Każdy odwracał oczy i wyraźnie bał się skrzyżować spojrzenie z dziekanem. Jediną osobą, która nie uchwyciła złowieszczonego wydźwięku słów dziekana, był Sam. Chłopak właśnie odkrył, że guziki przy jego koszuli nie są białe, tylko perłoworóżowe. Przyglądał się im z trwogą. Tinsley zastanawiała się, jak mógł nie zauważyć kołnierzyka a la Piotruś Pan i poduszek na ramionach.

Spojrzała ponownie w stronę Jenny. Spijała każde słowo z ust Marymounta i wydawała się zmartwiona, a jej ciemne loczki kręciły się mniej niż zwykle. Chloe odwróciła się i złapała spojrzenie Tinsley. Kandydatka mrugnęła do niej porozumiewawczo i wydawało się, że walczy ze sobą, aby nie pomachać ręką i nie krzyknąć: „Przyjaźnię się z Tinsley!” Może nie była uprzedzająco grzeczna, ale na pewno bezcenna.

Tinsley uśmiechnęła się. Dziekan Marymount nie zdawał sobie sprawy - jeszcze nie w tej chwili - że osoba, którą tak pierwszorzędnie opisał, to w rzeczywistości mała Jenny Humphrey. Czy ktoś z takim biustem może mieć zasady moralne?

SówNet **Twoja Poczta**
Od: RufusHumphrey@poetsonline.HYPERLINK
Do: ["mailto:RufusHumphrey@poetsonline.com"](mailto:RufusHumphrey@poetsonline.com)
Data: JennyHumphrey@waverly.HYPERLINK ["mailto:Humphrey@waverly.edu"](mailto:Humphrey@waverly.edu)
Temat: poniedziałek, 14 października, 22. 27
Miau

Miau, miau (kochana lenny)

Wszyscy na Dziewięćdziesiątej Dziewiątej Zachodniej i na West End Ave tęsknią za tobą, a szczególnie ja, kot Marx. Zepsute mleko traci smak, kiedy nie ma cię w pobliżu, i z trudem zbieram w sobie siły, aby pogonić myszy do wyjścia przeciwpożarowego. Przyzwyczailem się do spania w twoim dawnym łóżku, ale dziewczyna, która teraz tam sypia, ta, która nie ma w ogóle włosów - co to za dziwoląg, sfinks? - nie wydaje się tym uszczęśliwiona. Pewnie dlatego, że ubiera się tylko na czarno, a na tym kolorze najbardziej widać moje kłaczki.

Najdroższa Jenny, moja ulubiona właścicielko, kiedy cię znowu zobaczymy? Twoja nieobecność jest dla nas ciężką próbą.

Z poważaniem

Kot Marx

PS Proszę, zadzwoń do swojego ojca. Bez ciebie wydaje się samotny. Inaczej nie przestanie mnie szczotkować.

Biblioteka Waverly to miejsce na naukę

Callie poczuła w powietrzu lekki zapach farby olejnej, kiedy we wtorek rano skręciła za narożnik na drugim piętrze biblioteki, stukając obcasami Costume National. Zerknęła na zegarek Cartiera z wąską bransoletką i małymi brylantami wokół tarczy i uśmiechnęła się do siebie. W samą porę. To była jej pierwsza wizyta w Staxxx, zakątku biblioteki przeznaczonym na indywidualną naukę i zarezerwowanym dla tych osób, które przygotowują się do egzaminu SAT. Miejsce słynęło z tego, że nie kręciły się tu nadzorujące bibliotekarki. Na narożnych regałach stały w większości stare encyklopedie i przestarzałe roczniki, więc nikt nie trafiał tu przypadkiem. Jacyś przedsiębiorczy uczniowie zainicjowali nawet własny księgozbiór na najniższej półce Staxxx. Były tam między innymi zniszczone egzemplarze *Kochanka Lady Chatterly*, *Lolity* i zbiorowe wydanie dzieł Henry'ego Millera. Na samym spodzie najniższej półki znajdował się także numer „Playboya” z rozebranymi zdjęciami Madonny, pozostawiony przez rocznik 1985 z Waverly.

Zastała Easy'ego w jednym z trzech boksów do nauki - przypominających przegrody w restauracji - w których ławki były wyściełane pomarańczowym, wełnianym, drapiącym materiałem. Pomysł z boksami miał zachęcać do grupowej nauki, ale najczęściej pracowano w nich parami.

- Hej. - Ciemnoniebieskie oczy Easy'ego rozbłysły, kiedy ją zobaczył. Odsunął na bok egzemplarz *Zwrotnika Raka*. Miał na sobie czarną koszulkę z dzianiny i zniszczone lewisy, a ciemne falujące włosy opadały mu na czoło. Aż chciało się go schrupać.

Callie zsunęła na podłogę czarną skórzaną torbę od Pierre'a Hardy'ego i szybko usiadła po tej samej stronie boksu, którą zajmował Easy, tarmosząc mu włosy.

- Auuu! - Easy uderzył kolanem o brzeg stołu. Uśmiechnął się leniwie, ukazując zaschniętą plamkę białej pasty do zębów w kąciku ust.

Callie polizała palec i starła pastę.

- Dziękuję, mamusiu - powiedział ze swoim południowym akcentem, a Callie klepnęła go lekko w ramię. Sunęła palcami w dół jego nogi, do miejsca, które szczególnie lubiła - do kwadratowych i chłopięcych dużych kolan, ukrytych pod miękkimi dżinsami. Nie mogła oderwać wzroku od jego pięknych niebieskich oczu. Przypominały jej ocean, ale niejasną, turkusową toń Morza Karaibskiego, w którym każdy uwielbiał nurkować, ale ciemną otchłań Atlantyku, którego głębi nie da się ogarnąć.

Easy pochylił się i pocałował ją w usta. Początek był słodki i czuły. Całowali się z coraz większym zapamiętaniem, aż w końcu musieli się od siebie oderwać. Wpatrywali się w siebie, dokładnie wiedząc, co myśli drugie.

- Chcesz, żebym położył *Lolite* na wózku pod drzwiami? - zapytał Easy. Był to znany od lat

sygnał, że Staxxx jest zajęty. Im bardziej Easy był napalony, tym wyraźniejszy się stawał jego akcent z Kentucky. W tej chwili Callie nie zorientowałyby się, że Easy od dwóch i pół roku uczy się w szkole na Wschodnim Wybrzeżu. Jego palce błędziły przy pasku od jej rurkowatych dzinsów Habitual, delikatnie gładząc plecy.

Callie poczuła, że żołądek podjeżdża jej do góry w taki sam sposób, jak podczas jazdy szybką windą do biura ojca na ostatnim piętrze drapacza chmur w centrum Atlanty, będącego siedzibą Bank of America.

- A jeśli nas przyłapią? - zapytała, chociaż specjalnie się tym nie martwiła. Rano w bibliotece panowała martwa cisza, a poza tym wszyscy za bardzo przejmowali się śledztwem w sprawie pożaru, aby się przygotowywać do egzaminu SAT. Wyślizgnęła się z kardigana TSE, pod którym miała cienką białą koszulkę Antropologie na ramiączkach.

- Nawet jeśli, to co z tego? - Easy wzruszył ramionami. - Może to nasza ostatnia okazja. Musimy korzystać z każdej sposobności.

To miał być żart. ale gdy tylko Easy wypowiedział te słowa, poczuł, że skręca go w żołądku. Odkąd otrzymał mejl od dziekana, był kłębkim nerwów, zeszłej nocy prawie nie zmrzył oka. Wiele, wiele razy miewał kłopoty w Waverly i chociaż słyszał, że znaleziono zapalniczkę Juliana, to i tak odnosił wrażenie, że oskarżycielski mejl był wymierzony bezpośrednio w niego. I tylko w niego. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wyrzucono go z Waverly. A potem ojciec go wydziedziczy i umieści w poprawczaku. Jednak bardziej niż o siebie martwił się o Callie. Co ona robi, jeśli wyrzucą ją ze szkoły? I co on zrobi, jeśli do tego dojdzie?

- Nie bądź głuptasem. - Callie potrząsnęła głową, a jej gęste falujące rudoblond włosy musnęły nagie ramiona. - Nie wywalą nas.

Easy objął Callie za szyję, napawając się dotykiem jej nagiej, delikatnej skóry.

- Żartowałem, ale... kochanie, Marymount chce przecież kogoś wykopać. A my byliśmy w stodole. Pewnie jesteśmy pierwsi na liście podejrzanych. - Jego ręka ześlizgnęła się na ramię Callie.
- Jak możesz się tym nie martwić?

Uderzyło go, że sam wariuje z niepokoju, co bardziej pasowało do Callie. Tymczasem ona zachowuje spokój i luz, co z kolei bardziej pasowało do niego. Jak to możliwe? Czy wiedziała coś, czego on nie wiedział?

Callie wzruszyła ramionami, a w jej orzechowych oczach nie było ani śladu niepokoju.

- Po prostu wierzę, że ukarany zostanie ten, kto za to odpowiada, ktokolwiek to jest. - Przytuliła się do jego szyi. - Odpręż się - wyszeptała niskim, gardłowym głosem.

Ale Easy nie umiał się odprężyć. Callie powiedziała mu następnego ranka po pożarze, że jest całkowicie pewna, że to Jenny wywołała pożar z zazdrości. A zatem mówiąc „ktokolwiek to jest”, w istocie miała na myśli Jenny. I o co chodziło z tą potajemną naradą telefoniczną z Tinsley

przedwczoraj w stajni? To dziwne, że Callie i Tinsley są znowu w takiej komitywie. Easy nagle usiadł.

- Nie wplątałaś się w nic, prawda? - zapytał.

Gdy słowa zawisły w powietrzu, zmartwił się znowu, że zachowuje się jak wariat, ale było już za późno.

Callie powoli zamruwała oczami. Jej rzęsy były jasne i ładne bez tego czarnego smarowidła, które często na nie nakładała.

- Oczywiście, że nie. - Odrzuciła głowę, a jej rudoblond włosy opadły gęstą zasłoną na ramiona. Przed kilkoma tygodniami obcięła włosy, więc teraz sięgały ramion i okalały jej długą, cienką szyję. - Chciałam tylko powiedzieć, że jesteśmy niewinni i nie mamy się czym martwić. - Znowu pochyliła się i gryzła lekko jego ucho, aż czuł jej ciepły oddech. - Na czym skończyliśmy?

Easy zamknął oczy. Tak dobrze czuł się z Callie. Nie chciał, aby to szaleństwo z listą podejrzanych dziekana Marymounta i z pożarem zaciążyło na ich związku. Jeśli powiedziała, że nic się nie dzieje, to znaczy, że nic się nie dzieje.

- A na tym - odszepnął i pocałował jej miękkie, pełne wargi.

Przecież Callie na samym początku powiedziała, że są znowu razem i tylko to się liczy.

SówNet

CallieVernon:

TinsleyCarmichael:

CallieVernon:

TinsleyCarmichael:

CallieVernon:

TinsleyCarmichael:

CallieVernon:

Komunikator

Nie mogę tego dalej ciągnąć.

Że co?

EW podejrzewa, że coś knuję.

No i?

I... nie chcę ryzykować. Możesz dalej zająć się tym sama?

Jezu. Dorośnij, C.

Nie mów tak. Przecież wiesz, że masz jaja za nas dwie.

Sowa Waverly wie, że rysunek jest lepszy niż tysiąc słów

Jenny lubiła zwykle odgłosy towarzyszące lekcji portretu - jej ulubionym zajęciom plastycznym. Przesuwanie stołków po betonowej podłodze i skrobanie pędzli o sztalugi zazwyczaj działało na nią inspirująco i zachęcało do pracy. A jeśli jeszcze w powietrzu unosił się zapach farb olejnych i terpentyny, to potrafiła pracować bez końca.

Ale dzisiaj czuła, że ma ciężkie i powolne palce. Chociaż rozłożyła przed sobą fioletowy przybornik ArtBin i wszystkie ołówki do szkicowania Derwenta, posortowane według twardości, czuła napięcie w rękach. Wszystko przez to, że tak bardzo się martwiła. Wpatrywała się w pustą białą kartkę papieru. Pani Silver powiedziała im na początku lekcji, że mogą naszkicować lub namalować, co tylko zechcą, pod warunkiem że będzie to „wypływać z ich najgłębszych myśli i uczuć”. Było to ćwiczenie na dowolny temat, ale wszyscy cieszyli się, że choć przez chwilę nie muszą trzymać się zasad, które krępowały ich przy większości prac. Podczas gdy inni szkicowali albo malowali, Jenny siedziała nieruchomo. Widocznie tak bardzo tłumiała swoje najgłębsze myśli i uczucia, że teraz nie miała do nich dostępu, wyschły jak farba w niedomkniętym pojemniku.

Nagle tuż przy Jenny stanęła pani Silver, a na jej okrągłej, przyjaznej twarzy - mogłaby zagrać żonę Świętego Mikołaja - malowało się pytanie. Miała na sobie fioletową minisukienkę w koniki morskie oraz połyskujące srebrne legginsy i ciemnobrązowe botki Ugga.

- Nie wiesz, jak zacząć? - spytała, kładąc ziemistą dłoń na ramieniu Jenny.

Dziewczyna powoli skinęła głową.

- Odłóż ołówek - poleciła pani Silver. Jenny odłożyła go do pudełka na właściwe miejsce między ołówkami 2B a 4B. Od kiedy to stała się taką przesadną pedantką? - A teraz weź głęboki oddech.

Spokojnie wciągała i wydychała powietrze, mając nadzieję, że nikt nie pomyśli, że dostała jakiegoś ataku czy coś podobnego.

- Nie, nie, nie - zagdakała pani Silver. Jej kręcone, siwe włosy były zebrane w dwie nieporządne kitki z tyłu głowy, przy każdym ruchu wymykały się z nich kosmyki. Koniki morskie na sukience ruszyły w tany. - Za płytko. Spróbuj jeszcze raz.

Jenny rozejrzała się po sali. Chociaż czuła się zakłopotana, oddychała głęboko, napełniając każdy zakamarek płuc unoszącym się w powietrzu zapachem terpentyny. Czuła, że jej pierś się powiększa - choć akurat nie było to konieczne - a po chwili odniosła wrażenie, że maleńkie iskierki życia zaczynają rozchodzić się po jej ramionach, dłoniach, a następnie po całym ciele. Oddychała głośno, nie zastanawiając się już, czy ktoś na nią patrzy.

- Dużo, dużo lepiej. - Pani Silver zaśmiała się z zadowoleniem i oparła dłonie na

rozłożystych biodrach, zniżając głos tak, że Jenny musiała się pochylić w jej stronę, aby usłyszeć, co mówi. - Chcę, żebyś nawiązała kontakt ze swoją podświadomością. Celem tego ćwiczenia jest wylanie z siebie wszystkiego, rysowanie bez zahamowań. - Wymachując w powietrzu rękoma, kreśliła niewidoczne szkice. - Nie przejmuj się, co z tego wyjdzie, może okaże się, że niczego to nie przypomina. Chcę tylko, żebyś przyłożyła ołówek do papieru i zobaczyła, co z tego wyniknie.

Jenny znowu skinęła głową. Miała kłopot z uwolnieniem myśli - krążyły przede wszystkim wokół zawołanej groźby dziekana Marymounta, wygłoszonej na przyjęciu powitalnym zeszłego wieczoru. I wokół zaplanowanej na dzisiaj imprezy z udziałem Osobników Podejrzanych. Na początku Jenny nie miała zamiaru tam iść. Perspektywa przypatrywania się, jak Callie i Easy świętują swoją być może ostatnią noc, nie była zachęcająca. Ale odkąd wiadomość o mejlu dziekana obiegła całe towarzystwo, Jenny czuła się coraz bardziej izolowana. Była ciekawa, czy na widok innych Osobników Podejrzanych też zapada taka kłopotliwa cisza. I dlaczego Julian nie usiadł koło niej wczoraj na kolacji na cześć kandydatów? Poczuli się taka rozczarowana, kiedy zauważyła go siedzącego z drużyną squasha po drugiej stronie sali. Być może jej nie zauważył, a kiedy Marymount zaczął przemówienie, nie mógł się już przesiąść.

- Widzę, że nie możesz się odprężyć. Spróbujmy inaczej. Zamknij oczy. - Dla lepszego efektu pani Silver położyła na oczach Jenny dłoń, świeżo posmarowaną balsamem. - Dobrze. Teraz weź ołówek i zacznij rysować. Nie myśl o tym. Po prostu przesuwaj ołówek po papierze.

Jenny była pewna, że wszyscy się na nią gapią, ale posłusznie wykonywała ćwiczenie. Różany zapach balsamu pani Silver drażnił ją w nos. Szybkie ruchy jej dłoni przypominały znane z filmu gwałtowne wychylenia igły wykrywacza kłamstw, gdy podejrzany łągał jak z nut. Wkrótce nadgarstek włączył się do rysowania, dodając tu i tam jakiś szczegół, podczas gdy Jenny przyglądała się kolorowym plamom pod powiekami. Pani Silver zabrała rękę, ale Jenny nie otworzyła oczu. Światło sączące się przez powieki sprawiało, że widziała jedynie czerwień.

- Dobrze - powiedziała zachęcająco pani Silver. - Nareszcie załapałaś. Wyobraź sobie, że twój mózg nie bierze w tym udziału. Podświadomość ma przemawiać bezpośrednio przez twój ołówek. Pracuj dalej. Możesz mieć zamknięte oczy, jeśli chcesz.

Jenny usłyszała, że pani Silver odchodzi do ucznia siedzącego w innej części sali. Otworzyła oczy, ale nie spojrzała na papier, tylko przez olbrzymie okna pracowni plastycznej, za którymi silny wiatr smagał jaskrawożółte liście brzoź. Spadły pierwsze krople deszczu i roztrzaskały się na szybie, podobnie jak kilka zbłąkanych liści.

Jenny wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim w końcu otrząsnęła się z transu. Usłyszała, że ktoś zatrząskuje pudło z przyborami. To Alison pakowała swoje rzeczy. Zerknęła na rysunek. Wstrzymała oddech. Czy naprawdę to narysowała? Na szkicu, który miała przed oczami, dominowały ciemne, splątane linie, ale wyraźnie było widać, co on przedstawia. Pociągnięty

delikatną kreską budynek, którego górę pożerały tańczące płomienie, oraz ciemne figury biegnące w różnych kierunkach. Jenny utkwiała wzrok w dwóch postaciach, które wydawały się pozostawać w bezruchu, nieświadome pożaru, splecione w uścisku, mimo otaczającego je chaosu. Tylko Jenny potrafiła rozpoznać te postacie.

W jednej chwili całe zdarzenie stanęło Jenny jak żywe przed oczami. Easy i Callie kręcili ze sobą za jej plecami. Callie zdradziła ją, zapominając o obietnicy przyjaźni. A Easy powiedział jej, jeszcze zanim zaczęli ze sobą chodzić, że z Callie wszystko skończone, i to od dawna. Następne kłamstwo.

- O rety, mocna rzecz. - Alison pochyliła się nad rysunkiem Jenny, a jej gładkie czarne włosy opadły do przodu i łaskotały Jenny w nagie ramię.

Jenny wróciła do rzeczywistości.

- Dzięki.

- Sama nie wiem, co mój przedstawia. - Alison wzruszyła ramionami, spoglądając na swój szkic wypełniony serią kropek i linii wijących się wokół prostokąta. - Moja podświadomość nie jest tak interesująca jak twoja.

Jenny spojrzała na swój szkic i mogłaby przysiąc, że słyszy trzeszczenie dopalającej się stodoły i smród zwęglonego drewna. Całe szczęście, że „wypłynęło to z jej podświadomości” na lekcji portretu, jedynych zajęciach plastycznych, na które nie chodził Easy.

- Jak myślisz? Kto pójdzie pod topór? - zapytała Alison przyciszonym głosem.

Jenny utkwiała oczy w postaciach na centralnym miejscu szkicu, przypominając sobie nagą skórę Callie i ręce Easy'ego wędrujące po jej chudym ciele.

- "tylko Callie i Easy byli w stodole. I palili. - Jenny wzruszyła ramionami. - W każdym razie tak słyszałam.

- Myślisz, że oboje wylecą? - wyszeptała Alison.

Jenny poczuła nagle, że ktoś za nią stoi. Odniosła upiorne wrażenie, że jest obserwowana. Umyślnie upuściła ołówek i schyliła się, żeby go podnieść, zerkając przy tym przez ramię. To była Chloe, ubrana w sukienkę polo w żółte paski od Ralphi Laurena. Gryzmoła coś węglem drzewnym. Wydawała się zupełnie nieszkodliwa. Przez całą lekcję była taka cicha, że Jenny zapomniała o jej obecności. Pani Silver miała rację - naprawdę potrzebuje relaksu. Wpada w jakąś paranoję.

- Może - odparła Jenny.

- Chciałabym już mieć za sobą to zebranie u Marymounta. - Alison westchnęła. To takie stresujące. Jestem zupełnie rozsypana. - Wskazała na swój policzek, na którym pod lewym okiem zaczął się rysować ledwie widoczny punkcik. Wyglądał jak pryszcz.

- Gdzie teraz idziemy? - Włączyła się zniecierpliwiona Chloe, a Jenny aż podskoczyła na krześle.

Musi wypić herbatę z melisy. Albo znaleźć Juliana. On wie, co robić, żeby się odprężyła.

- Hm, umówiłam się z Alanem... - Alison spojrzała na Jenny z poczuciem winy wypisanym na twarzy.

Dziewczęta spakowały przybory i podeszły do regału, aby je odłożyć.

- No to może pójde z Jenny? - spytała szybko Chloe, idąc za nimi.

Jej koński ogon podskakiwał w rytm ruchów. Jenny chciała potrząsnąć przecząco głową - nie miała nerwów na wałęsanie się z kandydatką - ale nagle poczuła się winna.

- Okej, możesz pójść ze mną.

Wiedziała aż za dobrze, co to znaczy błąkać się po Waverly.

SówNet

JennyHumphrey:

Komunikator

Kandydatka uczepiła się mojej spódnicy. Pomożesz mi ją zabawić?

JullanMcCafferty:

Jasna sprawa.

JennyHumphrey:

Spotkamy się po lekcjach w kafejce w Maxwellu?

JulianMcCafferty:

A może gdzieś za kampusem?

W Ritoli?

JennyHumphrey:

Mmm, pizza. To randka.

SówNet

BrandonBuchanan:

Komunikator

Witaj, Osobniku Podejrzany.

Jak leci?

SageFrancis:

W porządku... Ale trochę świruję...

BrandonBuchanan:

Dlatego piszę. Żeby wyrazić współczucie.

SageFrancis:

Myślisz, że powinniśmy przygotować jakieś alibi na jutro?

BrandonBuchanan:

Tylko tyle możemy zrobić, no nie?

SageFrancis:

No tak. Ręka rękę myje.

BrandonBuchanan:

Stanę za to przed sądem. Mogę ci jeszcze umyć plecy. Zobaczymy się wieczorem na imprezie?

SageFrancis:

Jasne.

Sowa Waverly przyjmuje odwiedziny tylko w wyznaczonych godzinach i zostawia przy tym otwarte drzwi

Brett zastukała palcami w drzwi Kary, aż zadźwięczały bransoletki z koralików - turkusowa i fioletowa. Yvonne Stidder zostawiła na tablicy Kary pytanie, czy nie chce zjeść z nią lunchu. Zabawne. W całym tym szaleństwie Brett niemal zapomniała, że oprócz Kary i Osobników Podejrzanych istnieją jeszcze inni ludzie.

W ostatnich dniach często wspominała sięgające od podłogi aż do sufitu akwarium w holu posiadłości rodziców. Jeśli tetra cesarska albo tęczowa rybka były chore, to dawało się to zauważyć, ponieważ inne rybki jej unikały, jakby wydzielala zapach śmierci. Brett czuła się jak jedna z chorych rybek. Ale nie była osamotniona. Czy to w zaciszu swojego pokoju, czy otoczona szepczącymi ludźmi, cały czas była pewna, że inni podejrzani zawierają sojusze, dzwonią do dawnych przyjaciół i przychylnych im osób, aby obronić się przed gniewem Marymounta, który lada chwila spadnie na ich głowy. I dlatego potrzebowała teraz Kary. Po wczorajszej rozmowie z panem Tomkinsem nie opuszczało jej uczucie lekkiej paniki i chciała uzgodnić z Karą zeznania.

- Proszę.

Pchnęła drzwi. Na łóżku Kary leżał wyciągnięty Heath Ferro, opierając głowę na jej nogach. Kara plotła warkoczyki z jego ciemnoblond włosów. A to co znowu?

Protegowany Heatha na pół leżał na fotelu z kulkami. Chude nogi opierał na parapecie okna i trzymał przed oczami otwarty komiks o Batgirl. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, jak Batgirl wygląda bez kostiumu. Z wieży sączyła się piosenka Beastie Boys i wszyscy wydawali się całkowicie pochłonięci swoimi zajęciami. Pogodny, domowy nastrój tej sceny sprawiał, że Brett nie byłaby zdziwiona, gdyby za chwilę usłyszała dźwięki muzyki klasycznej.

- Kolejna modlitwa wysłuchana. - Oczy Heatha rozbłysły. Szybko usiadł i odskoczył od Kary, robiąc miejsce na narzucie z Batgirl między sobą a Karą. Zaplecione do połowy warkoczyki sterczały na wszystkie strony.

Brett usiadła ostrożnie na łóżku.

- I jak? - Spojrzała najpierw na Karę, a potem na Heatha.

- Co robicie?

Od kiedy to Kara i Heath urządzają sobie sesje warkoczykowe?

- Pełnię rolę konsultanta w sprawie dzisiejszej imprezy.

- Kara uśmiechnęła się, siadając na podkurczonych nogach. Miała na sobie spódnicę w groszki z falbankami, która rozpościerała się na narzucie jak strój baletnicy. - Heath miał bardzo ważne pytanie, na które musiałam odpowiedzieć - dodała, odwracając się do Heatha, który do niej

mrugnął. W koszulce Waverly, którą nosił, odkąd Marymount wysłał listę podejrzanych (żartobliwy sposób Heatha na pokazanie, jaki ma hart ducha) i w wytartych dżinsach Citizens of Humanity wyglądał jak uosobienie zadowolonego z siebie chłopaka z prywatnego liceum.

- Nie wydaje się wam, że powinniśmy uzgadniać nasze alibi zamiast planować imprezkę? - Brett się podniosła. Wygładziła białą koszulę Renesa i odwróciła się przodem do Kary i Heatha siedzących na łóżku.

- Ja wolę myśleć o imprezie niż o procesie. - Heath leniwie wyszczerzył zęby i podrapał się po brzuchu. - Daj spokój, ta cała „lista” Marymounta to zwykłe nudziarstwo. - Mówiąc „lista” zrobił w powietrzu cudzysłów. - Traktuję ją tak, jak na to zasługuje, jako pretekst do wypicia i urwania się z lekcji. - Wyciągnął rękę w stronę Sama, żeby przybić piątkę. - No dalej, synu!

Brett wpatrywała się w niego bez słowa. Heath i to jego luzackie podejście. Nie zdaje sobie sprawy, jaka to poważna sprawa? Być może jedno z nich będzie musiało jutro odejść.

- Więc nie chcesz nawet porozmawiać o tym, co robiłyśmy na imprezie? - zapytała prowokacyjnie Brett. Oparła ręce na biodrach i skrzyżowała spojrzenia z Heathem, bojąc się zerknąć na Karę.

- Sam, chłopie. - Heath odwrócił głowę do swojego sobowtóra. - Poczekaj na korytarzu, dobra? Muszę zostać sam z moimi dziewczynami.

Sam zerwał się z fotela i wyglądał tak, jakby chciał zaskakująco przed Heathem.

- Wóz pocztowy rusza w drogę! - zawołał zaskakująco niskim głosem.

Podniósł dłoń, żeby przybić piątkę z Heathem, ale ten wyciągnął tylko nogę, wskazując Samowi drzwi.

- A co niby masz zamiar tu wyrabiać? - Brett zablokowała Samowi drogę, nie spuszczać oka z Heatha. - Urządzić jakąś orgietkę? - Chciała być dowcipna, ale powiedziała to ostrym tonem. Nie panowała nad tym.

- Spokojnie, mała - powiedział Heath z niezmiennym uśmiechem, a jego zielone oczy błyszczały. - Musisz wyluzować.

Kara zachichotała nerwowo, jakby nie wiedziała, co robić. Zdjęła okulary i spojrzała na Brett, kręcąc delikatnie głową, jak gdyby próbowała zgadnąć, o co właściwie chodzi.

- Wyluzowałam. - Brett nie umiała się już pohamować. - I widzisz, co się dzieje.

Miała na myśli Heatha, ale Kara wzięła tę uwagę do siebie. Zamrugowała kilka razy oczami i wyglądała tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Brett chciała przeprosić. Ale w sytuacji, kiedy Heath i jego miniaturowy sobowtór czyhali na każde jej słowo, mogła tylko wycofać się z pokoju. Nie zadała sobie nawet trudu, aby zamknąć drzwi.

Kara wyszła za nią na korytarz i delikatnie zamknęła za sobą drzwi pokoju.

- O co chodzi? - W jej orzechowych oczach odmalowała się troska. Ponieważ nie miała

okularów, Brett zauważyła jej delikatne ciemne rzęsy, długie i zakręcone, chociaż nie pociągnięte tuszem.

Brett wzruszyła ramionami i bawiła się perłowymi guzikami koszuli. Chciała opowiedzieć Karze, co się zdarzyło wczoraj w biurze dziekana Marymounta. I o tym, jak bardzo się martwi. Wiedziała, że nie zrobiły nic złego - nie miały nic wspólnego z pożarem, a całowanie innej dziewczyny nie jest przecież sprzeczne z zasadami - ale wiedziała także, że kiedy wejdzie do gabinetu przesłuchań, wszystko może się zdarzyć. Mogą zostać wyrzucone z Waverly, jeśli komuś się tak spodoba. Ale nie panowała nad sobą na tyle, żeby spokojnie o tym pogadać.

- Idę się zdrzemnąć. Do zobaczenia na imprezie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostać z nami? - Kara wskazała ruchem głowy na drzwi. Z pokoju sączyła się piosenka Amy Winehouse, którą Brett lubiła. - Przemyciłam dla ciebie ze stolówki parę ciasteczek z masłem orzechowym. - Uśmiechnęła się zapraszająco.

Brett pokręciła głową.

- Nie, zdaje się, że dużo lepiej bawiliście się beze mnie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła ciemnym korytarzem, nie oglądając się za siebie, aby nie widzieć urażonej twarzy Kary.

Sowa Waverly łaskocze inną Sowę tylko za jej wyraźną zgodą

Brandon leżał na łóżku, a depresyjna muzyka Wilco wprawiała go w podły nastrój. Rozmyślał o liście podejrzanych dziekana. Potrzebował dobrego alibi. Nie wystarczy powiedzieć: „Byłem tak zajęty zrywaniem z moją pięciominutową dziewczyną, że nie mogłem wznieść pożaru”. Marymount prawdopodobnie kazałby mu odegrać przed wszystkimi tę scenę z Elizabeth i przez resztę pobytu Brandona w Waverly ludzie by szeptali: „Otwarty Facet zamknął podwoje” i uśmiechali się drwiąco na jego widok. Kurde. Dobrze chociaż, że Sage Francis pozytywnie zareagowała na jego zaloty. Nawiazywanie bliższego kontaktu z dziewczyną przez komunikator wydawało się wprawdzie tchórzostwem, ale nie można obwiniać faceta za to, że chce zbadać grunt. Przecież ta Chloe mogła się przesłyszeć. Nie była mu potrzebna następna katastrofa na skalę tej z Elizabeth. Tym razem postanowił kierować się zasadą małych kroków. Zasiał ziarno, a dziś wieczorem na imprezie Heatha, zakrapianej obficie alkoholem, przekona się, czy coś z niego wyrośnie.

Dźwięki perkusji dobiegały nie wiadomo skąd, przygłuszając wokalistę śpiewającego ulubioną piosenkę Brandona. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to wcale nie perkusją, tylko pukanie do drzwi pokoju. Jeśli to znowu ten walnięty Sam, chyba go zabije. Ale Sam przecież nie miał zwyczaju pukać. Wpadł jak burza do pokoju o wpół do ósmej rano, kiedy Brandon wycierał się po prysznicu, i zapytał złośliwie, jakiego koloru koszulę ma zamiar dziś włożyć. Przeklęty klon Heatha.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich Sage Francis, ubrana w krótką wełnianą sukienkę Chanel w czarno - białą pepitkę. Długie, jasne włosy miała odgarnięte z twarzy i spięte dwoma małymi żółtymi klamrami w kształcie wazki.

- Hej - powiedział, starając się nie okazywać zaskoczenia. Przeczesał włosy dłonią, uświadamiając sobie, że jest ubrany w biały podkoszulek Hanesa - czy nie był czasem poplamiony? Poczul ulgę na myśl, że nie zrzucił z siebie grafitowych spodni Theory.

- Hej. - Sage uśmiechnęła się bez cienia zażenowania. Brandon zawsze widział w niej jedną z niczym niewyróżniających się, chichoczących przyjaciółek Callie. Ale kiedy stała sama w drzwiach, wydawała się jakaś... inna.

- Jak leci? - zapytał od niechcienia.

Czym innym jest metoda małych kroków, a czym innym takie niespodziewane najście. Nie był na to przygotowany. Rozejrzał się bezradnie po pokoju, mając nadzieję, że nie zauważy bokserów w gorszki leżących na podłodze przy łóżku Heatha, gdzie ten je zostawił. A jeśli nawet zauważy, to nie pomyśli, że należą do Brandona.

Sage wzruszyła ramionami.

- Po naszym wcześniejszym czacie pomyślałam, że wpadnę. - Wskazała ruchem głowy na podręcznik do łaciny leżący okładką do góry na schludnie pościelonym łóżku Brandona, na narzucie Ralpha Laurena. Chłopak szybko wygładził narzutę i usiadł. - Uczysz się?

Brandon pokręcił przecząco głową, chociaż na rano miał się nauczyć na pamięć tekstu z łaciny. Ale przecież nie będzie na tej lekcji z powodu zebrania Osobników Podejrzanych u Marymounta. Niezbyt ucziwa zamiana.

- Myślę tylko, czy się nie pouczyć.

Sage się roześmiała, a Brandona opuściło oniesmielenie.

- Wejdz do środka. - Był jej wdzięczny, że zostawiła otwarte drzwi, przynajmniej ten odrażający zapach samczego potu Heatha wywietrzeje z pokoju.

- Mam w środę sprawdzian z geometrii, ale trochę trudno się uczyć, jeśli człowiek wie, że może zostać wyrzucony ze szkoły. - Sage przysiadła na skraju łóżka Brandona, na białym kocu, który owijał się wokół jej opalonych nóg. Było w tej pozie coś takiego, co kazało Brandonowi wyprostować plecy.

- Daj spokój. Dlaczego mieliby cię wyrzucić? - zapytał Brandon. - Nie miałas nic wspólnego z pożarem.

Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to jak pytanie. Był prawie pewien, że nie ponosiła odpowiedzialności za pożar. Wydawało mu się niemożliwe, aby ta dziewczyna z delikatnymi, jedwabistymi blond włosami i jasnoniebieskimi oczami mogła się okazać tak przebiegłą. Była wcieleniem niewinności. Wyobraził ją sobie ze skrzydłami, jak na świątecznej pocztówce.

Sage znowu wzruszyła ramionami i zaczęła się bawić wyciągniętą z narzuty nitką, której Brandon wcześniej nie zauważył.

- Ale jestem na liście.

- Każdy jest na liście. - Brandon machnął lekceważąco ręką, mając nadzieję, że był to gest dodający otuchy. Gdyby to on sporządzał listę, to znalazłyby się na niej tylko dwa nazwiska: Tinsley - bo nie było drugiej osoby na tyle niegodziwej, aby spowodować pożar - i Easy'ego, dlatego że Brandonowi było obojętne, czy go wyrzucą, czy nie. Nawet gdyby uznał, że Easy nie jest wcale takim złym facetem, to i tak miał przed oczami jego i Callie wybiegających ze stodoły na wpół nago. Nie wierzył, że mogli z rozmysłem wywołać pożar, ale tylko oni na pewno byli w stodole. A poza tym nie podobało mu się, że jego dawna dziewczyna robi to z Easym Walshem, i to na dodatek w stodole. Obłeśne. Callie już mu wywietrzała z głowy, ale dziewczyna taka jak ona zasługuje na to, żeby zrobić to pierwszy raz w luksusowej, drogiej pościeli z egipskiej bawełny. O ile oczywiście pogłoski, że właśnie tym się zajmowali w stodole, są prawdą, a nie stekiem wymysłów.

- Nie martwisz się? - Sage patrzyła na niego z niedowierzaniem, otwierając usta, tak że Brandon dostrzegł jedno schludne, srebrne wypełnienie w zębie. Huśtała się w przód i w tył, odgarniając z czoła kosmyk jasnoblond włosów. Brandonowi przemknęła myśl, czy chciałaby robić to w stodole. Pasowały do niej bardziej białe koronki i łoża z baldachimem. Coś w stylu Brandona.

- Świetna sukienka - wypalił Brandon, uświadamiając sobie, że gapi się na smukłe nogi Sage. Świetna sukienka! To było dość bezpieczne określenie, a poza tym każda dziewczyna lubi usłyszeć, że ma świetną sukienkę. Jednak zabrzmiało po gejowsku.

- Kupiłam ją w lumpeksie - przyznała się, delikatnie gładząc rąbek sukienki.

- Coś ty? - Brandon zniżył głos i uniósł brwi ze zdziwieniem. - Skandal - zauważył. Dziewczyny miały dziwaczne przekonanie, że ciuchy z drugiej ręki są bardziej na topie niż nowe. Nie rozumiał tego. Ciuchy z drugiej ręki oznaczały tylko tyle, że ktoś już się w nich pocił.

- No wyobraź sobie. - Sage podniosła na niego oczy z długimi rzęsami, udając zakłopotanie.

- Kupiłam ją na tej wyprzedaży w kościele w Great Barrington.

Brandon się roześmiał. Jeśli się nie mylił, rodzina Sage należała do potentatów w branży ceramicznej w zachodnim Massachusetts, ale stanął mu przed oczami ujmujący obrazek, jak przerzuca sterty ciuchów po starszych paniach w piwnicy jakiegoś kamiennego kościoła, szukając sukienki Chanel. To nie było w stylu Waverly, ale wydawało się urocze.

- Tylko nikomu nie mów, okej? - Sage powiedziała to ze słodką ironią i pochyliła się konspiracyjnie w jego stronę.

Brandon powstrzymał się, by nie zapuścić żurawia za dekolt sukienki.

- Masz inne sekrety? - Przejechał palcami swoje złocisto - brązowe włosy i uniósł znacząco brew.

- Mój drugi palec u nogi jest dłuższy niż duży - odparła bez namysłu Sage, żartobliwie podnosząc do góry stopę i wciągając policzki.

- Mówią, że to cecha geniuszy. Niech no spojrzę. - Brandon wyciągnął rękę, udając, że chce złapać czarny zamszowy but na klinie Moschino Cheap & Chic, ale zachichotała i szybko schowała nogi pod siebie. Łóżko gwałtownie się zakołysało, czemu towarzyszyło potężne skrzypienie, które przez moment ich onieśmieliło. Po chwili jednak się roześmiali.

- Nie możesz łapać dziewczyn za stopy - napomniała go kokieteryjnie, lekko zarumieniona.

- Trzeba na to zasłużyć.

Brandon spojrzał na nią z uśmiechem.

- A jak... - Przerwało mu nagłe pojawienie się Heatha oraz nieodłącznego kandydata naśladowcy.

- Och, przepraszam. - Klatka piersiowa Heatha unosila się ciężko, a szary sprany T - shirt Waverly przykleił się do skóry jak foliowe opakowanie. Wyglądał, jakby ktoś zaczął mu zaplatać

warkoczyki i nagle przerwał dzieło, bo na całej jego głowie sterczały kikuty jak chwasty w ogrodzie. - Sam posiedzi trochę z wami.

- Ale ja chcę iść z tobą - zaprotestował Sam.

On również miał na sobie T - shirt Waverly, ale świeżutki jak spod igły. Kupił go pewnie rano w jednym ze sklepików w centrum Rhinecliff, które sprzedawały rzeczy firmowane przez Waverly. Brandon rzucił okiem na Sage. Roześmiała się na widok Healha i Sama, zeskoczyła z łóżka i wygładzała dopasowaną sukienkę.

- Hej, facet, lak pędziłeś, że ducha bym wyzionął. Zostań w pokoju. - Heath zwrócił się do Brandona. - Muszę przygotować parę rzeczy na imprezę i nie chcę, żeby się kręcił pod nogami. Dopilnuj, żeby tu siedział. - Heath zniknął w korytarzu, a Sam pobiegł za nim. Zdaje się, że Heath zajął miejsce konsoli PSP na liście priorytetów Sama.

Sage bez pośpiechu skierowała się do drzwi, jej delikatne jasne włosy opadały na ramiona.

- No nic... Powinnam już iść, prawda?

- Okej. - Skinął głową. Nie był pewien, czy powinien ją zatrzymywać. Cieszył się, że Heath i Sam zniknęli chociaż na parę sekund, bo mógł pożegnać się z nią bez wścibskich spojrzeń. - Ale zobaczymy się później na imprezie, prawda?

Spojrzała na niego przez ramię i posłała mu zalotny uśmiech.

- Jasne.

Drzwi się zamknęły, a Brandon położył się na narzucie i wodził gołymi stopami po miękkim kocu, na którym siedziała Sage. Był jeszcze ciepły. Jeśli będzie miał szczęście, to Sage ogarnie dziś wieczorem nastrój teraz albo nigdy. I jego też.

SówNet

SageFrancis:

AlisonQuentln:

SageFrancis:

AlisonQuentln:

SageFrancis:

AlisonQuentln:

Komunikator

Brandon bardzo ułatwia mi zadanie.

Poważnie? A nie mówiłam?

Mam nadzieję...

Miejmy nadzieję, że jutro jeszcze tu będziemy, i nasi chłopcy też.

Uuu, zepsułaś mi dobry nastrój. ☹

Żartowałam! Nie martw się, Brandon cię dzisiaj rozweseli.

**Mądra Sowa wie,
że flirtowanie jest zabawniejsze,
gdy inne Sowy się przyglądają**

Ananas, anchois i arbuż - odpowiedział Julian, strojąc minę do Chloe. Jenny też się roześmiała. - Okej, moja kolej. Wymyślę coś trudnego. - Drapał się po twarzy z wyrazem skupienia. - Może M? Ale nie może być mięso.

- Odliczaj czas - powiedziała Chloe, która miała podać trzy obłeśne dodatki do pizzy, które zaczynają się na literę M.

Julian spojrział na nadgarstek bez zegarka i powiedział: - Start.

- Małże... - Chloe zawiesiła głos, próbując wymyślić drugą rzecz.

Jenny obserwowała, jak Julian cieszy się, że zagiął Chloe. Dobrze, że zaproponował, by poszli na pizzę do Ritoli, z dala od zwariowanego tłumu szepczących Sów. Miło było zastąpić zapach świeżo wypastowanych drewnianych podłóg rozkosznym aromatem pizzy.

Pizzeria Ritoli była rodzinnym interesem, który istniał w centrum Rhinecliff od lat. Bardzo możliwe, że czerpał połowę zysków z późnowieczornych zamówień od chłopców z Waverly, a drugą połowę - z wizyt dziewcząt z Waverly. To był ulubiony lokal Sów rodzaju żeńskiego, bo pracowali tam śliczni włoscy chłopcy o oliwkowej cerze i pięknych głosach, wszyscy na ich rozkazy. Tak się składało, że tego dnia Jenny wcale nie była tym zainteresowana - bardziej pociągał ją wysoki chłopak z bujną czupryną, który siedział obok niej.

- Masło orzechowe! - wykrzyknęła nagle Chloe. Parka, siedząca w sąsiednim boksie podskoczyła przestraszona. - O tak, to mi się udało! - powiedziała podekscytowana.

- Nie spieszyłbym się z przechwałkami - ostrzegł ją Julian, wskazując na swój nieistniejący zegarek. - Minęło prawie pół godziny.

- Wcale nie! - Chloe zwróciła się do Jenny, nerwowo stukając widelcem w stół przykryty obrusem w czerwono - białą kratkę.

Jenny wzruszyła ramionami, przykrywając dłonią czerwony plastikowy zegarek. Była ubrana w swój ulubiony czarny top Jill Stuart z marszczonymi rękawami oraz obcisłe dzinsy rurki z plamkami Antik Denim. Czowała się ładna, pewna siebie i odprężona. Ale może sprawiał to Julian.

- Oboje oszukujecie - zganiała ich Chloe, ale zapomniała o wszystkim, gdy tylko pojawił się kelner, który postawił przed nimi foremkę z parującą pizzą z grzybami i serem.

Na szczęście Jenny go wcześniej nie widziała. Ulżyło jej, że nigdzie nie było widać Angela, kelnera, którego Tinsley zmusiła do gry w butelkę na ostatnim spotkaniu Towarzystwa Kawiarnianego - ekskluzywnego stowarzyszenia superdziewczyn, powołanego z inicjatywy

Tinsley, które zmarło śmiercią naturalną, nim zdołało się narodzić.

Julian spojrział na Jenny, unosząc jedną brew, jak czarny charakter z filmów emitowanych w sobotnie popołudnia w cyklu *Dzieła mistrzów*, który jej ojciec czasami oglądał na PBS. Przez całe to spotkanie Jenny czuła się jak bohaterka romantycznej komedii - samotna mama, która przyprawia na randkę swoje irytujące dziecko, aby poddać próbie potencjalnego amanta. Julianowi najwyraźniej spodobało się zabawianie Chloe. Może aż za bardzo. Chloe bez żenady z nim flirtowała.

Trudno było mieć o to do niej pretensję. Julian, ubrany w cienką rozpinaną koszulę Abercrombie & Fitch w żółtą kratę, narzuconą na czerwony T - shirt z obrazkiem Snoopy'ego leżącego na ziemskim globie i napisem „Ocal naszą planetę”, emanował nieodpartym urokiem.

- No dalej, dalej, dalej! - Julian popędzał Chloe, próbując ją w ten sposób zdenerwować. Jenny przypomniała sobie, że jej starszy brat Dan stosował tę samą strategię, by wyprowadzić ją z równowagi, gdy grali w domu w boggle i scrabble. I zawsze mu się udawało. Julian wspominał, że ma dwie młodsze siostry, więc zapewne był ekspertem od dręczenia dziewczynek. - Pięć sekund i wygrywam. Pięć, cztery...

- Okej, już wiem. Przestań odliczać.

- Trzy i pół, trzy... - Julian wyjął kawałek pizzy z grzybami z głębokiego naczynia i położył na talerzu, który podał Jenny, Uśmiechnął się szeroko.

- Nic ci nie powiem, jeśli nie przestaniesz odliczać. - Chloe skrzyżowała drobne ramiona i wyduła wargi. Rzuciła Julianowi nadąsany uśmiech podziękowania, gdy nałożył jej kawałek pizzy.

- Dwa i pół...

Jenny ugryzła kęs gorącej pizzy. Miała nadzieję, że lepki ser nie przyklei jej się do twarzy. Gdy Julian obsłużył dziewczyny, nałożył dwa kawałki pizzy na swój talerz.

- Dwa i ćwierć... - Julian przyłożył palec do pustego nadgarstka, aby zasygnalizować, że czas dobiega końca.

- Maraschino, słodkie wisienki! - wykrzyknęła zadowolona z siebie Chloe.

Jenny nie mogła się nadziwić, ile energii potrafiła z siebie wykrzesać, kiedy nie było obok Benny i Sage. Na pewno całkiem dobrze poradziłaby sobie sama w Waverly. Ubrana w kaszmirowy kardigan Banana Republic, zaczynała nawet bardziej przypominać dziewczynę z Waverly niż dzieciaka wyciętego z katalogu wysyłkowego L. L. Bean. Julian zabrzączał jak budzik.

- Czas minął, dziękuję za udział w grze - powiedział głosem telewizyjnego prezentera. - To wisienki marciano, a nie maraschino.

- Co? To nieprawda. Niech sędzia to rozstrzygnie - zaprotestowała Chloe, odwołując się znowu do Jenny. Jej twarz, zwykle blada, była teraz zarumieniona.

Jenny obawiała się trochę, że Chloe straci panowanie nad sobą, więc odpowiedziała

wymijająco.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Wzruszyła ramionami. Chloe rozrzuciła ręce totalnie poirytowana. Rozglądała się dookoła i przez chwilę Jenny bała się, że zapyła siedzącą obok parę, której już wcześniej przeszkodziła. Ale Chloe przywołała dłonią najbliższego kelnera, którym - ku zakłopotaniu Jenny - okazał się Angelo.

- Jak się nazywają te małe wisienki, które smakują jak cukierki? - męczyła go Chloe.

Angelo utkwił spojrzenie w Jenny, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd ją zna albo jak ma na imię. Przygarbiła się nieco, rzuciła mu uprzejmy uśmiech i odwróciła twarz, wpatrując się w menu wywieszane nad barem.

- Nie wiem - odparł Angelo, obracając pustą tacę na wskazującym palcu - ale i tak ich nie mamy.

Spór przeniósł się na ulicę, gdy już uregulowali rachunek.

- Marciano to nazwisko Rocky'ego, tumanie. - Chloe przedrzeźniała Juliana, który szedł przed nią tyłem do przodu.

Zaczął podskakiwać przed Chloe, bijąc pięściami powietrze.

- Adrienne! - zawołał, naśladując słynny krzyk Stallone'a, aż ludzie na ulicach Rhinecliff przystanęli i gapili się na niego.

Jenny roześmiała się nerwowo, a Julian szybko odwrócił się do niej i lekko dotknął pięścią jej ramienia. Trzymał tam rękę o sekundę dłużej, niż było trzeba.

- Nie mówię o Rockym z filmu, tylko o prawdziwym - przygadała mu Chloe, przewracając oczami, jakby uważała Juliana za śmiesznego faceta. - Och, super. - Nagle skierowała uwagę na witrażową lampę, która obracała się w oknie wystawowym Knick - Knack Snack, miejscowego sklepu ze starociami.

Dzieciaki z Waverly lubiły tu kupować, zwłaszcza odjazdowe przedmioty, takie jak podstawki ze zdjęciami z lat czterdziestych. Sklep miał jedno wejście z przybytkiem o nazwie Prawie jak Nowe, na który wszyscy w Waverly mówili Niezbyt Nowe. Jenny zauważyła parę odlotowych białych botków z miękkiej skóry, z lat osiemdziesiątych.

- Muszę to sprawdzić, zaraz będę z powrotem - oznajmiła Chloe, wchodząc z impetem do sklepu, nim zdążyli ją powstrzymać.

Jenny odwróciła się do Juliana, szczęśliwa, że mają chwilę wytchnienia od Chloe.

- Ta pizza to był dobry pomysł. Dzięki, że wyciągnąłeś mnie z kampusu. - Osłoniła oczy przed ostrym popołudniowym słońcem, zastanawiając się, gdzie się podziały jej porysowane okulary przeciwsłoneczne. - Miotalam się jak lew w klatce.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Julian uklonił się z galanterią, a poły jego koszuli Abercrombiego się odchyliły. Nawet zgięty wpół był wyższy od niej. - Wszystko, co najlepsze, dla

mojej najlepszej dziewczyny.

Jenny się roześmiała.

- Pomyślałam sobie, że nie chcesz zostać w kampusie, żeby nas nie zobaczyła ta druga.

Julian wyprostował się, odrzucając bujną jasnobrązową czuprynę. Krew uderzyła mu do głowy, a na twarzy wykwitł delikatny rumieniec.

- No tak, jest dosyć zazdrosna. Nie mogę jej się pchać przed oczy - drażnił się z nią, pochylając się nad oknem wystawowym.

- I dlatego chowasz się w schowku na miotły i czaisz się w krzakach koło internatu, żeby ze mną porozmawiać?

- Jenny zalotnie przechyliła głowę. Jej ciemne loki posypały się na jedną stronę. Nie wiedziała, co takiego Julian ma w sobie, że czuła się przy nim upojnie i beztróska, a jednak bezpiecznie.

- Czytasz we mnie jak w książce. - Skinął głową, a na jego ładnych ustach błąkał się uśmiech. Pochylił się do przodu, a potem zapuścił żurawia do sklepu. Jenny miała nadzieję, że sprawdzi, czy zdąży ją pocałować, zanim wróci Chloe.

Podniosła wzrok na Juliana, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Nie mogła w to uwierzyć. Julian lubił ją od dawna i nawet umyślnie stwarzał różne sytuacje, aby ją spotkać. Nie mogło być lepszej wiadomości. Był taki przystojny, taki zabawny, taki słodki... Jenny uświadomiła sobie, że te same cechy pociągały ją kiedyś w Easym.

Jednak wiedziała, że Julian - w przeciwieństwie do Easy'ego - nigdy jej nie okłamie.

SówNet **Twoja Poczta**
Od: TinsleyCarmichael@waverly.edu
Do: chloe.marymount@gmail.com
Data: 15 października, wtorek, 18. 09
Temat: Jak leci?

Cześć, Chloe

Mam nadzieję, że udał ci się dzień. Chciałam się tylko spytać, czy nie masz ochoty przygotować się razem ze mną na dzisiejszą imprezę...

Tinsley

SówNet **Twoja Poczta**
Od: chloe.marymount@gmail.com
Do: TinsleyCarmichael@waverly.edu
Data: 15 października, wtorek, 18.11
Temat: RE: Jak leci?

O rety, Tinsley, totalny odjazd. Nie mogę się doczekać.

Chloe

PS W co się ubierasz? Mogę coś od ciebie pożyczyć?

**Sowa Waverly nie obgaduje
swojej dziewczyny przed jej
ekschlopakiem**

Czy ty naprawdę przez cały dzień czytasz książki? Nigdy nie grasz w gry wideo? - Sam rzucił przenośną konsolę PSP Heatha na łóżko i spojrzał wyczekująco na Brandona.

- Tak - odparł zdawkowo Brandon, mając nadzieję, że Sam się odczepi. Miał ochotę odłożyć *Wielkie nadzieje* - książka i tak go już znużyła - i przystawić rakiętę od squasha do poturbowanego nosa Sama.

- Jeśli nie masz żadnych gier, to może pójdziemy się rozejrzeć za jakimiś dziewczynami?

Brandonowi jeszcze nie przeszła złość na Heatha za to, że zwałił mu na głowę Sama. A poza tym nadal czuł się oszołomiony faktem, że Sage Francis pojawiła się w jego pokoju - wcielenie słodczy w tej sukience a la Jackie O., ze spiętymi prostymi blond włosami - i bez żenady z nim flirtowała. Wystarczyło tylko wysłać kilka słów mejlem. Kto by przypuszczał, że z dziewczynami może iść tak łatwo? Na pewno nie Health, który napychał swojemu sobowtórowi głowę różnymi dziwnymi teoriami.

- Okej, możemy gdzieś pójść. - Brandon wstał i naciągnął czarny sweter z kapturem Hugo Bossa na gładki biały T - shirt American Apparel. Sięgnął po swój zniszczony portfel od Prady i wsunął go do kieszeni ciemnoszarych spodni.

- Rozejrzeć się za dziewczynami? - Sam skoczył na równe nogi i stanął przed lustrem Heatha, poprawiając ustawione na żel jasnobrązowe włosy. - Podoba mi się ta, która tu była. Sage? Ma świetne nogi.

Brandon wyszedł na korytarz, kręcąc głową. Gdzie ma zabrać tego palanta? Kiedy szedł korytarzem, minął uchylone drzwi do pokoju Easy'ego Walsh. No jasne - Easy i Alan St. Girard mieli konsolę XBox, przy której przesiadywali całymi nocami, wiele godzin po ciszy nocnej. Grali z wyłączonym dźwiękiem i dlatego z ich pokoju dobiegały jedynie od czasu do czasu okrzyki zawodu lub radości, kiedy zabili następnych obcych albo skopali tyłek bandziorem, albo wykonali inne równie bezmyślne zadanie. Brandon zapukał do drzwi, biorąc głęboki oddech i odganiając z głowy zasłyszane plotki, jakoby Callie i Easy ze sobą spali.

Po krótkiej chwili odezwał się zaspany głos.

- Tak?

- Masz Nintendo? - zapytał Sam, odpychając na bok Brandona i wtykając głowę do pokoju, aby przeczesać go w poszukiwaniu konsoli do gier.

Easy leżał na plecach na łóżku, ubrany w dżinsy z dziurami i zielony sweter pamiętający

lepsze czasy. Na jego piersi spoczywał podręcznik do historii Ameryki odwrócony okładką do góry.

- Co? - zapytał, podnosząc się nieco na łóżku i opierając na łokciach. Potrząsnął głową. - Nie, mam Xboksa... ale jest zepsuty. - Twarz Sama w jednej sekundzie rozjaśniła się i przygasła.

- Szuka nowych gier - powiedział Brandon przepraszająco.

- Muszę iść do miasta po grafitowe ołówki - stwierdził Easy, przecierając ręką zaspane niebieskie oczy. - Jeśli chcecie, możecie iść ze mną. - Na Samie nie zrobiło to wrażenia, dopóki Easy nie dodał: - Jest tam salon gier.

- Super - pisał Sam jak przystało na trzynastolatka, zapominając na chwilę o tym, że powinien naśladować Heatha.

Szli spacerkiem do Rhinecliff, Easy po jednej stronie Sama, a Brandon po drugiej, zachowując między sobą duże odstępki. Brandon milczał, a Easy i Sam omawiali zalety i wady Xboksa, Play Station, Nintendo. Powietrze pachniało deszczem i Brandon żałował, że włożył zamszowe mokasyny Johna Varvatosy.

- Który z was jest lepszy w House of the Dead 4? - spytał Sam piskliwym głosem, kiedy zbliżali się do głównej ulicy w centrum Rhinecliff. Było ciepłe wtorkowe popołudnie, więc na chodnikach roilo się od uczniów i towarzyszących im kandydatów. Hipis, od którego niektórzy z Waverly - w tym Heath - kupowali czasem trawkę, stał za straganem ze schludnie poskładanymi podkoszulkami we wszystkich kolorach tęczy. Brandon absolutnie nie dowierzał, że tłumek uczniów otaczających stragan zgromadził się tam po to, aby kupić T - shirty.

Rzucił Easy'emu spojrzenie z ukosa, na co Easy odpowiedział tym samym, uśmiechając się krzywo.

- Nigdy nawet nie słyszałem o takiej grze - odparł Brandon, szukając w tłumie znajomych twarzy. Zdawało mu się, że w oddali mignęła mu Jenny przy oknie wystawowym sklepu z używanymi rzeczami. Miała rozpuszczone włosy, które opadały na plecy gęstymi, ciemnymi lokami. Jak Easy mógł z nią zerwać?

- No co ty. - Sam kopnął kamyk, który potoczył się w stronę ciemnozielonego bmw zaparkowanego przy ulicy. Skręcili i stanęli przed salonem gier, przez którego okna widać było migające w środku światelka. Oczy Sama zabłysły pożądlawie. - Kto chce pierwszy ze mną zagrać?

- A kto stawia? - zapytał nieco złośliwie Easy, zahaczając kciuki za kieszenie dzinsów poplamionych farbą. Czy miał jakikolwiek ciuch, który nie był poplamiony farbą? Jeszcze dwa tygodnie temu Brandon podejrzewał, że Easy rozmyślnie brudzi farbą ubrania w ściśle określonych miejscach. Plama czerwieni na kolanie, trzy krople zieleni na lewym udzie, smuga czerni na rękawie... Wszystko po to, żeby przyciągać dziewczyny, udając wielkiego artystę. Ale od jakiegoś tygodnia Easy zachowywał się wobec niego jak przyzwoity facet, więc Brandon uznał, że wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego. Widać był po prostu niechlujny.

- Macie ćwierćdolarówki, prawda? - zapytał Sam.

Brandon pokazał puste kieszenie.

- Nie.

Twarz Sama przygasła, kiedy Easy wzruszył ramionami.

- No to muszę rozmiąć dwudziestkę. - Westchnął.

- Na pewno w salonie można kupić żetony - zaproponował Easy. Wyjął z kieszeni komórkę i zerknął na nią, sprawdzając pewnie, czy nie ma wiadomości od Callie.

- Robisz sobie jaja? - odparł Sam z niekłamanym przerażeniem. Sprawdził, jak wygląda jego fryzura w wielkim oknie Rhinecliff Community Bank, który sąsiedował z salonem gier. - Płacisz dwa razy tyle. Żetony są dla cieniasów. Trzeba grać na własne ćwierćdolarówki. - Wskazał kciukiem w kierunku banku. - Idę tam.

Brandon i Easy zostali na zewnątrz, a Sam stanął w długiej kolejce do kasy, żeby rozmiąć pieniądze. Szurali nogami, czując się niezręcznie w tej sytuacji.

- Skoczę do punktu aptecznego po moje ołówki - oznajmił nagle Easy. Najwyraźniej, podobnie jak Brandon, rozpaczliwie chciał przerwać kłopotliwe milczenie. Zszedł z chodnika na ulicę.

Brandon powoli skinął głową. Punkt apteczny był jedynym miejscem w mieście, gdzie można było dostać wszystkie niezbędne rzeczy, mieli też obszerny dział artykułów szkolnych. Mimo to nie opuszczała go myśl, że tak naprawdę Easy chce kupić prezerwatywy.

- Wiesz - powiedział nagle Easy, klepiąc dłonią paczkę Marlboro Reds wystającą z kieszeni.

- Przykro mi, że ci nie wyszło z Elizabeth. Słyszałem, co się stało. Myślę, że dobrze zrobiłeś.

Brandon szukał złośliwego uśmiechu na twarzy Easy'ego, ale ten mówił zupełnie szczerze.

- Dzięki - powiedział. - Trochę się pochrzaśniło.

- Może jej się odmieni. - Easy wzruszył ramionami. Słońce wyszło zza chmury, rozświetlając szare popołudniowe niebo. Wyjął najzwyklejsze ciemne okulary przeciwsłoneczne z kieszeni zielonego wełnianego swetra. Rękawy były za krótkie. - Nigdy nic nie wiadomo.

- Tak - odparł Brandon, szukając wzrokiem Jenny. - To było... nie do zaakceptowania.

Nie do zaakceptowania to chyba dobre określenie, prawda? Może nie. Teoretycznie Brandon mógłby zaakceptować pozycję jednego z chłopaków Elizabeth i czekać z nadzieją, że właśnie jego wybierze na piątkowy lub sobotni wieczór, a od czasu do czasu może umówi się z nim w środę na lunch albo w poniedziałek do kina, ale to by się nie udało. Może tak należało odpowiadać, kiedy ludzie go wypytywali: „To by się nie udało”. I zdecydowanie nie tego pragnął.

Po chwili milczenia Brandon dodał:

- Słyszałem, że ty i Callie jesteście znowu razem.

Easy skinął głową, ale Brandon zauważył, że trochę się zawahał, jakby nie był pewien.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, unikając patrzenia Brandonowi prosto w oczy. Otworzył pudełko zapalek, włożył papierosa do ust i zapalił go jednym płynnym ruchem.

- To super - powiedział Brandon. - Tak.

Easy zaciągnął się głęboko papierosem, choć przyszło mu do głowy, że palenie w miejscu publicznym nie należy do najmądrzejszych rzeczy, zwłaszcza teraz. A tam, olać to. Marymount był prawdopodobnie zbyt podekscytowany perspektywą porannego zebrania, aby robić zakupy w centrum. Poza tym tak dobrze było wyjść na dwór. Gdy tylko rano opuścił Staxxx, powróciło nerwowe napięcie i przez cały dzień siedział w swoim pokoju, bijąc się z myślami. Im więcej o tym rozmyślał, tym większej nabierał pewności, że Callie wplątała się w jakąś intrygę. Wcale by się nie dziwił, gdyby się okazało, że za tym wszystkim stoi Tinsley.

- Rozmawiałaś z nią ostatnio? - spytał Easy.

Mijała ich starsza pani, której Brandon przytrzymał drzwi. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, po czym zerknęła na Easy'ego z papierosem i obrzuciła go spojrzeniem pełnym przygany.

- Z kim? Z Callie? Nie, ostatnio nie.

- Aha. - Easy nie wiedział, jak poruszyć tę sprawę, żeby nie zabrzmiało to tak, jakby chciał podkablować Callie. Znowu zaciągnął się papierosem, a starsza pani okazała oburzenie.

- Dlaczego pytasz? - zaciekawił się Brandon. Ta rozmowa stawała się jakaś nieskładna. Dlaczego Easy spytał go o Callie?

Easy podniósł stopę i westchnął.

- Myślałem, że może wiesz, w co się wpakowała. - A wpakowała się?

- No wiesz, każdy wytyka palcami ją i mnie. Chodzi o ten pożar - dodał pośpiesznie, jakby nie chciał wchodzić głębiej w sprawę, o której żaden z nich nie miał ochoty rozmawiać. - Martwię się, że chce coś zrobić, żeby, no wiesz, ratować sytuację.

Brandon się roześmiał, wyglądając zagniecenia w ciemnoszarych spodniach.

- Na przykład co? Coś jeszcze gorszego, żeby odwrócić uwagę? - Oparł się o ceglany mur banku. - Uwieść dziekana? To raczej nie w jej stylu.

Easy uśmiechnął się wbrew sobie i kopnął krawężnik.

- Nie, nic z tych rzeczy. Mam tylko dziwaczne wrażenie, że coś knuje i że Tinsley jest w to zamieszana.

- Te dwie nie potrzebują pomocy, żeby sobie narobić kłopotów - zauważył Brandon.

Jakieś dziewczyny z dziesiątej klasy podeszły do bankomatu, chichocząc nieśmiało, gdy ich mijały.

Easy zajrzał przez wielkie, wypucowane okno banku, chcąc zobaczyć, jak daleko stoi Sam i ile czasu im jeszcze zostało.

- Obawiam się, że knują coś przeciw Jenny - wyrzucił z siebie.

Doszedł do tego wniosku dziś po południu. Jeśli Callie była przekonana, że to Jenny spowodowała pożar i że może zostać odesłana do domu, to można było się spodziewać, że zrobi wszystko, aby przyspieszyć ten fakt. A jeśli w Waverly knuto jakąś intrygę, to prawie na pewno kierowała nią Tinsley Carmichael. To by wszystko wyjaśniało: rozmowę przyciszonym głosem z Tinsley, kiedy byli w stajni, odnowienie przyjaźni między Callie i Tinsley, pewność Callie, że to nie im grozi wyrzucenie ze szkoły.

Brandon włożył ręce do kieszeni spodni i spojrzał Easy'emu prosto w oczy.

- Jenny?

- Wiem, że to szalony pomysł, ale wciąż dochodzę do tego samego wniosku. Czuję... - Easy'emu głos odmówił posłuszeństwa. Zaszło mu w gardle i czuł, że się rozklei, jeśli będzie dalej mówić, ale musiał się komuś zwierzyć. - Czuję, że skrzywdziłem Jenny. I nie chcę kolejnego problemu, przy wszystkich innych. - Chociaż Easy był szczęśliwy, że znowu jest razem z Callie, dziewczyną, którą kochał, to nadal czuł wyrzuty sumienia po tym, jak zachował się wobec Jenny.

- Skoro uważasz, że ją skrzywdziłeś - powiedział powoli Brandon, starając się, aby w tonie jego głosu nie było potępienia - to dlaczego jej po prostu nie przeprosisz?

Brandon, który liczył sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i stał na chodniku, był teraz niemal równy z Easy'm stojącym nadal na ulicy. Ich oczy znajdowały się na jednym poziomie.

- Może to zrobię - przyznał Easy, przetrawiając ten pomysł - Wydawało się to takie proste. Ale przeprosiny nigdy nie są proste. Przekonał się o tym, chodząc dwa lata z Callie. - Dzięki. Tobie też jestem coś winien - dodał.

- Bądź po mojej stronie - zażartował Brandon.

Easy z powagą skinął głową, wchodząc na chodnik obok Brandona.

- Umowa stoi.

Podali sobie dłonie i Easy poszedł do punktu aptecznego, jakby trochę lżejszym krokiem. Może wszystko się dobrze skończy. Może zaczyna wariować. Przecież Callie i Tinsley nie mogą zwalić winy na Jenny. Callie nigdy nie posunęłaby się tak daleko. Chyba nie?

Bo gdyby się posunęła, oznaczałoby to, że dziewczyna, którą kocha całym sercem, nie jest osobą, w której chce być zakochany.

SówNet

JennyHumphrey:

BrettMesserschmidt:

JennyHumphrey:

BrettMesserschmidt:

Komunikator

Idziesz na imprezę pożegnalną OP?

No. Właśnie wzięłam prysznic.

Ary?

Szykuję się. Przyjdź tu szybko!

Nie dam rady zmierzyć się z tym sama.

Ja też. Nie martw się. Po to jest popijawa.

Sowa Waverly wspaniałomyślnie wybacza - nawet jeśli nie może zapomnieć

Jenny zbliżała się do krateru - miejsca, które zostało wybrane na pożegnalne przyjęcie OP. Porównania imprez w Waverly z tymi na Manhattanie nasuwały się same. W domu sączyli koktajle w barach w Meatpacking District albo szli na galę w Met. Przynajmniej niektórzy - Jenny zapraszano tylko czasami. W Waverly imprezy odbywały się raczej w różnych sceneriach na dworze. Krater był obniżeniem terenu znajdującym się jakieś trzy kilometry od wejścia do lasu, na południe od kampusu. Kryjówka była na tyle blisko, by urywać się z lekcji na jednego dymka, i na tyle daleko, żeby nie zostać przyłapanym. Pomysłowi uczniowie Waverly zainstalowali kłody na gałęziach drzew rosnących wokół krateru, przez co miejsce to przypominało scenerię jakiegoś średniowiecznego świętego zgromadzenia. Przychodząc tu na imprezę, Jenny czuła się, jakby miała uczestniczyć w imprezie w Stonehenge.

Tego wieczoru Heath naprawdę przeszedł samego siebie. Wokół brzegu krateru rozstawiono ogrzewane namioty, co nadało okolicy wygląd nieco lepszych slumsów z czasów wielkiego kryzysu, o których Jenny uczyła się na historii Ameryki. Wszędzie kręcili się uczniowie ubrani na czerwono, pomarańczowo i żółto, tak jakby każdy wpadł na ten sam pomysł. Na środku krateru trzaskały płomienie niewielkiego ogniska, rzucając chwiejne cienie na twarze, tak że trudno było rozpoznać, kto jest kim. Sceneria była bardzo romantyczna i Jenny nie mogła się doczekać, kiedy pojawi się Julian, żeby - jak w kiczowatym filmie - patrzeć jej głęboko w oczy i całować przy ognisku.

Krążyła wokół w swoich ulubionych czarnych dżinsach Seven i w czarnej bluzce Marc z długimi rękawami i okrągłym dekoltem, którą wyszukała, przetrząsając sterty ciuchów na wyprzedaży w Barneys. To był ładny top, uszyty z najdelikatniejszej bawełny, jaką można sobie wyobrazić, z koronką wokół wycięcia. Niestety, cały był schowany pod głupim pomarańczowym T - shirtem Osobników Podejrzanych, który musiała wciągnąć na wierzch. Czuła się śmiesznie, ale wszyscy, którzy znaleźli się na liście podejrzanych dziekana, mieli na sobie takie koszulki, a nie chciała, żeby ktokolwiek pomyślał, że uważa, iż jest ponad podejrzeniami.

Przez cały czas Jenny miała na oku swoją współlokatorkę. Snuła się z miejsca na miejsce, aby nie wpaść na Callie, która przeciskała się przez tłum. W pokoju też się unikały, co było teraz dość łatwe, jako że Callie każdą wolną chwilę spędzała z Easym. Jenny napełniła plastikowy kubek drinkiem Jungle Juice ze świeżo napełnionej wazy. Pocierała ramiona, aby rozgrzać ręce wyziębione od coraz niższej temperatury i lodowatego kubka.

- Zimno?

Jenny odwróciła się błyskawicznie i dostrzegła wijący się kosmyk brązowych włosów.

Miała nadzieję, że to Julian. Jednak zamiast niego zobaczyła Easy'ego Walsh, który nie odezwał się do niej słowem od czasu, jak z nią zerwał w zeszłym tygodniu. Widywała go, oczywiście, od czasu do czasu, ale było jasne, że jej unika. Pociągnęła łyk z plastikowego kubka, przytrzymując go przy ustach dłużej, niż było konieczne. Czekala, aż powie, o co mu chodzi, albo odejdzie.

- Heath znowu przeszedł samego siebie, nie? - Ciemnoniebieskie oczy Easy'ego z niepokojem lustrowały jej twarz.

Miło było widzieć go zdenerwowanego. Nigdy w niczym nie była górą, ale zdecydowanie nie miała zamiaru poddać się Easy'emu Walshowi, tak jak wszyscy inni. Mimo że wyglądał całkiem przystojnie w pomarańczowej koszulce OP, którą zdążył już pobrudzić trawą. W jaki sposób? Tarzając się z Callie w lesie?

- Ognisko to odważny pomysł, trzeba mu to oddać - odparła Jenny, szukając ludzi, z którymi wolałaby teraz być.

Brandon siedział przy ogniu razem z Sage Francis. Wydawali się pochłonięci rozmową. Brett jeszcze nie przyszła, a Kara leżała na ziemi, wpatrując się w gwiazdy przez prześwit w koronach drzew - z Heathem. To było dość dziwne. Alison klęczała przed ogniskiem, tuż za nią Alan, i piekli coś na długim kiju. Wyglądało na to, że Julian jeszcze nie przyszedł. I na tym wyczerpywała się lista osób, pomyślała Jenny, z którymi chciałaby rozmawiać. Sześć tygodni w Waverly i mogła policzyć przyjaciół na palcach jednej ręki. A myślała, że dobrze sobie radzi.

- Dobrze, że tu jesteś - powiedział Easy, a jego głos brzmiał dość dziwnie.

Jenny nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Dlaczego? Bo możesz mnie znowu upokorzyć? Bo możesz udawać, że mnie lubisz, dopóki nie wróci twoja eksdziewczyna? Bo możesz zwalić na mnie winę za pożar?

Nie odważyła się zapytać go o żadną z tych rzeczy. Jedyne na co się zdobyła to:

- Och?

Easy rozkopywał ziemię uwalanymi błotem, rozpadającymi się brązowymi butami Camper do kregli. Podrapał się po karku, a coraz większy płomień ogniska odbijał się w jego ciemnoniebieskich oczach.

- Chciałem powiedzieć, że cię za wszystko przepraszam.

- Pochylił się i podniósł z ziemi długi patyk, który próbował obracać między palcami.

Jenny po raz pierwszy spojrzała mu w twarz.

- Nie miałem zamiaru... cię skrzywdzić. - Odrzucił patyk i przejechał dłonią po twarzy. Ściszył głos, tak że Jenny musiała się pochylić w jego stronę, aby go usłyszeć. - I naprawdę nie chciałem, abyś dowiedziała się o mnie i o Callie... w taki sposób - mówił dalej, a na twarzy płonęły mu rumieńce, prawdopodobnie na wspomnienie, jak umykali z Callie z płonącej stodoły na pół nędzy, i to na oczach całego kampusu. - Wiem, że to musiało być dla ciebie straszne. Nie

wyobrażam sobie... - Nie wiedział, jak zakończyć zdanie, więc pociągnął łyk Jungle Juice z czerwonego kubka Solo.

- No tak. - Te przeprosiny wiele znaczyły dla Jenny, ale w całym zamęcie nie potrafiła tego w pełni docenić.

Obok nich przemknął Ryan Reynolds. Ściągał dziewczynę z dziesiątej klasy, ubraną w krótką spódniczkę i krzyczał:

- Ja też jestem podejrzany! Tylko zapomnieli mi dać koszulkę.

- Wiem, że trudno teraz znieść humory Callie - dodał Easy, jeszcze bardziej zniżając głos. - To przez ten pożar i w ogóle.

- Odkasznął i mówił cicho: - Ma zupełnego bzika. Mówi, że przez ciebie jesteśmy na liście, że... chciałaś w ten sposób ukryć fakt, że to ty spowodowałaś pożar.

Jenny stała w milczeniu, choć narastał w niej gniew.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak to głupio brzmi, dopóki ci tego nie powiedziałem. Wiem, że nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła. - Easy spojrzał na nią, a ich oczy spotkały się po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać. Widziała, że naprawdę uważa, że teoria Callie to czyste wariactwo, i poczuła się trochę lepiej. Przełykał ślinę raz po raz. - Boże, to wszystko jest pokręcone.

Jenny czuła, że powoli spada jej z serca kamień, którego ciężar przygniatał ją przez parę ostatnich dni. Jeśli Easy jest po jej stronie, to może wszystko jeszcze się dobrze skończy.

- Dzięki, że... powiedziałaś mi o tym - odezwała się. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej rozmowy z nim. Easy był takim facetem, którego chciało się mieć w swojej drużynie. - To wiele dla mnie znaczy.

Callie ponad ogniskiem przesywała wzrokiem Easy'ego i Jenny. Nie wiedziała, czy twarz jej płonie z powodu bliskości ognia, czy na widok tamtych dwojga, tak bardzo pochłoniętych rozmową. W głowie krążyła jej tylko jedna myśl. Kilka tygodni temu Easy rzucił ją dla tej małej dziwki. Nie miała nawet cienia wątpliwości - Jenny musi odejść.

Przez nieuwagę wylała resztkę Jungle Juice na ziemię, ale w głowie i tak huczało jej już od alkoholu. Rozglądała się po twarzach, szukając osoby, której obecność na pewno by ją pocieszyła. Jej wzrok zatrzymał się w końcu na Tinsley. Jej ciemnowłosa przyjaciółka stała z Chloe przy jednej z mis napełnionych Jungle Juice i podawała dziewczynie przelewający się kubek. Callie uśmiechnęła się i ruszyła w ich stronę. Tinsley się ucieszy, że znowu gra w jej drużynie. Że jest gotowa wykopać Jenny z Waverly raz na zawsze.

Sowa Waverly nie pije alkoholu poniżej dozwolonego wieku

Imię?

Brett podskoczyła. Prawie wpadła na Sama, który stał na straży przy kraterze, trzymając w ręce listę zaproszonych osób. Zauważyła kilka pomarańczowych T - shirtów, ozdobionych z przodu czarnymi literami „OP”, a z tyłu napisem: „osobnik podejrany” - mieli je na sobie Brandon i Benny. Sam był ubrany w koszulkę tego samego koloru, ale z przodu namalował litery „ZM”. Co to znaczyło? Sam odwrócił się do dwóch dziesięcioklasistek, których nie było na liście. Brett przeczytała słowa „zdefloruj mnie” na jego plecach. Przewróciła oczami.

- Proszę, twój T - shirt - powiedział beznamiętnie, odwracając się do Brett. Podał jej plastikową torbę z koszulką. - Możesz się przebrać w namiocie. - Zamilkł na chwilę. - Albo tutaj.

Brett znowu przewróciła oczami. Ktoś, kogo ledwie pamiętała z pierwszego semestru łaciny, podszedł do niej chwiejnym krokiem i podał jej czerwonopomarańczowy napój. Natychmiast przyplęnęło wspomnienie pierwszej i okropnej imprezy w Waverly, również przy kraterze. Tamtej nocy wypła trzy drinki Tequila Sunrise, nie zdając sobie sprawy, jak dużo jest w nich tequili. Przez resztę imprezy ścisła kurczowo pień drzewa. Powąchała zawartość plastikowego kubka i jej nozdrza wypełnił ostry zapach wódki. Upiła łyżeczek i poczuła dobrze znany smak Jungle Juice, jednego z ulubionych napojów Heatha.

Brett rozglądała się, szukając Kary. Chciała ją przeprosić za wcześniejszy napad złego humoru, ale nie mogła jej wyłuskać z tłumu kotłującego się wokół drżących płomieni ogniska. Verena Amewal wpadła już wyraźnie w nastrój teraz albo nigdy i ocierając się niebezpiecznie o ogień, tańczyła z jakimś dziesięcioklasistą z drużyny tenisowej do muzyki, którą tylko oni słyszeli. Nieco dalej Benny siedziała po turecku na skrawku trawy razem z Lonem Baruzzą. Był stypendystą i krążyły plotki, że jest świetny w łóżku. Lon robił Benny masaż pleców, co przypuszczalnie dawało jej przedsmak tego, co potrafi. Brett dostrzegła Jenny i już miała ruszyć w kierunku koleżanki, kiedy zauważyła, że ta jest pochłonięta rozmową z Easym. Dlaczego akurat z nim? O co w tym chodzi? Brett nigdzie nie widziała Heatha, co było trochę dziwne - ale co tam, pewnie za dużo wypił i leży gdzieś w krzakach.

Nagle poczuła silną dłoń na ramieniu i obróciła się błyskawicznie. Czy Ryan Reynolds znowu chce jej dokuczać? Okazało się, że to Jeremiah, który podniósł obie ręce na znak, że się poddaje.

- Daj spokój! - powiedział, robiąc krok do tyłu. W czarnej bluzie polo Jamesa Perse'a nałożonej na ulubioną czerwoną ciepłą koszulę i w starych zielonych spodniach J. Crew wyglądał zaskakująco znajomo. Tylko włosy miał krótsze niż na tamtej koszmarnej imprezie w Dumbarton

dwa tygodnie temu, na której widziała go ostatni raz. I porządniej uczesane niż kiedyś. Za to pozwolił, aby policzki i brodę pokryła delikatna szczecinka, przez co jego koścista, kwadratowa szczęka wydawała się jeszcze wyraźniej zarysowana.

u:

- Jestem niewinny, przysięgam.

Mimo że Jeremiaś pochodził ze starej, bogatej rodziny z Newton na przedmieściach Bostonu, mówił z niestarannym bostońskim akcentem. Kiedy ze sobą chodzili, zawsze ją denerwował ten niechlujny miejski akcent, ale teraz wydał jej się uroczy.

- Jeremiaś! - Brett wspięła się na palce i pocałowała go w oba obrośnięte policzki. Pachniał lasem i czystością. Dobrze było go widzieć. - Co tu robisz?

Uczniowie ze Świętego Lucjusza regularnie pojawiali się na imprezach w Waverly, ale przecież nie we wtorek, a poza tym wiedziała, że Jeremiaś ma w ten weekend wielki mecz - był gwiazdą pierwszej linii w drużynie futbolowej - więc wydawało jej się nieprawdopodobne, że mógłby ryzykować dla takiej rozrywki. Gdyby wiedziała, że się tu zjawi, to na pewno odpisałaby na jego mejl. Miała teraz wyrzuty, że go zignorowała, zbyt przygnębiona pożarem i sytuacją z Karą, aby zastanawiać się, jak odpowiedzieć.

Jeremiaś się zaczerwienił. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak łatwo się przy niej rumienił.

- Słyszałem o tym jutrzejszym spotkaniu, czy co to ma być, więc gdyby to miał być twój ostatni wieczór... - Zerknął na nią, nadal trzymając dłonie na jej talii, gdzie je położył, kiedy się witali. - Chciałem się z tobą pożegnać.

- Jesteś taki słodki. - Brett podniosła wzrok i utkwiała go w jego niebieskozielonych oczach. Poczwała dziwne sensacje w żołądku. To pewnie przez Jungle Juice. Uniosła plastikowy kubek do ust. Nie przestawała uśmiechać się do Jeremiaśa. Czwała się taka... wyzwolona. Ten nastrój całkowitego lekceważenia problemu - fakt, że wszyscy robili ubaw z pożaru i z tego całego szaleństwa, jakie ogarnęło szkołę - był o wiele lepszy niż szeptanie za plecami i rzucanie na siebie oskarżeń. Nie włożyła jeszcze pomarańczowego T - shirtu. Miała na sobie najzwyczajszą prostą czarną koszulkę, którą pożyczyła od Jenny, i nie chciała jej chować pod T - shirtem. Nagle zauważyła Alison Quentin w za dużej o parę rozmiarów koszulce OP i stwierdziła, że wygląda to całkiem ładnie. Więc dlaczego nie miałyby wczuć się w nastrój imprezy? Podała kubek Jeremiaśowi.

- Potrzy masz?

- Dla ciebie wszystko, B. - Uśmiechnął się szeroko, pokazując rząd uroczo wykrzywionych dolnych zębów.

Wzwał od niej czerwony plastikowy kubek, który niemal zginał w jego wielkich, silnych dłoniach. Brett wciągnęła koszulkę przez głowę, chwiejąc się trochę na nogach. Wódka w drinku

zrobiła już swoje.

Jeremiah pociągnął łyk z kubka Brett, wykrzywił twarz z niesmakiem i wypluł wszystko na ziemię.

- Hej! - Brett zganiła go i klepnęła w ramię. - Zamierzałam to wypić!

- Chciałem tylko spróbować. - Roześmiał się i wytarł usta w rękaw. - Nie rozumiem, jak można pić takie świństwo.

Jeremiah uwielbiał piwo i zawsze dokuczał Brett z powodu jej miłości do mieszanych drinków. Nagle przypomniała sobie, jak tydzień po powrocie do szkoły z letnich wakacji zaprosił ją na objazd winnic, na który wybierał się ze swoją rodziną - ojciec Jeremiaha otwierał nową restaurację i udawał się do Sonomy na degustację po Święcie Dziękczynienia. Nie zachwyił jej ten pomysł. Była w tym czasie zauroczona Erikiem Daltonem i wyobrażała sobie, że w winnicach Jeremiah będzie żłopał wino litrami, zamiast sączyć je z wyczuciem. Boże, ale go niesprawiedliwie oceniała. Miała nadzieję, że jej wybaczył, a jeśli nie - że wkrótce to zrobi.

- Chodź, pójdziemy po piwo. - Pod wpływem impulsu złapała go za rękę i pociągnęła do lasu, tam, gdzie zwykle stały beczułki z piwem na imprezach w kraterze. Jego palce były jak starzy przyjaciele niewidziani od lat.

- Denerwujesz się? - zapytał Jeremiah. Gałęzie trzaskały pod ich stopami, a las wydzielał sosnowy, romantyczny zapach. Hałas stopniowo cichł, gdy oddalali się od tłumu. - To znaczy jutrzejszym dniem. Cała ta sprawa to jakaś paranoja.

Brett cieszyła się, że jest ciemno i że Jeremiah nie może dostrzec, że się zarumieniła. Kiedy zapytał, czy się denerwuje, od razu przyszedł jej na myśl poprzedni raz, gdy zadał to samo pytanie. Przypomniała sobie noc, kiedy planowali razem utracić dziewictwo.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, oboje stanęli jak wryci, słysząc nagle szelest trawy. Brett pisnęła i czekała, aż w powietrze wzbije się jakaś sowa, ale nic takiego się nie stało. Zauważyła natomiast dwie postacie, siedzące tuż przed nią w wysokiej trawie. Przyłożyła palec do ust, a Jeremiah skinął głową z zakłopotanym uśmiechem.

- Rety - wymamrotał.

Oczy Brett przyzwyczyły się do ciemności. Mogła rozpoznać twarze dwóch postaci siedzących po turecku w trawie, głowa przy głowie, i szepczących jakieś czule słówka. Zmroziło ją i gapiała się jak sroka w gnat. Co Heath robi w lesie sam z dziewczyną, rozmawia? Jego mniejsze ja, Sam, byłoby rozczarowane. Już miała się odwrócić, kiedy światło księżyca padło na twarz dziewczyny. To była Kara.

Brett nie mogła oderwać wzroku. Heath uniósł dłonią brodę Kary i przybliżył jej twarz do swojej. A potem pocałował Karę, ich usta poruszały się miękkimi ruchami. Brett zamarła ze zdumienia.

- Hej, gdzie ta beczka?

Obróciła głowę i zobaczyła, że stoi za nią Lon Baruzza i chichocze. Benny potrząsnęła pustym kubkiem, aby pokazać Brett, o co im chodzi. Ale w tym momencie zobaczyła Heatha i Karę i zrobiła oczy jak spodki.

- O, cholera - powiedziała, patrząc z konsternacją na Brett. Brett chciała, żeby była cicho, bo Heath i Kara jeszcze ich nie zauważyli i lepiej, żeby tak zostało. – Dlaczego twoja dziewczyna całuje się z Heathem? - wykrzyknęła Benny na całe gardło.

Jeremiah puścił rękę Brett. Odwrócił się do niej, a w jego niebieskozielonych oczach dostrzegła zakłopotanie i żal.

- Dziewczyna? Więc to, co gadają, to prawda?

Brett nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Chciała, żeby wybuchł pożar, który zrównałby z ziemią cały las. Wołałaby ratować życie z kolejnego kataklizmu, niż bronić się - przed czym? Co takiego zrobiła? Jak można twierdzić, że ma dziewczynę, skoro jej domniemana dziewczyna całuje się namiętnie z Heathem Ferrem. Ścisnęła mocniej kubek i potykając się, ruszyła w stronę ogniska.

- Muszę się napić.

Rozważna Sowa ceni sobie kielkującą miłość

Byli tak blisko siebie, że Brandon czuł oddech Sage na swojej twarzy. Trzymał zębami brzeg plastikowego kubka, ręce miał rozrzucone na boki i przechylał kubek, żeby wypić łyk Jungle Juice. Sage się roześmiała, kiedy struga alkoholu spłynęła po jego policzku, a Brandon uśmiechnął się na tyle, na ile mógł, żeby nie wypuścić kubka.

- Okej - wymamrotał przez zęby. - Twoja kolej.

Pochyliła się do przodu i chwyciła zębami plastikowy kubek. Brandon nie zauważył wcześniej, że jej oczy są takie niebieskie. Jak niebo nad zatoką w długie lipcowe popołudnia. Skórę miała idealnie gładką.

- Gotowa? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Gotowa - odparła, szeroko otwierając oczy obwiedzione ciemnoniebieską konturówką. Może dlatego wydawały się takie błyszczące.

Brandon się odchylił. - Tylko nie oszukuj.

Uśmiechnął się łobuzersko, kiedy przechylała kubek. Patrzył na jej szyję, gdy połykała wielkie łyki pomarańczowej mikstury. Wydała z siebie piskliwy okrzyk i przechyliła się do przodu. Trochę Jungle Juice wyciekło jej z buzi z powrotem do kubka.

- Och, co za ohyda - dokuczał jej. Czuł przyjemne buzowanie alkoholu i nie mógł się powstrzymać od zerkania na piersi Sage opięte pomarańczowym T - shirtem OP.

- Mogę spróbować? - Sam pojawił się przed nimi zupełnie nagle.

- A dowód masz? - Brandon skrzyżował ręce na piersi. Bawiło go odgrywanie twardziela przed kandydatami. Mógłby to robić częściej.

- No co ty? Daj spokój. - Sam sięgnął po kubek, ale Sage odsunęła rękę, tak że znalazł się poza jego zasięgiem. Trzymała go nad głową, tak że między dzinsami a T - shirtem pojawił się pasek nagiego ciała. Sam wskazał na litery ZM na swojej koszulce.

- Ta koszulka mnie gryzie - powiedział nie wiadomo do kogo.

- To ją zdejmij - zaproponował Brandon.

- Nie mogę. Jeszcze nie - odparł poważnie Sam.

- Dlaczego? - zapyła Sage z ciekawością. Potrząsnęła głową, a długie, jedwabiste Jasne włosy omiotły plecy.

- Bo to się jeszcze nie stało - odpowiedział szczerze Sam, jakby to było oczywiste. Omiotł wzrokiem tłum i przejechał ręką po włosach ustawionych artystycznie na żel. Gest do złudzenia przypominał Heatha. - Widzieliście Heatha? Miał mi dzisiaj pomóc kogoś wyhaczyć. Obiecał.

Brandon rozejrzał się dookoła, jakby zapomniał, gdzie jest. Siedział z Sage przy ognisku,

rozmawiali o filmach. Miała okropny gust, ale przynajmniej o tym wiedziała, i nie gniewała się, kiedy dokuczał jej z powodu miłości do takich filmów jak *Wygrane marzenia* czy *Legalna blondynka*.

- Dziewczyny uwielbiają takie filmy - wyjaśniła.

Sage zadziwiała go tym, że o nic się nie droczyła i łatwo się z nią rozmawiało. Jej przednie dolne zęby były trochę krzywe, ale przez to reszta twarzy wydawała się jeszcze bardziej idealna.

- Nie widziałem go. - Brandon wzruszył ramionami, wbijając wzrok z powrotem w Sama. - Pewnie film mu się urwał i leży w krzakach.

Sam wydawał się przerażony, jak gdyby Brandon powiedział mu, że jego rodzice właśnie zginęli w wypadku samochodowym.

- Nie ma mowy, facet. - Spojrzał na Sage pożądlivym wzrokiem, odwrócił się do Brandona i powiedział nieco niższym głosem. - A może ty mi pomożesz kogoś wyhaczyć?

- Pochylił głowę w stronę Sage, która przycisnęła dłoń do jasnoróżowych ust, by stłumić śmiech.

- Sorki, chłopie. - Brandon miał nadzieję, że na tym się skończy. Sam przyczepiał się do niego, tylko gdy Heatha nie było w pobliżu, ale i tak Brandon miał tego dość. Wiedział, że musi poszukać Heatha, jeśli chce, żeby Sam zostawił ich w spokoju. - Zostań tutaj - polecił Samowi. - Przyślemy go do ciebie. Nie odchodź.

- Okej, ale pospieszcie się. - Sam padł na siedzisko z kłody. Zerknął na swój przesadnie duży plastikowy zegarek.

- Postaramy się - obiecał uroczyście Brandon.

Wziął Sage za rękę - była ciepła - i pociągnął dziewczynę, przepychając się przez tłum pijanych imprezowiczów. Nie obchodziło go, czy znajdzie Heatha. Chciał zostać sam na sam z Sage.

- Biedny dzieciak - zauważyła Sage.

Trzymanie jej ciepłej dłoni burzyło mu krew, ale zastanawiał się, czy nie powinien jej puścić.

- Lepiej, żeby sobie radził sam - przekonywał ją Brandon.

- Heath nabił mu głowę bzdetami, opowiedział, jak zaliczył numerek, kiedy był kandydatem. - Na trzeźwo nigdy nie użyłby przy dziewczynie wyrażenia „zaliczyć numerek”, zwłaszcza przy takiej, którą chciał oczarować, ale słowa wyszły z jego ust same, zanim zdążył pomyśleć.

- Ohyda - odparła Sage.

Brandon nie wiedział, czy zniesmaczył ją Heath, czy jego język. Ale nie puściła jego ręki, co wziął za dobry znak.

- I muszę z nim dzielić pokój - zażartował Brandon.

- Nie ma znaczenia, jeśli tylko nie przejmujesz jego złych nawyków. - Sage rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

Zanurkowali do jednego z namiotów. Brandon rozglądał się za znajomą głową Heatha z brudnoblond włosami. Ale w środku zauważył tylko Erika Olsena i Tricię Rieken, chłopaka ze Szwecji i dziewczynę, która powiększyła sobie chirurgicznie piersi. Całowali się namiętnie, a ich ubrania były w nieładzie. Obrócili się i przeszli wzrokiem Brandona i Sage.

- Sorki. - Brandon chwycił Sage za rękę i wyprowadził na zewnątrz, oboje z trudem tłumili śmiech. Ale jeszcze bardziej rozśmieszyło ich to, co zobaczyli jakieś trzy metry dalej.

Najwyraźniej Sam nie czekał tam, gdzie go zostawili. Klęczał przed Chloe. Wpatrywał się w nią z zadartą głową i trzymał w wyciągniętych rękach wiecheć polnych kwiatów i traw, które musiał przed chwilą gdzieś zerwać.

- Ale jesteś taka piękna! - bełkotał Sam. - Chcę się tylko przytulić.

- O raju, to robota Heatha. - Sage zachichotała. - Ale nawet dość urocze, na swój pokręcony sposób.

- Chodź - szepnął Brandon, zakręcony tym, że drobne palce Sage tak doskonale pasują do jego dłoni.

Odwrócili się w stronę huczącego przyjęcia. Sage ścisnęła jego rękę i poczuł, że ogarnia go ogromne podniecenie, rozmigotane jak dogasające ognisko, podniecenie, jakiego nie czuł już od dawna.

Sowa Waverly wie, że prawda bywa bolesna

Jenny przeszukiwała wzrokiem gęstniejący tłum, a Jungle Juice coraz bardziej buzował jej w głowie. Scena przed jej oczyma zaczynała przypominać szalejący pożar - masa ubranych na czerwono i żółto ciał dziewczyn i chłopaków, od czasu do czasu pomarańczowa plama koszulki OP, a wszystko to oświetlone drżącymi płomieniami z ogniska. Nie mogła się doczekać Juliana i czuła się o wiele lepiej niż przez cały tydzień. Easy ją przeprosił. Pocałunek Juliana byłby właściwym dopełnieniem tej nocy.

Nagle go spostrzegła. Szedł w stronę chłopaków z drużyny squasha. Dość długie włosy miał świeżo umyte i zgarnięte za uszy. Na koszulkę OP narzucił jasnoniebieską kurtkę Adidasa w żółte paski, co na pewno nie spodobałoby się Heathowi. Ale Heath gdzieś zniknął.

Pomachała do niego, na co się uśmiechnął i ruszył w jej stronę. Nadepnął na węgielek, który wyskoczył z ogniska. Wdeptał go w trawę, aż pozostała tylko smużka dymu.

- To wszystko, czego nam trzeba, prawda?

- Prawda. - Jenny uśmiechnęła się, a Julian poszedł nalać sobie Jungle Juice, po czym wrócił do niej na skraj krateru.

- Może powinniśmy sprawdzić, co się dzieje w lesie?

- zapytał Julian.

Płomienie ogniska rozświetlały jego twarz, wysuwając na pierwszy plan uroczy nos ze śladem po dawnym złamaniu. Jenny miała ochotę pochylić się i pocałować to miejsce. W lesie? Chciał tak od razu przejść do sedna?

- Czy możemy zostać tu jeszcze chwilę? - Jego pomysł nawet ją kręcił, ale czekała niecierpliwie na chwilę, kiedy tu razem usiądą i pokażą się wszystkim jako para. Usiadła na najbliższej kłodzie. Trudno się rozmawiało z Julianem na stojąco, bo był tak wysoki, że od zadzierania głowy bolała ją szyja.

- Tak, jasne. - Julian usiadł obok niej na kłodzie, ale obejrzał się za siebie przez prawe i lewe ramię, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie obserwuje. - Właściwie nie mam ochoty na Jungle Juice. Słyszałem, że w którymś namiocie jest piwo. Pomożesz mi poszukać? - Zerwał się na równe nogi, a Jenny zdziwiła się. Dlaczego nagle zrobił się taki nerwowy.

- Jasne, nie ma problemu. - Jenny również wstała i poszli do namiotu. - Chloe jest w tobie totalnie zakochana. - Nie mogła się powstrzymać od tej uwagi. Odkąd zostawiły Juliana na stopniach jego internatu, Chloe nie była w stanie rozmawiać o niczym innym, jak tylko o nim.

- Naprawdę? - Julian wydawał się szczerze zdziwiony, a Jenny bardzo się spodobało, że nie ma pojęcia, jaki jest czarujący. - Niestety lubię, jak moje dziewczyny są trochę starsze.

- Uniósł znacząco brwi, chociaż Jenny wyczuła ton niepokoju w jego głosie.

Benny minęła ich na pełnym gazie, krzycząc z zachwytem, ścigana przez Lona Baruzę. Wywrócili zamek, który dwaj chłopcy z dziewiątej klasy zbudowali z pustych plastikowych kubeczków, niebezpiecznie blisko ognia. Jeden z kubków wpadł do ogniska i zaczął się topić, zatruwając okolicę zjełczalym smrodem palącego się plastiku.

Julian torował drogę. Przeszukali kilka namiotów, przeszkadzając parom na różnych etapach rozbierania, zanim w końcu trafili na ostatni czteropak budweysera w pustym namiocie, w którym wisiały lava lampy o rozmaitych rozmiarach.

- Muszą gdzieś być beczułki - zauważył Julian, ściągając rękawy kurtki na dłonie, żeby wyjąć lodowate puszkę piwa, które chłodziły się w specjalnym naczyniu.

Jenny skinęła. Wiadomo, że cała męska populacja Waverly nie będzie pić Jungle Juice. Podejrzała, że Heath przygotował mieszany drink nie dlatego, że tak bardzo kocha supersłodkie alkoholowe mieszanki, ale po to, by szybko zaszumiało w głowie dziewczynom.

- Niestety, jestem tu nowa, a ty w dziewiątej klasie. Nie znamy jeszcze tajemnic beczulek z piwem - powiedziała z uśmiechem.

Fakt, że oboje są nowicjuszami w Waverly, nawet jej się dość podobał. Odnosiła wrażenie, że za wszystkimi innymi wlokła się pogmatwana przeszłość i ciemne historie. Towarzystwo Juliana było jak nowy początek.

- Święta prawda. Co tam, to wystarczy. - Julian uśmiechnął się, a w lewym kącie ust pojawił się na moment dołeczek. Wyłuskał puszkę z plastikowej obręczy i podał Jenny, ale pokręciła przecząco głową. Usiedli na gołej ziemi. Nagle dał się słyszeć jakiś hałas na zewnątrz i Julian prawie podskoczył. Obejrzał się przez ramię.

- Denerwujesz się jutrzejszym dniem, prawda? - zapytała Jenny. Zmarszczyła czoło. Cieszyła się, że znalazła przyczynę jego niepokoju. Chociaż tyle gadał o tym, że urocza dziewczyna posłuży mu za alibi, to i tak wariował przed jutrzejszym spotkaniem u dziekana. Nie mógł przecież w żaden sposób udowodnić, że zgubił zapalniczkę.

- Tak - przytaknął Julian. Jego oczy wydawały się zamyślane, a światło z lava lamp rzucało złowieszcze cienie na ich twarze.

Jenny podniosła plastikową obręcz, która przytrzymywała puszkę z piwem, i precyzyjnie szczypnęła nadgarstek przez jeden z krążków, udając, że ma bransoletkę.

- Co masz zamiar powiedzieć, kiedy spytają cię o zapalniczkę?

Pociągnął spory haust piwa, po czym postawił puszkę przed sobą na ziemi. Wzruszył ramionami.

- Mam zamiar powiedzieć prawdę.

- To znaczy? - Jenny poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- A dlaczego jej nie powiesz prawdy? O wszystkim? - Nagle wyrosła za nimi Tinsley ubrana w obcisłe czarne spodnie L. A. M. B. i superdopasowany czarny golf Ogle. Górowała nad Jenny, a doskonały zarys jej szczupłej figury odbijał się na białym tle namiotu. Jenny zaczęło brakować powietrza. Czerwone światło lava lamp igrało na twarzy Tinsley, nadając jej iście diabelski wygląd.

Jenny poczuła, że włosy jeżą jej się na karku.

- O czym ona gada? - zapytała stanowczo.

Julian gapił się na Tinsley z wściekłym wyrazem twarzy. Co się dzieje?

Tinsley obserwowała, jak na irytująco anielskiej twarzy Jenny pojawia się wyraz zatroskania. Wiedziała, że byłoby rozsądniej, gdyby Jenny nie wiedziała o niej i Julianie. Ale kiedy zobaczyła, jak wymykają się z imprezy i nurkują w namiocie, tacy śliczni i dobrani, wściekła się i przypomniało jej się od razu, że została bezceremonialnie odrzucona przez dziewięcioklasistę. I to dla takiej cyncatej karlicy, ni mniej, ni więcej. Dobrze, że ten terror przerośniętych cycków dobiega już końca, i to raz na zawsze.

- Julian? - Jenny ponownie zadała pytanie, patrząc na niego ze strachem.

- Powiedz jej - rozkazała znowu Tinsley, kładąc prowokacyjnie dłonie na biodrach.

Poirytowany Julian zmarszczył brwi. Przez chwilę poczuła ukłucie żalu - a może to była tylko litość. Ale czy naprawdę sądził, że można rzucić Tinsley Carmichael bez żadnych konsekwencji?

Upił potężny haust piwa, jak gdyby chciał się osłonić, po czym zwrócił się do Jenny.

- Ja... ja... Tinsley i ja...

Nie musiał mówić nic więcej. Te dwa słowa - Tinsley i ja - w zupełności jej wystarczyły. Przecięły Jenny na pół, wryły się w jej sercu. Powstrzymała się, żeby go nie uderzyć, choć miała na to ogromną ochotę. Nie mogła spoliczkować go z odrazą, jak to robią dziewczyny i żony w telewizji. Tak naprawdę nie jest jego dziewczyną i nigdy nie była.

- To dlatego kręciłeś się koło Dumbarton... - Zaczęła składać razem kawałki układanki. Nie przychodził tam, żeby ją zobaczyć. Przychodził tam, bo zadawał się z Tinsley. To dlatego chciał wyjść z kampusu i dlatego był dziś taki nerwowy. Bał się, że Tinsley może ich zobaczyć. Nie była pewna, co sprawia jej większą przykrość: czy to, że zadawał się z najwredniejszą jędzą, jaką знаła, czy to, że ją okłamał.

- Ale to wszystko było przed tobą - mówił z naciskiem Julian. - Zanim cię tak naprawdę poznałem.

Wpatrywał się w nią z przejęciem, błagalnie. Ale miała wrażenie, że już go nie poznaje. Był po prostu wysokim człowiekiem z nieporządną czupryną, chłopakiem bez twarzy, którego nigdy naprawdę nie znała.

Wstała, odrzuciła rękę Juliana i poszła przed siebie, jak najdalej od niego, od Tinsley, od

imprezy i od wszystkich, którzy tu byli. Jak mogła być taka bezmyślna - i to po raz drugi. I co robiła w tym miejscu, pełnym kłamców i palantów?

SówNet **Twoja Poczta**
Od: HeathFerro@waverly.edu
Do: anonimowych odbiorców
Data: 15 października, wtorek, 23. 52
Temat: Dalej OP, dalej, dalej, dalej OP

Moi drodzy OP oraz inni, którzy mieli mniej szczęścia

Dziękuję Wam, panie i panowie, za fantastyczną, zajefajną, bajeczną imprezę na pożegnanie OP.

Mam nadzieję, że Jesteście jeszcze tacy pijani jak ja.

Dzięki, że nie puściliście z dymem krateru. To wszystko, co mamy.

Heath

Sowa Waverly przychodzi punktualnie na zebrania dyscyplinarne

Poważne spojrzenie pana Tomkinsa powiedziało Brett, że się spóźniła. Rety. Przy śniadaniu była roztrzęsiona i wylała całą filiżankę kawy na kremową wełnianą spódnicę Diane von Furstenberg, odziedziczoną po starszej siostrze, Bree. Musiała pędzić z powrotem do Dumbarton, wcisnąć się w dzinsy, wiszące na krześle, i pomknąć do Stansfield Hall, gdzie dotarła bez tchu i prawdopodobnie z poczuciem winy wypisanym na twarzy. Drzwi do gabinetu dziekana Marymounta były otwarte i Brett dostrzegła tył głowy Callie, jej rudoblond włosy związane w schludną kitkę. Grobowa cisza panująca w gabinecie przyprawiła ją o dreszcz.

- No idź. - Pan Tomkins skinął głową, by weszła do środka, więc wślizgnęła się do gabinetu i zauważyła, że przyszła jako ostatnia z Osobników Podejrzanych.

Heath podniósł wzrok. Siedział na krześle na końcu ogromnego stołu konferencyjnego, przy oknie. Skinął Brett głową, po czym oparł ją z powrotem na rękach. Szybkie spojrzenie na pokój pozwoliło jej dostrzec podobne reakcje. Tinsley opadały powieki, Callie wyglądała, jakby nie spała całą noc. Jenny, ubrana w różową koszulę oraz blezer Waverly, tak mocno ścisnęła w dłoni kubek kawy Maxwella, że zbieleły jej kostki. Easy ziewnął bezgłośnie trzy razy pod rząd, aż Callie dała mu kuksańcu, żeby przestał. Alison Quentin, ubrana w błękitny golf Polo, energicznie rozcierała lewą skroń, jak gdyby chciała przepędzić jakiś ból. Nawet Brandon, który wychodził z pokoju w internacie dopiero wtedy, kiedy wyglądał nienagannie, teraz sprawiał wrażenie, jakby spał na siedząco. Obok niego siedziała Sage. Szeptala coś do Benny, a przed nimi stały napoje energetyzujące. Tylko Julian zdawał się nie mieć kaca. Z niewzruszonym spokojem patrzył za okno na czerwone i złote liście błyszczące w porannym świetle.

Sama Brett nie mogła się pozbierać. W ogóle nie spała tej nocy. Przewracała się i wierciła. Nie wiedziała, co ją bardziej męczy, widok Kary całującej się z Heathem czy wyraz twarzy Jeremiaha, kiedy się dowiedział, że ma dziewczynę. Czy to znaczy, że jest hetero? Czy nadal coś czuje do Jeremiaha? W jej umyśle kotłowało się tyle sprzecznych myśli, że zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się to wszystko rozwikłać.

Jenny uniosła brwi, spoglądając na Brett. Wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego wypila mały łyk kawy. Tinsley przyglądała jej się uważnie. Wzrok dziewczyny krążył od Jenny do Callie i Juliana, po czym zatrzymał się na chwilę na Brett.

- Czy to moje dzinsy, współlokatorko? - zapytała dziwnie serdecznie, przerywając niezręczną ciszę, zalegającą w pokoju. Wszyscy podnieśli wzrok. Brett rzuciła okiem na spódnie, które rano zwinęła z krzesła - swojego krzesła. Myślała, że to jej pofarbowane na czarno dzinsy Paige, a ponieważ gnała przez kampus, nie zauważyła nawet, że leżą jakoś inaczej niż zwykle.

Cholera.

- Myślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko - odparowała Brett głosem rozplywającym się ze słodyczy. - Tym bardziej że zostawiłaś je na moim krześle.

Tinsley wyszczerzyła do niej zęby.

- Od czego są współlokatorki?

Miała na sobie szmaragdową sukienkę Rebecki Benson z okrągłym dekoltem. Czarne włosy rozdzieliła równym przedziałkiem i zgarnęła za uszy - opadały jak jedwabna kurtyna. Włosy Tinsley wyglądały idealnie, ale jej podkrążone oczy świadczyły o kacu, co sprawiło Brett dziwną przyjemność.

Zresztą sama też nie zakosztowała wiele snu. Nie chciało jej się wierzyć, że jutro o tej porze jedno z nich wyjedzie, jakby nigdy nie było go w Waverly.

Przypomniała sobie dziewczynę, która chodziła z nią do dziewiątej klasy. Miała na imię Sylvia, czy jakoś tak. Pewnego dnia rano Sylvia po prostu zniknęła, została wyrzucona za odpisanie pracy z angielskiego. Kiedy Brett usłyszała o wydaleniu Sylvii ze szkoły, naszła ją zupełnie samolubna myśl koleżanka pożyczyła od niej kiedyś płytę Wilco. Przez dobry tydzień Brett chodziła zła jak osa z powodu tej płyty, aż kupiła sobie w mieście płytę Trax - n - Wax. Przebiegła w myślach listę Osobników Podejrzanych, usiłując sobie przypomnieć, czy jest komuś coś winna - pieniądze na lunch, niezwrócone ciuchy, cokolwiek, co mogłoby rzucić cień na jej pamięć, gdyby dziekan Marymount odprowadził ją do wysokiej żelaznej bramy i dał kopniaka na drogę. Jeśli się nie myli, wszystkie rachunki ma uregulowane. Ale może mogłaby nie oddać Tinsley tych jej cholernych dzinsów.

Do gabinetu wkroczył dziekan Marymount, pogwizdując melodię, której Brett nie mogła rozpoznać. Wyglądał na wypoczętego, a gładko ogolona twarz była rumiana w świetle poranka. Jeśli dotarły do niego wieści o pożegnalnym przyjęciu, to nie dał tego po sobie poznać. Jak mógł nie czuć zapachu dymu z ogniska? Czy dym wiszący w powietrzu od czasu pożaru stodoły tak dobrze go maskował, jak twierdził Heath?

- Witajcie, Sowy - pozdrowił ich.

Wszyscy zgromadzeni skinęli w milczeniu głowami, oprócz Tinsley, która wbiła fiołkowe oczy w Marymounta bez strachu, że napotka jego spojrzenie.

- Podjąłem decyzję, która z pewnością bardzo zainteresuje wszystkich w tym pokoju - oznajmił Marymount uroczyście, jakby miał zamiar obwieścić, że jedno z nich wygrało samochód albo wycieczkę dla dwóch osób na Hawaje. Serce Brett podskoczyło. Czy zamierza wyrzucić wszystkich? Poprawił kalendarz na biurku, tak że stał idealnie pod kątem prostym do kwadratowego pojemnika na ołówki. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. - Nie będę próbował wyłuskać winnego czy winnych pożaru na farmie pani Miller. Mam zamiar prosić was, byście sami

rozwiązali tę sprawę.

Co? Po pokoju przeszedł pomruk. Brett spojrzała na kolegów i koleżanki. Wszyscy szykowali się do obrony swojej wersji wydarzeń przed Marymontem. A tu nagle okazuje się, że mają się bronić przed sobą nawzajem?

- Cisza. - Serdeczny wyraz twarzy Marymounta zniknął. - Powiem wam, jak ma się to odbyć. Idę na śniadanie z kandydatami, których, mam nadzieję, traktowaliście z dużą wrażliwością i szacunkiem. Kiedy wrócę, chcę usłyszeć wyznanie winnego. Ten, kto wstanie i powie: „Ja to zrobiłem”, zostanie oczywiście wyrzucony ze szkoły, ale reszta będzie mogła odejść i zająć się swoimi codziennymi sprawami. Jak wam się to podoba? - Nie czekał na odpowiedź. - Pan Tomkins będzie siedział w sekretariacie. W razie potrzeby zwracajcie się do niego. Ale proszę, nie marnujcie jego i swojego czasu, nie grajcie na zwłokę. To ma się zakończyć tu i teraz. Jakies pytania? - Obrzucił pokój szybkim spojrzeniem i odwrócił się do drzwi, nie oczekując najwyraźniej żadnych protestów.

Brett odchrząknęła. Jeśli przewodnicząca klasy nie może zabrać głosu, to po co do licha nią jest?

- Ale, proszę pana... - Wydobyła z siebie jakiś pisk, więc znowu odchrząknęła. - A jeśli nie ma wśród nas prawdziwych podpalaczy?

Marymount spojrzał na nią ze spokojem zza okularów w okrągłych złotych oprawkach. Był ubrany w swój ulubiony niebieski sweter z okrągłym wycięciem i w blezer Waverly i wyglądał tak, jakby miał zaraz wygłosić wykład na temat *Burzy*, a nie zrujnować życie jakiemuś biednemu uczniowi.

- Są - odpowiedział tylko, nie pozostawiając miejsca na dyskusję. - Jeszcze jakieś pytania? - Uniósł piaskowoszare krzaczaste brwi.

Nie było pytań.

- Doskonale. Marymount zgarnął z biurka jakieś papiery. Następnie odsunął swój fotel i poprosił, aby Brett usiadła. - Nie ma sensu stać, panno Messerschmidt. To trochę potrwa.

Brett nie wiedziała, czy on ją posadził, czy sama usiadła, w każdym razie zmęczone nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa, gdy opadła na jego skórzany fotel z wysokim oparciem i znalazła się frontem do wszystkich osób przy owalnym wielkim stole.

- Ach, byłbym zapomniał. - Marymount nagle przystanął W drzwiach, na Ścianie za jego plecami wisiało zdjęcie z zakończenia szkoły przez jakąś klasę z Waverly. Absolwenci o zaróżowionych policzkach uśmiechali się i z radosnymi minami trzymali wysoko w górze dyplomy Waverly, jakby nabijając się z uczniów siedzących w pokoju. - Jeśli do mojego powrotu nie ustalicie, kto z was jest winny, wszyscy zostaniecie wyrzuceni.

Brett jeszcze nigdy nie widziała, aby tylu osobom naraz opadły szczęki.

Dziekani mówił dalej:

- Zatem przemyślcie to dogłębnie. Nalegam, aby potraktować rzecz z powagą. Dotyczy to także pana, panie Ferro. - I z tym słowami wyszedł.

Heath pstryknął palcami na Marymounta, kiedy zamknęły się drzwi. Nikt się nie roześmiał. Tinsley jako pierwsza przerwała ponurą ciszę.

- Duszno tu jak cholera. - Podeszła do okna i otworzyła je, wpuszczając chłodne poranne powietrze do zatęchłego gabinetu. Wszyscy łapali głębokie hausty powietrza, jakby wstrzymywali oddech, odkąd usłyszeli nowiny dziekana Marymounta.

- Czy on sobie żartuje? - spytała Callie, nie patrząc na nikogo konkretnego. Miała na sobie biały kaszmirowy sweterek, który wyglądał jak zabytek ze szkoły podstawowej, i dżersejową sukienkę w biało - niebieskie paski - najwyraźniej starała się sprawiać wrażenie osoby odpowiedzialnej i niewinnej.

- Gdzie jest Kara? - spytał nagle Heath, wprawiając wszystkich w zdumienie. Przejechał ręką po ciemnoblonde czuprynie i wyglądał tak, jakby chciał wrócić do łóżka.

Brett rozejrzała się po pokoju i uświadomiła sobie, tak jak wszyscy inni, że Kara zrobiła unik. Jej zielone oczy się rozszerzyły.

- Zabawne, Marymount nic nie powiedział - stwierdziła Jenny, a jej cichy głos wydawał się zupełnie nie na miejscu w surowej scenerii gabinetu. Wydawała się drobna na tle skórzanego fotela z wysokim oparciem, w którym siedziała.

- To znaczy, że ona to zrobiła. - Benny wyprostowała się i klasnęła w ręce. Brązowe włosy miała zaplecione w warkocz na karku, a w uszach połyskiwały brylantowe sztyfty od Tiffany'ego. - Sprawa zamknięta. Niech ktoś złapie dziekana.

Brett poczuła napięcie w całym ciele, jakby wszyscy patrzyli na nią, czekając na jej reakcję. Ale w obronie Kary pierwszy zabrał głos Heath.

- Dajcie spokój. - Heath starał się zamaskować uśmiechem swoje wzburzenie, ale Brett zauważyła, że inni spojrzeli na niego z zaciekawieniem. - Pewnie walczy z okropnym kacem.

Miał jeszcze na sobie pomarańczową koszulkę OP, która była mocno pognieciona, jakby w niej spał - albo w ogóle nie kładł się spać. Czy przez całą noc był z Karą? Brett potrząsnęła głową i odrzuciła z twarzy czerwone włosy, starając się przegonić tę myśl. Całe szczęście, że Heath siedział plecami do ściany, bo w przeciwnym razie dziekani zobaczyłby napis „Osobnik Podejrzany” na jego koszulce. Lepiej, żeby Marymount nie wiedział, że urządzili ogromną imprezę i nabijali się z niego i z jego listy. I bez tego mieli dość kłopotów.

- A gdybyśmy wszyscy urządzili protest? - rzuciła Sage, stukając paznokciami w kolorze brzoskwini o dębowy stół. - Jestem pewna, że gdybyśmy powiedzieli Marymontowi, że opuścimy kampus i nie wrócimy, aż... nie zaprzestanie śledztwa, to musiałby się wycofać, prawda? -

Rozejrzała się po pokoju, a jej wzrok spoczął w końcu na Brandonie, który siedział obok.

- To nie wypali - powiedział Brandon beznamiętnie. Był tak blisko Sage, że Brett zastanawiała się, czy rozmowa, którą prowadzili wczoraj wieczorem, doprowadziła do czegoś więcej. Światło rozbłysło w złocistych włosach Brandona. Brett miała wielką nadzieję, że coś między nimi zaszło. Brandon był taki uroczy, zasługiwał na dziewczynę, która nie wystawi go do wiatru, tak jak Callie czy ta puszczałka ze Świętego Lucjusza, Elizabeth. Nagle przyszedł jej na myśl Jeremiah. Ciągle nie mogła uwierzyć, że przespał się z tą całą Elizabeth, żeby się na niej odegrać, bo go rzuciła. Teraz, kiedy przeżyła pożar i siedziała w jednym pokoju z osobami, którym groziło wyrzucenie ze szkoły, wybryk Jeremiaha już nie wydawał jej się taką wielką sprawą.

Brandon wzruszył ramionami.

- Marymount chce, żeby ktoś wziął na siebie winę, i ma gdzieś, kto to będzie.

- Słuchajcie, ktoś przecież wywołał ten pożar, albo przypadkowo, albo... - Brett urwała. - Hej, kimkolwiek jesteś, czy naprawdę chcesz, żeby ktoś inny wziął na siebie winę?

- Tak, to nie jest fair. - Heath oparł czarne skórzane adidasy o brzeg dębowego stołu. Nikt więcej się nie odezwał.

Gdzieś z dołu, z dziedzińca, dobiegł wybuch śmiechu i wszyscy spojrzeli tęsknym wzrokiem na okno. Easy położył głowę na stole i kilkoro innych uczyniło to samo. W pokoju znowu zapadła cisza. Wszyscy podejrżani siedzieli w martwym milczeniu. Zdawało się, że upłynęły wieki.

- Och mój Boże. - Te słowa wypłynęły bezwiednie z ust Brett, jakby jej mózg i usta zadziałały równocześnie. Utkwiła wzrok w biurku Marymounta, próbując się skupić, i spojrzała na rodzinne zdjęcie wciśnięte między pojemnik wypełniony ołówkami numer 2 a gigantyczny zszywacz do papieru, na którym przyczepiono złowieszczy napis: „Nie ruszać”. Sięgnęła po zdjęcie w srebrnej ramce, przysuwając je pod same oczy, aby dokładniej się przyjrzeć. Nie mogła w to uwierzyć. Żona Marymounta, druga osoba na zdjęciu, którą Brett rozpoznała, uśmiechała się do niego, jakby właśnie powiedział coś zabawnego. To było zwykłe rodzinne zdjęcie, na którym wszyscy szczerzą zęby, podobne do tych, jakich pewnie wiele stoi na biurkach nauczycieli z Waverly. Ale Brett rozpoznała na tym zdjęciu kogoś jeszcze. Wstała, podeszła do najbliższej osoby, którą była Sage, i podała jej fotografię w ramce, aby się upewnić.

- O, cholera, to chyba jakieś żarty. - Sage otworzyła lśniące usta. Podniosła rodzinną fotografię, tak aby wszyscy ją zobaczyli, aż zjechał luźny rękaw jej różowej bluzki Splendid.

- Co jest? - zapytała Alison, podnosząc głowę ze stołu i patrząc na Brett. Jedną z różowych plastikowych spinek w kształcie motyla obluzowała się na jej gładkich czarnych włosach.

- To Chloe - odparła Brett głosem wyciętym z emocji. - Ta mała żmija.

- Co za Chloe? - zapytała Alison w panice.

- Jest jego krewną? - Benny podniosła głos, pełna niedowierzania. Wsiadała.

- O kim mówicie? spytał Brandon, przecierając oczy pięściami. - Co się dzieje?

- Pytałam ją, czy ktoś z jej rodziny uczęszczał do Waverly i wspomniała coś o stryju. Mogła nam, cholera, powiedzieć, że chodzi o dziekana. - Benny potrząsała głową przygnębiona. Jej długi i błyszczący brązowy warkocz skakał z jednej strony na drugą. W końcu odetchnęła głośno, przykrywając usta ręką o zadbanych paznokciach. - Powiedziałam jej o kryjówce na wódkę w naszym pokoju.

Sage spojrzała na swoją współlokatorkę.

- Ciągle mnie wypytywała, co Easy i Callie robili w stajni w sobotę.

Callie się zarumieniła, a Easy uściśnął jej dłoń pod stołem.

- Ale to znaczy - zaczęła Alison, po czym przerwała i zagapiła się na sufit, jakby próbowała rozwiązać trudne zadanie z algebry. - Powiedziała mi coś dziwnego o tym, że Alan pomaga mi się uczyć - oznajmiła. - Wtedy jakoś mi to umknęło, ale... - Ścisnęła twarz dłońmi. - Mała suka.

Na usta Tinsley wypłynął złośliwy uśmiezek. Tak mocno rozparła się w fotelu, że Brett miała nadzieję, że zaraz runie razem z meblem na podłogę. Oparła na stole czarne skórzane buty na obcasach Sigerson Morrison.

- A to podstępna bestia. Chyba ją trochę podziwiacie.

Na twarzy Heatha pojawiło się zrozumienie.

- Przecież ja tylko żartowałem o tej zasadzie nagości... - Brandon spojrzał na współlokatora oczami jak szparki, a Heath podniósł obie ręce, jakby chciał się poddać. Więc jesteśmy tu przez to, że powiedzieliśmy lub zrobiliśmy coś kompromitującego przy tej kandydatce? - wykrzyknął, obrzucając spojrzeniem pozostałych. Wydawał się zarówno oburzony, jak i poruszony.

- Tak, albo dlatego, że się źle do niej odnosiliśmy. Pobieгла do stryjka i naskarżyła. Co za krzyżująca niesprawiedliwość. - Alison zaczęła ze złością okręcać końcówki włosów.

- Powiem wam, co jest niesprawiedliwe - powiedziała nagle Benny, uciszając pozostałych. Stukała długimi paznokciami w blat stołu. - Kara prawdopodobnie odsypia kaca, a my mamy zdecydować, kogo wykopać ze szkoły.

Brett zmarszczyła się na dźwięk imienia Kary. Nie wiedziała, czy byłoby lepiej, czy gorzej, gdyby Kara tu była. Dlaczego nie przyszła na zebranie? Pewnie na znak protestu. Kara miała dość odwagi, aby zrobić coś takiego.

Znowu odezwał się Heath, tym razem bardziej stanowczo.

- Już mówiłem, żebyście z niej zeszli. Późno poszła spać, i tyle.

Benny wzruszyła ramionami.

- Heath, wiem, że czujesz się winny, bo ją upiłeś i mogłeś robić z nią, co ci się podobało, ale szczerze mówiąc, to poszliśmy spać tak samo późno jak wy, a jednak tu siedzimy. - Benny pokazała

mu język, a po chwili uświadomiła sobie, co wypała, i rzuciła Brett przeprasające spojrzenie.

Brett czuła, że wszyscy się na nią gapią. Miała już dość unikania spojrzeń koleżanek i kolegów, więc się wyprostowała w wysokim fotelu dziekana.

- Widzieliśmy was w lesie - powiedziała ze spokojem, obracając trochę fotel, aby patrzeć Heathowi prosto w oczy. Miała nadzieję, że nikt nie spyta, co oznacza „my”. Nie było potrzeby wciągać w to Jeremiaha.

Na przystojną twarz Heatha wypłynął delikatny rumieniec.

- Brett... ja... możemy gdzieś pójść i porozmawiać? Brett pokręciła głową, nie odrywając wzroku od Heatha.

- Powiedz tutaj to, co chcesz powiedzieć. W Waverly nie ma sekretów, no nie? - Skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na pozostałych, zwężając zielone oczy. Odwracali wzrok albo kładli głowę na stole, próbując wtopić się w tło. No dobra. Skoro chcą usłyszeć pikantne szczegóły. Tylko Jenny spojrzała na nią z wyrazem współczucia w ciepłych brązowych oczach.

Heath bezradnie rozglądał się dookoła, niepewny, czy Brett mówi serio. Obciągnął pomarańczowy T - shirt, wygładzając niektóre zagniecenia. W końcu spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam, wiem, że to było złe. ale... - Heath nerwowo przejechał ręką po poczochranych włosach. Zdaje się, że nieczęsto przeproszał. - Chodzi o to, że wydawało mi się, że między wami dwiema niezbyt dobrze się układa. Wiem, że to nie jest wytłumaczenie, ale szczerze mówiąc... - Na twarzy Heatha pojawił się wyraz rozmarzenia, a w pokoju panowała cisza. - Od czasu Juliet van Pelt żadna dziewczyna tak mi nie zawróciła w głowie. - Brandon, siedzący po drugiej stronie stołu, pokręcił głową, a Brett zastanawiała się, o kim mówi Heath. - To znaczy - zaczął jeszcze raz. Spojrzał błagalnie na Brett, a ten wyraz twarzy przypominał jej Bree, która w taki sam sposób patrzyła na rodziców, kiedy była w liceum i chciała dostać większe kieszonkowe. - Nie wiesz, jak to jest, kiedy lubi się kogoś tak bardzo, że nic innego nie ma znaczenia?

Osobnicy Podejrzani siedzieli w milczeniu zupełnie zaszokowani. Heath Ferro mówi jak bohater łzawego romansu? Ale najbardziej zaszokowana była Brett. Dobrze wiedziała, jak to jest, kiedy człowiekowi tak bardzo na kimś zależy. Ale nie czuła tego do Kary. Takie uczucia budził w niej Jeremiah. Nadal była w nim zakochana, bez względu na to, jak bardzo próbowała wyrzucić to z myśli czy przekonywać samą siebie, że jest inaczej.

Tylko że to już nie miało znaczenia, bo Jeremiah na pewno jej nie wysłucha. Po pierwsze, była kłamczucha, oszustką, puszczalską, którą podejrzewano o to, że spała z nauczycielem.

Po drugie, dała się poznać jako zazdrosna dziewczyna, która rzuciła go tylko dlatego, że chciał czegoś więcej. A teraz miała twarz lesbijki i podpalaczki. Nie ma się co łudzić, że Jeremiah ją kiedykolwiek pokocha albo że w ogóle będzie jeszcze chciał z nią rozmawiać.

Sowa Waverly wie, że nie ma dymu bez ognia

Motyw odezwała się Tinsley, przykuwając uwagę pozostałych. - Przecież tego właśnie szukamy. Motywu i okazji.

Callie ulżyło, że Tinsley przerwała grobową ciszę. Brett zatopiła się z powrotem w fotelu Marymounta. a Callie próbowała się uśmiechnąć do niej ze współczuciem. Jej wzrok ześlizgnął się na wielki, oprawiony w skórę kalendarz na biurku dziekana.

- Uważam, że każdy z nas miał okazję. - Roześmiał się Heath, któremu ulżyło, że skończyli temat jego i Kary. - Przecież dlatego tu wszyscy jesteśmy, no nie?

Tinsley przeszła Heatha takim spojrzeniem fiołkowych oczu, jakby chciała go ukatrupić.

- No dobra, więc motyw. Musimy się skupić na motywie.

Callie wiedziała, do czego zmierza Tinsley. Zerknęła na Easy'ego, który bawił się czystą kartką papieru. Wczoraj wieczorem pokręciła się trochę z Tinsley i Chloe, a potem uciekła do Easy'ego, mając nadzieję, że wymkną się do lasu, żeby pobyć trochę sam na sam. Ale Easy mruknął na odczepnego, że jest zmęczony, i wcześniej poszedł do domu. Dzisiaj rzeczywiście wydawał się wyczerpany, więc może powiedział prawdę. Ale w żołądku kotłowało jej się ze zdenerwowania, bo obawiała się, że może nadal ją podejrzewa. Musi być dzisiaj bardzo ostrożna.

- Kurde, nic z tego nie rozumiem. - Benny skrzyżowała ręce na piersi, spleszczając już i tak dość płaski biust. - Czy ten pożar to nie mógł być wypadek? - Wszyscy zaczęli zgodnie przytakiwać.

- Nieważne. Marymount chce naszej krwi - oświadczyła Tinsley. Odrzuciła z ramienia pasmo lśniących włosów. - Po tym wszystkim, co usłyszał od swojej bratanicy - wskazała głową na rodzinne zdjęcie w srebrnej ramce, które stało teraz na środku stołu konferencyjnego na pewno wierzy, że ktoś z nas celowo spowodował pożar. Nie potrafi tylko wymyślić, kto miał najlepszy motyw, i dlatego zamknął nas tu wszystkich.

Słowa Tinsley obiegły pokój, a Callie patrzyła na jej zadowoloną twarz, czekając jednocześnie, żeby ktoś jej przerwał.

- Ale jaki motyw? - zapytała ostrożnie Callie, bawiąc się kosmykiem jasnych włosów. Podniosła oczy na Easy'ego, który zmarszczył gwałtownie czoło, jakby chciał zapytać: „Co ty do diabła wyprawiasz?”

- Przekonajmy się. - Tinsley utkwiała wzrok w suficie i udawała, że głęboko myśli. - Co jest dobrym motywem? Może zazdrość?

Callie starała się nie patrzeć na Jenny, która siedziała po drugiej stronie stołu. Zaczęła skubać nierówną skórę przy paznokciu. Ostatnio znowu obgryzała paznokcie - zły nawyk, który

zwalczyła wiele lat temu. Myślała, że raz na zawsze. Może w ten weekend wsiądzie w pociąg i pojedzie na Manhattan zrobić przyzwoity manikiur. Mogłaby zafundować sobie SPA po tych wszystkich stresach.

- Ale zazdrość o co? - zapytał Brandon. Upił mały łyk wody Evian.

Callie zazdrośnie łypnęła na butelkę.

- To właśnie jest pytanie - powiedziała Tinsley. Callie zerknęła ukradkiem na Jenny, która poruszyła się w krześle. Wodziła palcami po brzegu plastikowego kubka do kawy, teraz już pustego. - Ktoś był o coś zazdrosny.

- Albo o kogoś - dodała Callie. Wzruszyła obojętnie ramionami, jakby ta myśl dopiero teraz przysła jej do głowy. Obciągnęła biały kardigan na piersiach.

- Zaraz, zaraz. Rozmawiamy o tym, że ktoś próbował kogoś zamordować? - zapytała Sage Francis, unosząc sceptycznie wąskie jasne brwi. - Przecież to paranoja.

Zamknij się, Sage, chciała krzyknąć Callie. Tinsley roześmiała się prawie naturalnie i tylko Callie poznała, że udaje.

- Nie rozmawiamy o morderstwie. - Pokręciła głową, jakby ją rozbawił dziwaczny pomysł Sage. - Ale może ktoś był na tyle zły i zazdrosny, żeby zrobić coś głupiego i bezmyślnego.

- Na przykład kto? - zapytał wyzywająco Easy, a jego niebieskie oczy rzucały groźne błyski, jakby chciał ostrzec Tinsley, by nie wymieniała imienia Jenny.

Callie zsunęła się w krześle.

- Tak, na przykład kto? - Julian powtórzył jak echo pytanie Easy'ego. Do tej pory był taki cichy, że Callie prawie zapomniała o jego obecności.

Callie spojrzała na Tinsley. Jej najlepsza przyjaciółka rozsiewała w pokoju podejrzliwość, zbierając siły i szykując się do ostatecznego natarcia. Tinsley wbiła wzrok w Jenny, która przez chwilę udawała, że tego nie widzi, ale musiała porzucić tę taktykę, gdy pozostali również utkwili w niej spojrzenia.

- O co chodzi? - spytała w końcu Jenny, wysuwając przekornie podbródek. Patrzyła Tinsley prosto w oczy. wprawiając wszystkich w zdumienie. - Jeśli chcesz coś powiedzieć, to powiedz.

Na usta Tinsley wypłynął złośliwy uśmiezek i Callie wiedziała, że zabawa skończona. Kiedy Tinsley namierzyła cel, nie można jej było powstrzymać, trawiła wszystko jak ogień w suchych zaroślach. Odkąd wróciła do szkoły i zastała Jenny w swoim dawnym łóżku, uwzięła się na nią. Tinsley przywykła do tego, że to o niej najwięcej się plotkuje w kampusie. A tymczasem Jenny z tą swoją słodką buzią i gigantycznym biustem odebrała jej palmę pierwszeństwa. Callie rozumiała, dlaczego Tinsley ma żal do Jenny, ale nie do końca pojmowała, czemu jej nienawidzi. Przecież Jenny nie odbiła jej chłopaka.

- No dobrze, Jenny, skoro pytasz... - Tinsley zaczęła saczyć swój jad.

- A dlaczego uważasz, że sama jesteś bez winy, Tinsley? - Julian przerwał jej wywód.

Callie spojrzała na niego. Nie mieściło jej się w głowie, że dziewięcioklasista, choćby nawet tak przystojny i wysoki jak Julian, odważył się sprowokować Tinsley Carmichael. Żółte liście na brzożach za oknem załopotwały gniewnie na wietrze, ale Julian wydawał się całkowicie opanowany, jakby miał asa w rękawie i tylko czekał na odpowiedni moment, aby go rzucić na stół. Podejrzani Osobnicy patrzyli to na Juliana, to na Tinsley, jakby oglądali mecz tenisowy.

Tinsley odwróciła się twarzą do Juliana. Żołądek podjechał jej do gardła, kiedy napotkała jego spojrzenie. Brązowe oczy Juliana, zwykle ciepłe i łagodne, były wąskie jak szparki. Wbiła paznokcie w dłonie, ukryte pod stołem. Czy Julian naprawdę jej nienawidzi? Fakt, nie rozpieszczała go ostatnio. Ale musiała uczciwie przyznać przed sobą, że miała cień nadziei, że gdy Jenny zniknie z widoku, Julian będzie ją na klęczkach błagać o wybaczenie. Jeśli jednak Julian z nią skończył, to niewykluczone, że przypadnie mu w udziale taki sam nieszczęsny los jak Jenny.

- Oczywiście zakładasz, że to ja jestem tutaj tą złą. Tak szybko jesteś gotów bronić niewinności Jenny - powiedziała spokojnie. Obróciła się i ponad stołem spojrzała Jenny w twarz. Jenny odpowiedziała zbuntowanym spojrzeniem i nie miała zamiaru odwracać wzroku. - Jenny, może powiesz wszystkim, co narysowałaś we wtorek na lekcji pani Silver?

Callie przygryzła wargi i wstrzymała oddech. Bała się spojrzeć na Easy'ego, choć czuła, że chłopak wbija w nią wzrok. Z twarzy Jenny odpłynęła cała krew. Rozchyliła, a następnie zamknęła usta, jak ryba bez wody. Widać było, że rozpaczliwie stara się dociec, skąd Tinsley wie o rysunku przedstawiającym pożar. Naprawdę sprzyjało im szczęście. Według planu Chloe miała przekonać dziekana o winie Jenny. Ale ponieważ Marymount postanowił, że uczniowie sami zadecydują, kto jest winny, dobrze się stało, że Jenny była na tyle głupia, aby narysować coś tak obciążającego. I że Chloe była na lekcji i to widziała. Powiedziała im o tym rysunku wczoraj wieczorem na imprezie. Chociaż Callie czuła, że nie jest w porządku wobec Jenny, to jednak uważała, że nie narysowałyby czegoś takiego, gdyby nie chciała podświadomie przyznać się do wywołania pożaru.

Twarz Jenny przybrała odcień niezdrowej szarości. Callie przypomniała się lekcja biologii w dziesiątej klasie, kiedy musieli zrobić sekcję żaby. Twarz Brett przybrała wtedy identyczny kolor, po czym Brett puściła potężnego pawia na stół laboratoryjny.

- Jezu, przecież to był tylko rysunek - odezwała się nagle Alison, która siedziała naprężona jak struna. Widać było, że boi się prowokować Tinsley, ale ta zerknęła znowu na Jenny. Na twarz dziewczyny wracały powoli normalne kolory.

- Co przedstawiał ten rysunek? - Benny Cunningham spoglądała to na Tinsley, to na Jenny, nie wiedząc, po której stronie się opowiedzieć. W końcu jej brązowe oczy spoczęły na Tinsley.

Tinsley założyła ręce i wyglądała tak, jakby tylko czekała, aż ktoś zada jej właśnie takie pytanie.

- Och, to był tylko szkic płonącej stodoły. A w środku dwoje ludzi, którzy się całują - dorzuciła od niechcienia, pozwalając, aby te słowa zawisły w powietrzu.

Callie ze świstem wciągnęła powietrze. Starła się zachowywać jak osoba do głębi zaszokowana. Nie miała zdolności aktorskich, ale niewykluczone, że było to najważniejsze przedstawienie w jej życiu.

- Kim byli ci dwoje? - zapytał Easy, wyraźnie zaniepokojony.

Callie gapiała się w milczeniu na długą rysę na stole konferencyjnym. Pomyślała, że tak rozpaczliwie chciał się wydostać z pokoju, że walczył o to pazurami.

- Ty zadałeś pytanie - ciągnęła Tinsley z południowym akcentem, kładąc zaciśnięte dłonie na stole i podnosząc się z fotela. Szmaragdowa suknia spowijała w iście królewski sposób jej szczupłą, doskonałą figurę. Pochyliła się groźnie do przodu i wyglądała jak młoda prawniczka, która nawet na ojcu Easy'ego zrobiłaby silne wrażenie. - A Jenny udzieli na nie odpowiedzi.

Callie czuła, jak gniew Easy'ego pali ją do żywej skóry. Język miała tak ciężki, jakby ktoś jej wsadził do buzi zimną, mokrą gąbkę. Poczwała, że tym razem to ona może zwymiotować na stół. Wiedziała, że Easy jest zły, i zaczęła się zastanawiać, czy cała ta sprawa jest tego warta. Jednak za daleko zabrnęła, aby teraz zawrócić.

- A skąd wiesz o rysunku? - zapytała stanowczo Jenny, odzyskując w końcu mowę. - Szpiegowałeś mnie? - Włożyła w te słowa taki ładunek gniewu, na jaki była w stanie się zdobyć, ale wciąż czuła lęk przed Tinsley. Czy wszyscy myślą, że skoro narysowała płonąca stodołę, to musiała ją puścić z dymem w rzeczywistości? To jakiś totalny absurd. Ale absurdem była też cała ta sytuacja.

- Zaprzeczasz temu? - Tinsley chodziła wzdłuż okna jak prokurator w telewizji.

Jenny miała wrażenie, że Tinsley czekała na ten moment. Może wypatrywała go od chwili, gdy postawiła swoje doskonałe buty Fendi z powrotem w kampusie i odkryła, że Jenny zajęła jej pokój. Tinsley znienawidziła Jenny na długo przedtem, nim cokolwiek zaszło między nią a Julianem, chociaż te wydarzenia musiały przechylić czarę goryczy.

- Ale skąd... - Jenny wolała zamilknąć, niż powtarzać pytanie. Czuła, że pokój zaczyna wirować, jak w filmie *Charlie i fabryka czekolady*. Tylko że to nie Johnny Depp pociągał za sznurki, lecz Tinsley Carmichael. Nie potrafiła znaleźć słów, które by jej jeszcze bardziej nie pogrzyżyły. Nawet Alison, Brett, Brandon i Julian - ludzie, o których myślała, że są po jej stronie - czekali niecierpliwie, aż przemówi w swojej obronie.

- Nieważne, skąd wiem - syknęła Tinsley. - Odpowiedz na pytanie.

Jenny czuła ich nerwowe wyczekiwanie. Nawet Julian patrzyła na nią z nieukrywaną ciekawością w dużych brązowych oczach.

To nic takiego - próbowała wytłumaczyć, skupiając wzrok na Brett, która musiała wiedzieć,

że jest niewinna.

- Pani Silver to wymyśliła, wiecie, jakie ona ma pomysły.

- Jenny odgarnęła włosy z twarzy, czując, że w pokoju zrobiło się gorąco. Marzyła o szklance wody. Rzuciła tęskne spojrzenie na butelkę wody Evian, którą trzymał Brandon. Straciła wątek. - Kazała nam narysować coś, no wiecie, z zamkniętymi oczami. - Jenny z trudem dobierała słowa, a jej oddech stawał się coraz cięższy. - Nie mogłam sobie z tym poradzić. Byłam chyba zestresowana... no przecież wszyscy byliśmy zestresowani, no nie?

Jenny rozejrzała się po pokoju, szukając potwierdzenia, ale Osobnicy Podejrzani - których miała za przyjaciół - odwracali oczy.

- No i... - naciskała Tinsley, opierając się o parapet okna z rękoma założonymi na piersi. - Co z tym rysunkiem? - zapytała lodowatym tonem.

- Przedstawił pożar - odparła Jenny. Czuła się nieszczęśliwa i przeklinała w duchu panią Silver, że tak bardzo naciskała, by dotarła do swojej podświadomości. Dlaczego nie narysowała jakichś głupich przypadkowych prostokątów, tak jak Alison?

- Wielkie rzeczy - odezwał się Heath. Rzucił okiem na Jenny, a jej przyszła na myśl pierwsza noc w Waverly, kiedy całowali się do utraty tchu. - Bez obrazy. Jestem pewien, że to jakiś Picasso albo Rembrandt, albo kto tam jeszcze.

Tak bardzo pragnęła się dopasować do innych, była tak podekscytowana, że zaczyna zupełnie nowe życie w szkole z internatem. A skończyło się na tym, że dwaj chłopcy ją okłamali i złamali jej serce, a popularne dziewczyny życzyły jej śmierci. Czy jej życie było teraz choć trochę lepsze niż przedtem? Nie, było tysiąc razy gorsze.

Tinsley obrzuciła Heatha takim spojrzeniem, że od razu zamilkł. Jasne, nad nim też miała władzę.

- Co jeszcze było na rysunku? - zapytała.

- Co masz na myśli? - spytała niewinnie Jenny. Miała nadzieję, że Julian albo Heath coś powiedzą, że wtrąci się Brett i przerwie krzyżowy ogień pytań Tinsley. Ale nikt się nie odezwał. Spojrzała na głupawy czerwony zegarek, który miała na ręce. Chciałaby teraz znajdować się w jakimkolwiek miejscu, byle nie tutaj. Nawet w zatłoczonym, śmierdzącym potem metrze w Bronksie po klęsce drużyny Yankees. Gdziekolwiek.

- Czy narysowałaś dwoje płonących ludzi? - zapytała Tinsley bez ogródek. Jenny nie zdołała otworzyć ust. Nie była pewna, co odpowiedzieć. Och, gdybyż tylko potrafiła kłamać jak z nut, tak jak niektórzy w Waverly. Naraz Tinsley dodała: - Czy narysowałaś Callie i Easy'ego w płonącej stodole?

Ktoś z głośnym świstem wciągnął powietrze. Jenny miała nadzieję, że to nie był Julian.

- Czy to prawda? - Benny położyła delikatną dłoń na ustach. - To takie... - Nie była w stanie

dokończyć.

- Czy nie było lak, że zazdrościłaś Callie i Easy'emu i postanowiłaś podpalić stodołę, kiedy zobaczyłaś, że weszli razem do środka? - Tinsley oparła ręce na biodrach i przebierała palcami po szczupłej talii.

- Dość tego. Przestań już. - Easy wyprostował się w krześle, wyraźnie rozgoryczony. - To był tylko rysunek. Nie zachowuj się jak wredna suka.

Jenny poczuła przypływ wdzięczności, ale zanim zdążyła się odezwać, drzwi się otworzyły i dziekan Marymount jednym płynnym ruchem wślizgnął się do pokoju i stanął na środku.

- I co? - zapytał z rękoma w kieszeniach blezera. Jenny czuła, że zaraz zemdleje. Co z niego za człowiek? Zamiast przepytac uczniów, zebrać dowody i porozmawiać z policją, pozwala, żeby takie despotki jak Tinsley stawiały na swoim. - Podjęliście decyzję?

Jenny obrzuciła spojrzeniem salę. Wszyscy się w nią wpatrywali. Nawet Julian patrzył na nią tak, jakby jej nie poznawał. Chwyciła brzeg stołu, mając w głowie tylko jedną myśl - nigdy tak naprawdę nie należała do Waverly. Skoro wszyscy tak szybko zwrócili się przeciw niej, to znaczy, że tak naprawdę nikt jej nie lubi. Na początku semestru pragnęła znaleźć przyjaciół i poczuć, że należy do tego miejsca. Ale czy ktokolwiek z obecnych w tym pokoju był jej przyjacielem? Przez krótki czas uważała Callie za przyjaciółkę, ale się pomyliła. Brett na pewno ją lubi, ale ostatnio tak była pochłonięta swoimi problemami z Karą, że nie miała nawet czasu spytać, jak się miewa Jenny. Cały jej związek z Easyem wydawał się teraz ułudą. A pocałunki Juliana nie miały żadnego znaczenia wobec faktu, że on też ją okłamał.

- I co? - naciskał Marymount z lekkim zniecierpliwieniem. Nikt się nie odezwał.

Jenny się rozejrzała. Jedno z nich było winowajcą, ale nagle nie miało już znaczenia kto. Wiedziała, że musi natychmiast wyjść z tego pokoju, bo inaczej się udusi.

- Ja to zrobiłam. Pasuje? - Odsunęła ciężki fotel, czując żar w czubkach palców. Policzki jej płonęły. Nim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, wymaszerowała z gabinetu.

Gorące łyzy oślepiały Jenny, kiedy zbiegała po schodach i pędziła przez trawnik do Dumbarton. Wszystko skończone - szkoła z internatem, chłopcy, wspólne spędzanie wolnego czasu. Biegła do pokoju, aby spakować walizki i odejść stąd na zawsze.

SówNet **Twoja Poczta**
Od: DeanMarymount@waverty.edu
Do: uczniowie Waverly
Data: 16 października, środa, 12. 34
Temat: Sprawiedliwość

Moje Drogie Sowy

Sprawa pożaru na farmie Millerów została rozwiązana. Jedna ze studentek przyznała się do

popelnienia przestępstwa. Zostanie wydalona z kampusu w trybie natychmiastowym.

Liczę na to, że potraktujecie poważnie to ostrzeżenie. I w przyszłości będziecie się zachowywać tak, jak przystało na Sowy Waverly.

Z wyrazami wdzięczności

Dziekan Marymount

SówNet

KaraWhalen:

HeathFerro:

KaraWhalen:

HeathFerro:

KaraWhalen:

Heath Ferro:

KaraWhalen:

Heath Ferro:

Komunikator

Właśnie się obudziłam. Co się stało?

Brudy wyprane. Krótka odpowiedź - lenny się przyznała.

Co??? Niemożliwe!

Jakbym nie wiedział. Lepiej porozmawiaj z Brett.

Dlaczego?

Porozmawiaj.

OK..

A właściwie jak do mnie przyjdiesz, to ci wszystko opowiem. ;)

Sowa Waverly wie, jaka jest różnica między „do widzenia” a „żegnaj”

Jenny złożyła ostatnią parę dzinsów Banana Republic i upchnęła do starej brązowej walizki taty Samsonite. Wpadła jej w oko wypłowiła naklejka „Uściski, zamiast bomb” przyczepiona przy rączce i pomyślała, że nie wie do diabła, jak ma to wszystko wyjaśnić tacie. Wczoraj nawet nie odpowiedziała na jego mejl napisany w imieniu kota. Coś wymyśli. Może się nad tym zastanawiać w pociągu przez całą drogę do miasta. Z szybkością światła zapakowała ogromną czerwoną torbę LeSportsac w białe groszki, ładując książki, ciuchy i kosmetyki na chybił trafił. Nie przejmowała się tym, czy czegoś nie zostawiła. Wydawało jej się, że dopiero co wysiadła z taksówki i wlokła się główną aleją Waverly, ciągnąc za sobą cały dobytek.

Teraz patrzyła na tamtą Jenny - dawną Jenny, która chciała stać się nową osobą - z pogardą. Nie mogła uwierzyć, że była tak naiwna, by myśleć, że jej całe życie zmieni się na lepsze, gdy pójdzie do szkoły z internatem. Gdy była w mieście, zawsze wpadała w jakieś tarapaty. Kiedyś napisali o niej nawet w „Page Six”. Tutaj miała być doskonałą.

bardziej opanowaną wersją samej siebie. Nie wytrzymała nawet dwóch miesięcy. To był tylko mały przerywnik w jej życiu. Pewnego dnia, kiedy stanie się zgrzybiałą staruszką i będzie siedziała w bujanym fotelu, z cyckami zwisającymi do kolan, to być może nawet nie zdoła sobie przypomnieć, że w ogóle chodziła do szkoły z internatem.

Jenny czuła, że łzy napływają jej do oczu i że ściska ją w gardle. Jak mogłaby zapomnieć te chwile, kiedy Easy rysował jej portret, kiedy Julian ją pocałował na farmie, kiedy po nocach robiły z Brett manikiur? Jednak teraz wszystkie te dobre rzeczy całkowicie przysłaniała ciemna chmura w postaci Tinsley Carmichael. Jenny wciąż nie mogła uwierzyć, że Tinsley posunęła się tak daleko, ale jeszcze bardziej nieprawdopodobna wydawała jej się myśl, że nienawidziła jej aż tak, by to zrobić. Czuła się strasznie, wiedząc, że ktoś jej tak nienawidzi.

Jenny usiadła na przeładowanej walizce Samsonite, usiłując zapiąć zatraski. Nie wiedziała, dlaczego się przyznała, ale gdy wybiegała z gabinetu dziekana Marymounta, poczuła ulgę. Była wolna. Nie musiała się już martwić, co o niej gadają ani jakie ciemne siły knują spisek przeciwko niej.

Obróciła się, słysząc pukanie do drzwi. Może to Tinsley i Callie przyszły popatrzeć, jak pakuje swoje rzeczy i trochę się z niej pośmiać. Ale nie, w drzwiach stał Easy, z rękoma w kieszeniach zielonych roboczych spodni. Ciemne włosy opadały mu na czoło.

- Naprawdę odjeżdżasz? - zapytał miękko. Jego oczy omiatały pokój, aż zatrzymały się na pustym łóżku, z którego zdjęła już pościel oraz jasnoniebieski koc, który tata dał jej na drogę.

- Przecież mnie wylali - powiedziała beznamiętnie Jenny. - I tyle.

Easy podrapał się po karku. Czowała, że patrzy jej w twarz, ale odwróciła się, żeby zająć się zatraskami walizki, które nie chciały się zapiąć.

- No tak, ale... - Nie skończył zdania, więc Jenny zamarła w oczekiwaniu. - Ale przecież nie miałaś nic wspólnego z tym pożarem, prawda?

Jenny nie odpowiedziała. Bała się, że głos jej się załamie. Odwróciła się do walizki, aby wyraz twarzy nie zdradził jej uczuć. To miło ze strony Easy'ego, że próbował ją bronić przed Tinsley. Naprawdę to doceniała. Ale to było za mało i za późno.

- Hej - powiedział Easy.

Myślała, że chce, żeby się odwróciła i już miała to zrobić, gdy usłyszała głos Brett odpowiadający na pozdrowienie. Zatraski walizki wreszcie trafiły na miejsce. Chwyliła torbę na ramię, którą przysłał jej tata. Kazał umieścić na niej monogram JAH, chociaż na drugie imię miała Tallulah. Powiedział jej, że fani reggae załapią ten dowcip, ale Jenny go nie zrozumiała. Upchała do środka kolorowe skarpetki zwinięte w kulki. Cieszyła się w duchu, że zdążyła spakować majtki i ogromniaste babcine staniki, zanim przyszli goście.

- Marymount cieszy się jak cholera. - Wyrzuciła z siebie Brett. Jej głos brzmiał dość wesoło, choć twarz wyrażała smutek. - Jakby rozwiązał sprawę zabójstwa Kennedy'ego czy coś.

Jenny zacisnęła usta.

- Dobrze. - Tylko tyle zdołała powiedzieć. Nagle za Brett pojawiła się Alison.

- Rany - wykrzyknęła, kiedy zobaczyła, że Jenny upycha rzeczy do torby. - Naprawdę się pakujesz? - zapytała, wpychając się do pokoju. - To nie może być prawda.

Jenny wzruszyła ramionami i spojrzała bezradnie w zmartwione oczy Alison w kształcie migdałów. Tylko na tyle mogła się zdobyć, bo w przeciwnym razie rozbezczałyby się na dobre. Prawdę mówiąc, kochała tych ludzi i kochała szkołę z internatem, chociaż ze wszystkich sił starała się przekonać samą siebie, że jest inaczej.

W pokoju zrobiło się jeszcze tłoczniej, kiedy Brandon wcisnął się do środka, rozłączając wokół siebie delikatny, lekki zapach wody kolońskiej Acqua di Gio.

- Nie wyjeżdżaj - powiedział do Jenny tak miękko i słodkim głosem, że prawie pożałowała, że nigdy się z nim nie całowała, ot, tylko po to, żeby przekonać się, jak to jest. Ale co tam. Na zebraniu on też nie stanął po jej stronie. - Przecież wszyscy wiemy, że tego nie zrobiłaś.

- A ktokolwiek to zrobił, nie ma jaj - oznajmiła Brett, po czym podeszła i objęła Jenny. Była dobre dziesięć centymetrów wyższa od niej, więc głowa przyjaciółki trafiła akurat w zagłębienie jej ramienia. - Nie do wiary, że komuś ujdzie na sucho podpalenie, a ty wyjeżdżasz. To nie fair.

- Możemy iść do Marymounta i powiedzieć, że nie miałaś z tym nic wspólnego - powiedziała Alison drżącym głosem.

Pewnie czuła się winna z powodu tej sprawy z rysunkiem, choć to wcale nie była jej wina.

Jenny miała wrażenie, że sprawy przybrałyby taki sam obrót, nawet gdyby nie narysowała Easy'ego i Callie w płomieniach.

- Tak! - zgodziła się Brett, puszczając Jenny. Podeszła do Alison. - Idę z tobą.

- Nigdzie nie pójdziecie. - Jenny sama się zdumiała swoim stanowczym tonem. Zdjęła z łóżka walizkę, która uderzyła z głośnym, złowieszczym hukiem o podłogę, - To nie ma znaczenia. I tak by wam nie uwierzył. - Przełknęła, bo ścisnęło ją w gardle. - Może tak będzie lepiej.

- Ale to tak, jakby między nami chodził wolno morderca. - Brett potrząsnęła ognistoczerwoną czupryną.

Jenny spojrzała na przyjaciółkę i pomyślała, że będzie za nią bardzo tęsknić. Ale od czego są mejle, no nie?

Nikt się nie odezwał i w powietrzu zawisło ciężkie milczenie.

- Przepraszam - powiedział ktoś. Jenny rozpoznała głos Juliana i jej serce fiknęło koziołka. Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco, jakby był gubernatorem, który pojawił się w ostatniej chwili, aby odwołać egzekucję. - Czy mógłbym... hm... porozmawiać z Jenny? W cztery oczy?

Jenny wepchnęła do torby dwa swetry J. Crew z ostatniej szuflady, starając się nie myśleć, jak miło usłyszeć swoje imię z ust Juliana. Easy wycofał się do drzwi, skinął Jenny i zniknął na korytarzu. Brett, Brandon i Alison też się wymknęli. Julian zamknął drzwi. Sięgał głową prawie do futryny.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Jenny wzruszyła ramionami. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, więc chwyciła ostatni sweter - gruby, beżowy, z kapturem, który tata przysłał jej razem z torbą z monogramem - i wepchnęła go byle jak do torby.

- To, co się tam działo, było okropne - powiedział Julian, a Jenny od razu stanął przed oczami widok gapiącej się na nią z góry Tinsley. - Ale dlaczego... dlaczego wzięłaś na siebie winę? Nie zrobiłaś tego. Byłaś ze mną.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparła Jenny, choć wcale tak nie myślała. Wiedziała jednak, że wałkowanie tematu nic nie zmieni. Przyznała się, a Marymount ją wyrzucił. Koniec sprawy. Jedzie do domu. Zaciągnęła suwak torby.

- Po prostu nie mogę, no wiesz... - Głos Juliana, zwykle spokojny, teraz drżał, a jego brązowe oczy wyglądały jak oczy zasmuconego szczeniaka. - Nie odchodź w taki sposób. To nie w porządku.

- W życiu dzieje się dużo rzeczy, które nie są w porządku - powiedziała Jenny, zdziwiona swoim rzeczowym tonem.

- Znam cię. - Julian zdołał wziąć się w garść. Oparł łokieć na pustej już komodzie Jenny. I tak jest dla mnie za wysoki, uświadomiła sobie Jenny ze smutkiem. - Dlaczego udajesz, że wcale

się nie przejmujesz?

- To nie ja udaję. - Jenny odbiła piłeczkę. Podniosła bagaż z podłogi i postawiła go koło walizki. Przerazał ją trochę ten ogrom jadu, który się w niej przelewał.

- Nigdy niczego nie udawałem, - Julian wpatrywał się w czubki swoich szarych płóciennych butów Vansa. - No dobra, może udawałem, że nic mnie nigdy nie łączyło z Tinsley. - Przerwał. - Ale tylko dlatego, że bardzo żałowałem, że w ogóle się z nią zadawałem.

Jenny usiadła na tym, co pozostało z jej łóżka. Czowała się tak smutna i opuszczona jak ten goły materac.

- To tak nie działa.

Julian zacisnął usta. W białoniebieskiej koszulce polo i spodniach khaki wyglądał jak jeden z tych chłopców ze szkoły Świętego Judy, których widywała grających frisbee w Central Parku. Jenny zastanawiała się, co by było, gdyby spotkała go w innych okolicznościach - z dala od Waverly i od Tinsley Carmichael. Czy mieliby szansę?

- Tamtego ranka po pożarze, kiedy poszliśmy do lasu, chciałem ci powiedzieć o Tinsley. - Zamykał i otwierał pustą szufladę.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - naciskała, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękoma. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, zanim się pocałowaliśmy?

Julian nie był w stanie na nią spojrzeć. Zwiesił głowę, wyjął z szuflady zabłąkaną spinkę do włosów i obracał ją w palcach.

- Bo wszystko z tobą... było takie miłe. Nie chciałem tego zepsuć.

Jenny czuła, że mięknie. Julian. Nawet gdyby mu wybaczyła, to co z tego? I tak wyjeżdża z Rhinecliff, najbliższym pociągiem.

- Nie powiedziałem ci też dlatego... dlatego, że chciałem cię chronić przed Tinsley. - Jego brązowe oczy były przekrwione i smutne. Czowała, że dreszcz przebiegł jej po plecach. Zaciągnęła suwak od zielonej wojskowej bluzy Stelli McCartney z H&M. - Jestem pewien, że to ona wywołała pożar, ale bałem się, że jeśli dowie się o nas, to będzie chciała zwalić to na ciebie.

- Dlaczego miałyby to robić? - Jenny starała się mówić spokojnym głosem. To pytanie nie miało znaczenia dla Juliana. Ale ona chciała poznać odpowiedź. Kopnęła walizkę, nie przejmując się, że zarysuje drewnianą podłogę.

- Bo lubię cię bardziej, niż lubiłem ją. Lubię cię dużo bardziej.

Jenny miała nadzieję, że te słowa na zawsze pozostaną w jej wspomnieniach, kiedy już opuści ją to całe rozgoryczenie. „Lubię cię dużo bardziej”. To był miły prezent na pożegnanie. Wyczuwała pragnienie Juliana, by zamknąć w miły sposób znajomość - może przebaczeniem - ale nie mogła mu tego ofiarować. Właściwie nie gniewała się na niego, ale była wściekła na siebie za niewiarygodną wprost głupotę. Ciągłe i ciągle od nowa.

- Nie martw się tym. - Przewiesiła przez ramię torbę LeSportsac i podniosła fioletową zamszową szkolną torbę wypchaną książkami, które chciała zabrać. Resztę zostawiła na półkach dla Callie czy innej osoby, która wprowadzi się na jej miejsce. - Dobrze chociaż, że się nieźle bawiliśmy, prawda? - Jej głos brzmiał energicznie, ale fałszywie, nawet dla niej. Nie mogła na niego spojrzeć, więc skoncentrowała się na podnoszeniu przeładowanej walizki. Kasztanowy blezer Waverly wydawał się maleńki i osamotniony w pustej szafie.

- Mogę... ci pomóc? - zapytał Julian nieporadnie, prostując swoją wysoką sylwetkę.

- Nie. - Jenny wzięła torbę L. L. Bean i chwyciła rączkę walizki Samsonite. Popchnęła drzwi i niemal utknęła w nich z całym bagażem. W końcu zdołała się precyzyjnie przesuwać na korytarz. Julian stał na środku pokoju i wydawał się zagubiony. Każda cząsteczka jej ciała pragnęła rzucić bagaże, otoczyć go ramionami i pocałować. Ale nie mogła.

Odeszła, ciesząc się ze swej stanowczości. Może to się na coś przyda. Może każda fałszywa przyjaźń i każdy nieudany związek z chłopakiem będzie dla niej nauką. Może w następnej szkole będzie tą doskonałą i opanowaną osobą, którą zawsze chciała być. Może.

SówNet **Twoja Poczta**
Od: TinsleyCarmichael@waverly.edu
Do: chloe.marymount@gmail.com
Data: 16 października, Środa, 12. 41
Temat: RE: RE: Jak leci?

Hej, dzieciaku

Mam nadzieję, że podobało ci się w Waverly. Dzięki za pomoc.

Zrobiłaś to, co należało.

Tinsley

SówNet **Twoja Poczta**
Od: chloe.HYPERLINK
Do: "<mailto:chloe.marymount@gmail.com>"marymount@gmail.com
Data: TinsleyCarmichael@waverly.edu
Temat: 16 października, środa, 12. 50
RE: RE: RE: Jak leci?

Cześć, Tinsley!

Dzięki za wspaniałą zabawę na wczorajszej imprezie... ale poranna jazda pociągiem do domu nie była już taka zabawna.;) Cieszę się, że coś zaczęło się dziać między Samem a mną. Myślę, że naprawdę mnie lubi!

Nie mogę się doczekać naszego spotkania w Waverly w przyszłym roku.

Chloe

SówNet

TinsleyCarmichael:

TinsleyCarmichael:

Komunikator

Hej, Julian. Szkoda, że będziesz musiał powiedzieć do widzenia swojej dziewczynie o artystycznej duszy. Miała prawdziwy... talent.

Jeśli masz złamane serce i dlatego nie odpowiadasz, rozumiem.

SówNet

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

BrettMesserschmidt:

KaraWhalen:

Komunikator

Słyszałam, co się stało. To straszne.

Biedna Jenny. A ty gdzie byłaś?

Odleciałam. Nie do wiary, że przespałam zebranie.

Lepiej, że cię nie było. Domyślam się, że dobrze się bawiłaś wczorajszej nocy?

Przepraszam... za tamto. Możemy o tym pogadać?

O czym tu gadać?

Och.

Nic takiego się nie stało.

Och!

Jesteśmy przyjaciółkami?

Zdecydowanie.

To znaczy, że będę musiała spędzać dużo czasu z Heathem?;)

Zobaczymy...

Sowa Waverly wie, że nie czyta się cudzych SMS - ów

Easy stał przed Dumbarton i kopał czubkiem buta kamienny stopień. Podniósł głowę i zobaczył, że Callie idzie w jego stronę w biało - niebieskiej sukience. Falbaniasta spódnica łopotała na wietrze wokół jej nóg. Callie uśmiechała się, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

- O co chodzi? - zapytała Callie, chwytając się nieco na szpilkach. Przechyliła głowę z zainteresowaniem, jakby nie miała pojęcia, co takiego się stało.

Easy wpatrywał się w nią bez słowa. Zawsze wiedział, że z Callie byłaby świetna aktorka. Wspaniale potrafiła tworzyć własną wersję prawdy i trzymać się jej ze wszystkich sił.

- Byłem przed chwilą u Jenny.

Callie znieruchomiała, ściskając mocno pasek czarnej torby z przesadnie dużymi srebrnymi sprzączkami. - Po co?

- Jak to „po co”? Chciałem się z nią pożegnać.

- Och. - Na jej bladej twarzy odmalowała się ulga.

- Nie masz zamiaru się z nią zobaczyć, zanim wyjedzie? - zapytał.

Powiedział to łonem nieznoszącym sprzeciwu, jak ojciec. I co z tego? Był zły, więc po co miał udawać, że jest inaczej?

Callie wzruszyła ramionami i wpatrywała się w swoje dłonie, jakby sprawdzała, czy musi zrobić manikiur.

- Czy nie była twoją przyjaciółką? - Easy kopnął ze złością stopień. Wyszło słońce i musiał przymrużyć oczy, żeby ją widzieć.

- O tak, była - odparowała Callie z nagłym ożywieniem. Z jej orzechowych oczu strzelały iskry gniewu, który musiał czaić się tuż pod powierzchnią. - Zanim zaczęła rozpuszczać ploty o nas.

- Za to ty nie roznosiłaś plotek na jej temat, prawda? - Easy przejechał dłonią po zmierzwionej czuprynie. Chciał, żeby zabrzmiało to trochę łagodniej, ale stało się.

- O czym ty mówisz? - Callie teatralnie skrzyżowała ręce na płaskiej piersi.

- Skąd Tinsley wiedziała o rysunku Jenny? - Easy bał się usłyszeć odpowiedź na to pytanie. Jeśli Tinsley i Callie nakłoniły kogoś, by szpiegował Jenny, to byłby już szczyt wszystkiego. Zwłaszcza że chodziło o zajęcia plastyczne, które Easy uważał zawsze za rodzaj sanktuarium, za miejsce wolne od plotek i fałszywych oskarżeń, których nie brakowało w Waverly.

- Dlaczego pytasz? - Głos Callie drżał. Przygryzła różowe błyszczące usta, jakby z trudem powstrzymywała łzy. Wszystko na pokaz, pomyślał Easy z goryczą. - Nadal się w niej kochasz?

- Co takiego? - Easy wpakował ręce do kieszeni spodni, aby ukryć fakt, że z gniewu mimowolnie zacisnął je w pięści. Nie miał najmniejszego zamiaru odpowiadać na to pytanie.

Przecież przez ostatnich pięć dni spędzał z Callie niemal każdą wolną chwilę. Nie miała powodu do zazdrości.

- Odpowiedz mi. Czy nakłoniłyście kogoś, żeby szpiegował Jenny?

Callie miała nieodpartą ochotę wyjąć z torby okulary przeciwsłoneczne Olivera Peoplesa i założyć je, aby odgrodzić się od stanowczego spojrzenia Easy'ego. Ale nie chciała wyglądać tak, jakby czuła się winna. Zwłaszcza że i tak obarczał ją winą.

- Dlaczego na mnie krzyczysz? - zapytała łagodnie, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał gniew. Gniew o to, że znowu bronił Jenny. - Jenny się przyznała, że podpaliła stodołę. Co się stało, to się nie odstanie.

- Naprawdę myślisz, że to zrobiła? - zapytał beznamiętnie Easy.

Callie wpatrywała się z wahaniem w swoje niebieskie czółenka Isabelli Fiore.

- Sama powiedziała, że tak.

- Skąd wiesz? Może pożar wybuchł przez to, że paliliśmy papierosy w stodole? - Easy podniósł głos. Nie brzmiał już w nim słodki południowy ton. - To, że Jenny wyleciała, wcale nie jest zabawne. Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji? - Mrużył oczy przed słońcem, przez co wydawało się, że przeszywa ją wzrokiem.

Callie doskonale zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Ale jaki miała wybór? Nie chciała, aby któreś z nich wróciło do domu. Jenny była po prostu łatwą ofiarą. A poza tym to był plan Tinsley, a nie jej. Nawet gdyby odmówiła jakiegokolwiek pomocy, to Tinsley i tak zrealizowałyby go sama i wszystko skończyłoby się w taki sam sposób.

- To wszystko przez Tinsley - wyrzuciła z siebie Callie, nim pomyślała, co mówi.

Easy usiadł na schodach i oparł się o kamienną kolumnę. Wyjął ręce z kieszeni. Callie ulżyło. Widziała jego zaciśnięte pięści i trochę się go bała. Na pewno by jej nie uderzył, nic z tych rzeczy, ale jeszcze nigdy nie był tak rozwścieczony.

- Nie miałaś z tym nic wspólnego? - zapytał z nutą niedowierzania, podnosząc ciemną brew.

- To był plan Tinsley - skłamała Callie, bawiąc się perłowym guzikiem od kardigana. - Nie cierpiała Jenny od pierwszej chwili, odkąd zobaczyła ją w swoim łóżku. Nakłoniła Chloe, tę kandydatkę, żeby ją szpiegowała. Naprawdę. - Callie spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy i skrzyżowała dłonie na piersi, tak jak robiła w szkole podstawowej, gdy kłamała jak z nut. - Kiedy się o tym dowiedziałam, było już za późno.

Easy odprężył się nieco, a Callie wykorzystała tę sposobność, aby usiąść koło niego na schodach. Chwyciła jego szorstkie dłonie. Ucisnął w odpowiedzi jej ręce i poczuła, że z jego ciała uchodzi napięcie. Przygarbił się.

- Czy między nami wszystko w porządku? - spytała miękko i przytuliła się do niego.

- Tak - szepnął Easy, delikatnie kołysząc ją na swoim szerokim ramieniu.

Callie przytuliła się do jego cieplej, delikatnej szyi i czuła, że znowu znajduje się na swoim miejscu. Pocałował ją w głowę, a Callie odprężyla się i z ulgą zatonała w jego ramionach.

Kiedy Callie siadała na kamiennych schodach, z torby Fendi wyleciała jej srebrna komórka Razr i wylądowała z trzaskiem na pierwszym stopniu, poza jej zasięgiem. Nagle zaczęła popiskiwać, poruszając wibracjami trawę. Nim Callie zdążyła cokolwiek zrobić, Easy wstał i podniósł telefon, po czym wyciągnął rękę, aby jej go podać. W tym momencie zobaczył, od kogo przyszła wiadomość.

- O wilku mowa - powiedział.

Nacisnął przycisk i w jednej chwili jego przystojna twarz zrobiła się śmiertelnie biała.

- Oddaj mi to! - Callie wyciągnęła rękę po telefon, czując, że robi jej się niedobrze.

Easy odczytywał SMS - a i coraz bardziej marszczył brwi.

- „To była dobra robota, gratulacje dla nas obu. - Easy bezlitośnie przedrzeźniał Tinsley. - Udało się. Wylali sukę. Wypijmy za to” - czytał z małego wyświetlacza.

- To nie lak, jak myślisz. - Callie wsiadała i podeszła do niego, chwiejąc się na szpilkach. - Wiesz, jaka jest Tinsley, robi wielkie halo.

Easy zdawał się nie słyszeć ani słowa.

- To miło. - Oddał jej komórkę, potrząsając głową, jakby nie mógł uwierzyć w te wszystkie kłamstwa.

- Easy! - Gorące łzy szczypały ją w oczy. - Nie możesz mnie tak zostawić.

Widocznie jednak mógł.

SówNet **Twoja Poczta**
Od: lenniferHumphrey@waverly.edu
Do: RufusHumphrey@poetsonline.com
Data: 16 października, środa, 14. 49
Temat: RE: Miau!

Drogi kocie Marksie

Wygląda na to, że twoje życzenie się spełniło. Wieczorem będę w domu. Wyjaśnię ci wszystko na miejscu. Powiedz Vanessie, że może zostać w moim pokoju, na razie będę spać na sofie.

Kocham was, do zobaczenia wkrótce

Jenny

Sowa Waverly trzyma głowę wysoko nawet wtedy gdy już nie jest Sową

Jenny zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę żółtej taksówki. Tylko krótka jazda taksówką i kilka godzin podróży pociągiem oddzielało ją od domu, od zaniedbanego, ale miłego sercu mieszkania na Upper West Side; od jej dawnego pokoju; jej zwariowanego, cudownego ojca o zdolnościach kulinarnych; i od ukochanego kota. Usłyszała za sobą czyjeś kroki i serce jej mocniej zabiło. Miała nadzieję, że to Julian albo może Easy... ale kiedy się odwróciła, zobaczyła dziekana Marymounta, który tak do niej pędził, że krawat Waverly odfrunął mu za ramię. Zimny dreszcz przeszedł Jenny po plecach. Jaką jeszcze karę chce jej wymierzyć Marymount, zanim wsiądzie do taksówki i zniknie na zawsze? Chce ją zakuć w kajdanki czy coś w tym rodzaju?

Jenny spojrzała po raz ostatni na kampus. Naprawdę pokochała Waverly, z jego dostojnymi budynkami z czerwonej cegły, z pełnymi energii uczniami, z jego tradycją. Lubiła mieszkać w internacie, grać w hokeja na trawie, chodzić na imprezy do lasu. Całować się z chłopcami i spędzać wolny czas z nowymi przyjaciółmi. Będzie jej tego brakowało.

- Poczekaj! - zawołał Marymount. Był wyraźnie zaniepokojony. Zwolnił, po czym się zatrzymał i oparł ręce na kolanach. Siwiejące piaskowe włosy były przylepione pasmami do coraz większej łysiny.

Może powinna mu powiedzieć, żeby kupił sobie tupecik i dał spokój z tym kamuflażem?

- Przed chwilą dzwoniła pani Miller. - Z trudem łąpał oddech. Wyprostował się i poprawił krawat.

Jenny zmarszczyła twarz, zastanawiając się, o co chodzi. Czy starsza kobieta chciała osobiście zganić podpalaczkę? Czy będzie zmuszona posprzątać pogorzeliśko, zbierając po jednym zwęglonym kawałku drewna? Czy pójdzie do więzienia? Nie pomyślała o tym. Chyba jest za młoda?

- Twierdzi stanowczo, że ten pożar... to był wypadek - mówił dalej Marymount. Zdążył się już pozbierać i wygładzał sweter. - Utrzymuje, że pożar wybuchł przez jedną z jej krów. - Uważnie mierzył Jenny zimnym spojrzeniem niebieskich oczu, jakby chciał upewnić się, czy nie zdradzą jej emocje. Ale była tak oszołomiona, że stała jak skamieniała. - Nie rozumiem, jak krowa może spowodować pożar, ale - zmrużył oczy, chroniąc je przed słońcem - pani Miller twierdzi, że jest pewna, że to jedna z jej krów. Co o tym myślisz? - Położył ręce na biodrach i czekał na odpowiedź.

Dopiero po długiej chwili do Jenny dotarło to, co powiedział Marymount. Postawiła torbę na zwirowym podjeździe i rozcierała obolałe ramię. Czy naprawdę chciał, żeby odpowiedziała na to pytanie? Krowy wywołały pożar? Do diabła, nie miała pojęcia, o czym on gada. Zaraz, czy chodziło mu o to, że może wrócić do szkoły?

- Powiedziała, że nie chce, aby jakkolwiek uczeń Waverly ucierpiał z tego powodu - mówił dalej Marymount podejrzliwym tonem. - Osobiście uważam, że to stara wariatka, która za długo mieszka sama, ale... - Podrapał się po głowie, unosząc niektóre ze starannie przyklepanych pasemek włosów, pod którymi lśniła łysa czaszka.

Taksówkarz niecierpliwie zatrąbił. Marymount zerknął na czekający samochód.

- Gdyby uczeń Waverly spowodował pożar, musiałby zostać wyrzucony - powiedział Marymount, zatrzymując spojrzenie na okrągłej twarzy Jenny. - Nie ma innego wyjścia. Zgadzasz się?

- Ale to były krowy - odpowiedziała bez pośpiechu Jenny, do której z wolna docierało, że chociaż Marymount nie wierzył w historyjkę pani Miller, to nie był też przekonany o winie uczennicy. - Prawda?

Marymount skinął powoli głową, przecierając spocone czoło lewą ręką, na której zabłysła obrączka.

- Zgadza się. - Przewrócił oczami. - A więc... wygląda na to, że muszę unieważnić twoje... hm... wyznanie.

Jenny spojrzała na kampus, na idealnie zielone trawniki i dorodne drzewa, na schludne sterty liści. Taksówkarz zapalił silnik. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Marymount jej nie nabiera, że to nie jest jakiś okrutny żart. Serce zaczęło jej walić jak szalone.

- Proszę iść do klasy, panno Humphrey. - Marymount ściągnął ją na ziemię, stukając palcem w srebrny zegarek.

Jenny spojrzała na niego bez słowa, zaciskając usta. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy ich miny. kiedy pojawi się z powrotem w Dumbarton, w swoim dawnym pokoju. Z powrotem w klasie. I w stołówce na obiedzie. Dziś było jej ulubione danie - pizza z dodatkami na życzenie. A jutro, kiedy Jenny będzie kroczyła po zielonym kampusie, sto Sów będzie szeptać jej imię.

Wróciła.

SówNet

HeathFerro:

Julian McCafferty;

HeathFerro:

Julian McCafferty:

HeathFerro:

Komunikator

Stara pani Miller ratuje sytuację! Niech ktoś postawi tej wiedźmie piwo!

O czym ty gadasz, Ferro?

Nie słyszałeś? Powiedziała Marymountowi, że jej krowy wywołały pożar. Nie trzeba nikogo wyrzucać.

Zaraz, to Jenny zostaje?

A co? Chciałeś się zejść z Tinsley?

SówNet

SageFrancis:

BrandonBuchanan:

Komunikator

O rety, Celine była przed chwilą w banku i widziała, jak stara pani Miller realizowała grubego czek. Powiedziała kasjerowi, że zamierza wybudować pensjonat na miejscu stodoły.

Ha! Wpadło jej ubezpieczenie

SageFrancis: ? Ubezpieczenia tak szybko nie wypłacają.
BrandonBuchanan: Myślisz, że ktoś ją przekupił, żeby uratować Jenny?
SageFrancis: Właśnie, Sherlocku. Kto to mógł być? Według mnie osoba rodzaju męskiego, i to bogata...
BrandonBuchanan: Chciałbym mu podziękować, lenny jest taka miła, że było mi jej szkoda.
SageFrancis: Uważaj, bo będę zazdrosna.
BrandonBuchanan: O to chodziło.

SówNet
TinsleyCarmichael: **Komunikator**
Cholerne krowy?
CallieVernon: Podobno. To mój najmniejszy problem.
TinsleyCarmichael: Co?
CallieVernon: Easy odkrył, co zrobiliśmy. To koniec.
TinsleyCarmichael: Cholera. Przykro mi.
CallieVernon: I dobrze.
TinsleyCarmichael: A to co znaczy?
CallieVernon: To znaczy, że jestem zrozpaczona i nie chce mi się z tobą gadać.

SówNet
BrettMesserschmidt: **Komunikator**
Czy to prawda? Wróciłaś?
JennyHumphrey: Chyba tak! To takie dziwne. Godzinę temu byłam wyrzucona. A teraz wróciłam.
BrettMesserschmidt: Skaczę z radości... tak samo jak gromada innych.
JennyHumphrey: Znam takich, którzy nie skaczą.
BrettMesserschmidt: Ołać ich. Słyszałaś o pani Miller? Podobno ktoś dał jej w łapę, żeby powiedziała, że to wina krów.
JennyHumphrey: Co ty gadasz? Łapówka?
BrettMesserschmidt: Komuś naprawdę bardzo zależało na tym, żebyś nie odeszła. Tak bardzo, że zapłacił, żebyś mogła zostać.
JennyHumphrey: To czyste szaleństwo...
BrettMesserschmidt: Witaj na pokładzie, mała. Teraz musimy się dowiedzieć, kto jest twoim cichym wielbiciele!
JennyHumphrey: Nie martw się, inspektor M. na tropie.
JennyHumphrey: Ojejku, zawsze marzyłam o cichym wielbiciele...